KIM JEST TOMASZ GRODZKI?

Odsłaniamy, jak rodzi się kult marszałka Senatu

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 48/350 25 LISTOPADA–1 GRUDNIA 2019

PiS a przeciwnicy aborcji

KARDYNAŁ SARAH WIDZI W POLSCE STRAŻNIKA CHRZEŚCIJAŃSKIEJ EUROPY

Ziemkiewicz o dziennikarstwie śledczym w czasach „piątkizmu”

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

Nakład: 71 tys. egzemplarzy

Operacja „Celebryta”

KTO LANSUJE SZYMONA HOŁOWNIĘ NA PREZYDENTA

eprasa.pl e955a3d6d7

DO IV EDYCJI KONKURSU

ZAPRASZA PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

100 % polski produkt

POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

eprasa.pl e955a3d6d7

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Właściwy człowiek na właściwym miejscu

Donald Tusk został wybrany na szefa Europejskiej Partii Ludowej. Oznacza to, że do kilku milionów zarobionych dzięki stanowisku szefa Rady Europejskiej były premier spokojnie może doliczyć następne. Jednak jego wybór nie tylko ma wymiar, powiedzmy to tak, merkantylny. Nie tylko chodzi o kolejne apanaże i przywileje, które swoim urzędnikom oferuje Unia – choć to samo w sobie powinno budzić sprzeciw.

Wybór Tuska wskazuje także, czym jest dzisiaj europejska prawica, a przynajmniej jej większość. Europejska Partia Ludowa, zrzeszająca ugrupowania niegdyś chadeckie, chrześcijańskie, centrowe i umiarkowanie konserwatywne, straciła w ostatnich latach oblicze ideowe. Są tam partie zbyt powolne i leniwe, żeby zmienić nazwę, ewentualnie zbyt stare i szacowne, żeby ogłosić się wprost lewicowymi. Doskonale pokazuje to ewolucja niemieckiej chadecji, która pod przywództwem Angeli Merkel przyjęła ustawę wprowadzającą tzw. śluby homoseksualne oraz otworzyła granice Europy przed masowym napływem muzułmańskich imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki. Europejskie partie ludowe i chrześcijańskie robią to samo, co lewica, tyle że – co może się wydać paradoksalne – szybciej i nieco mniej radykalnie. Przyjmują postulaty przeciwników, tłumacząc to zwykle tym, że odbierają im paliwo wyborcze. Tyle że paliwa nieustannie dostarczają marzący o prawdziwej rewolucji uniwersyteccy profesorowie, dlatego prawica wciąż się cofa i przesuwa. O ile zatem lewica świadomie realizuje plan radykalnej przebudowy społecznej i kulturowej Starego Kontynentu, o tyle europejska prawica robi to, co robi, żeby… zachować władzę.

Politycy ludowi i prawicowi (trudno określić ich chrześcijańskimi) starają się wyczuć zmianę nastrojów społecznych i przyjąć te rozwiązania prawne, których domaga się lewica, jeszcze zanim ta do końca zaczyna się tego domagać. Prawicowość w tym ujęciu jest po prostu zdolnością spowalniania procesów, które i tak są nieuchronne. Nie niesie w sobie żadnej realnej, ideowej treści. Nie jest żadną prawdziwą opozycją.

Jak to się właściwie stało? Dlaczego partie, które kiedyś nawiązywały do dziedzictwa chrześcijaństwa, które miały własne ambicje, potrafiły nawet przeciwstawić się dominacji lewicy, dziś tak kompletnie skapitulowały? Powodów jest wiele. Pierwszym jest kryzys instytucjonalnego chrześcijaństwa, szczególnie Kościoła katolickiego. Nie znajdując w nim wyraźnego oparcia, nie musząc liczyć się z jego nauką i wymaganiami, partie chrześcijańskie zaczęły szybko dryfować, zawierać coraz bardziej pragmatyczne kompromisy i układy, tak że ostatecznie przekształciły się w partie status quo. Zachowanie władzy pojmowane jako administrowanie stało się dla ich liderów najważniejszą wartością. Istotniejszą niż obrona prawa naturalnego, posłuszeństwo tradycji, ochrona odziedziczonych norm.

Drugim czynnikiem były coraz częstsze przypadki sojuszy formacji prawicowych i socjalistycznych. Okazało się, że to postępowi intelektualiści zaczęli narzucać wizję świata, przyjmowaną również przez cierpiących na utratę tożsamości prawicowych polityków. Pragmatyzm stał się sam ideologią. Trzecim czynnikiem wreszcie był wzrost radykalizmu po stronie lewicy. Stały nacisk świadomych swej siły ideologów oraz poparcie mediów, systematycznie przemieszczających się ku lewicy, zrobiły swoje. Większość polityków reprezentujących dawne partie prawicowe uznała, że walka ideologiczna, spór światopoglądowy, wojna kulturowa zostały już rozstrzygnięte. Przyszłość w ich mniemaniu należy do lewicy. Nic nie da się z tym zrobić, a próby przeciwstawienia się lewicowej dominacji to trud syzyfowy. Jedyne zatem, co pozostało, to krok po kroku wycofywać się na z góry upatrzone pozycje, przyjmując samemu te rozwiązania, których domaga się lewica. Dlatego w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat większość partii prawicowych zaakceptowała ustawy zezwalające na aborcję i eutanazję, podobnie jak na redefinicję małżeństwa. Podobnie idea powstania multikulturowego i multietnicznego społeczeństwa europejskiego, mimo że zrodzona w głowach komunistów i radykałów, na dobre zagościła w umysłach liderów partii rzekomo prawicowych. Zamiast Europy ojczyzn głoszą już teraz projekt państwa federacyjnego.

Wszystko to razem sprawia, że Donald Tusk doskonale wręcz na lidera takiej formacji się nadaje. Połączenie bezideowości, sprytu i pragmatyzmu zostanie nagrodzone. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl e955a3d6d7

TEMAT TYGODNIA

20 PIOTR SEMKA
OPERACJA „CELEBRYTA"
Kto lansuje Hołownię na prezydenta?

HISTORIA

60 MIKOŁAJ IWANOW
WOŁODIA I KORNEL
O życiu i przyjaźni dwóch antykomunistów

62 ROZMOWA Z YVES'EM CHIRONEM
MAJSTRUJĄCY PRZY MSZY

66 PIOTR WŁOCZYK
PATRIOTYZM W PRAKTYCE

ŚWIAT

68 JACEK PRZYBYLSKI
CZY TRUMP ZASŁUŻYŁ NA „KARĘ ŚMIERCI"?
Pierwszy impeachment ery Internetu

74 PIOTR WŁOCZYK
BOLIWIJCZYKOM GROZI WOJNA DOMOWA

76 TOMASZ ROWIŃSKI
STRAŻNIK DOKTRYNY

KRAJ

26 ROZMOWA Z PROF. ZDZISŁAWEM KRASNODĘBSKIM
W UE PO CICHU LICZĄ NA POLSKĘ
W Europie trwa bunt społeczeństw

30 WOJCIECH WYBRANOWSKI
PREZYDENCKIE PRZEDBIEGI

32 KAMILA BARANOWSKA
MARSZAŁEK Z PATOSU

34 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
MEDIA CZASÓW PIĄTKIZMU

36 ŁUKASZ WARZECHA
WYCHOWAĆ AKCYZĄ

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
PARLAMENT Z PROCENTAMI

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK
JAK WRÓCILIŚMY NA KSIĘŻYC
Telewizyjne historie alternatywne

42 WIESŁAW CHEŁMINIAK
KIEDY ZŁOTO BYŁO BIAŁE

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM KARONIEM
MARKSIŚCI MORDUJĄ NA RÓŻNE SPOSOBY
Autor książki „Historia antykultury" o akcji rozbijania tradycji

56 KRYSTIAN KRATIUK
WYZNAWCY KOMPROMISU

EKONOMIA

78 TOMASZ CUKIERNIK
CENZORZY BIZNESU
Zniewolony wolny rynek

DODATEK SPECJALNY

83
CUKRZYCA 2019: PROFILAKTYKA, MONITOROWANIE, LECZENIE

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (12), KOWALCZUK (13), GMYZ, GOCIEK (18), ZALEWSKI, WOLSKI (58), ZYCHOWICZ, KOPER (64), WARZECHA (72), GABRYEL, RYBIŃSKI (80), KOMUDA (92), SIEDLECKA (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl e955a3d6d7

Zapraszamy
na stoisko IPN
podczas XXVIII Targów
Książki Historycznej

POLECAMY NOWOŚCI IPN

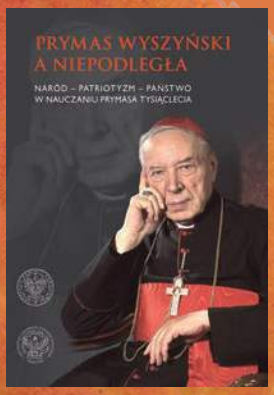

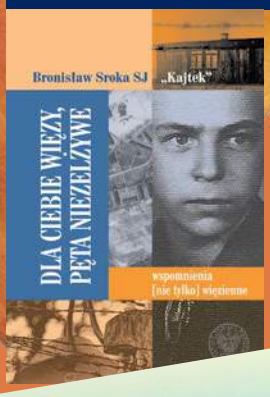

28 listopada–1 grudnia 2019

Arkady Kubickiego
Zamek Królewski w Warszawie

Stoisko nr 51

- Spotkania autorskie
- Panel dyskusyjny
  Wokół polityki historycznej
- Wystawa
- Recital Aleksandry Gintrowskiej

Zapraszamy również do księgarni IPN i punktów sprzedaży w całej Polsce
ipn.poczytaj.pl
Spotkaj nas na Facebooku: @księgarnia.ipn

eprasa.pl e955a3d6d7

Drodzy Czytelnicy,

Zachęcamy do przesyłania korespondencji pocztą tradycyjną (adres w stopce obok) oraz elektroniczną na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Za Odrą wrze", Paweł Chmielewski, „DRz" 46/2019

Szanowny Panie Redaktorze,
z pewnym niepokojem przeczytałem artkuł p. Pawła Chmielewskiego „Za Odrą wrze".

Abstrahuję od negatywnej oceny partii AfD (każdy ma prawo do swej opinii), zaskoczyło mnie nieprawdziwe stwierdzenie, cytuję: „W tym roku Alternatywa chciała zorganizować partyjny zjazd w... Szczecinie, dając tym wyraźny i agresywny sygnał Polsce".

AfD nie miała takiego celu. Do planu wyjazdu do Szczecina na sesję klubu poselskiego (nie na zjazd partii) zmusiła ją nagonka na AfD w Brandenburgu, gdzie hotel ze strachu przed demonstrantami odmówił rezerwacji sali i pokoi.

AfD postanowiła wyjechać na naradę do Szczecina, spodziewała się bowiem w państwie rządzonym przez konserwatystów (nacjonalistyczną prawicę, jak utrzymują media niemieckie) spotkać z neutralnym przyjęciem. Nie była to zatem prowokacja, lecz wyraz uznania wobec Polski, a policzek wobec Berlina, czego nie zrozumiał autor artykułu.

Inne punkty pominę.

Jan Bogatko

Od autora

Szanowny Panie,
rzeczywiście, to była sesja klubu, nie zjazd partyjny, to mój błąd, za który ponoszę odpowiedzialność.

Jednak co do samej interpretacji to podtrzymuję swoją. To, co napisał pan Jan Bogatko, jest oczywiście uprawnione, ale to tylko interpretacja.

Jest faktem, o którym wiedziałem, pisząc cytowane słowa, że pierwotnie planowano spotkanie w Brandenburgii, ale... ostatecznie zdecydowano się na Szczecin, a nie na jakiekolwiek miasto w Niemczech. W mojej opinii można i trzeba to interpretować właśnie tak, jak zaproponowałem, czyli jako sygnał dany Polsce i niemieckim nacjonalistom uważającym Szczecin za miasto niemieckie. Interpretacja p. Jana Bogatki bazuje na oficjalnych tłumaczeniach, moja na próbie odczytania szerszego kontekstu tego ruchu.

Z poważaniem
Paweł Chmielewski

„Komu futra niewygodne", Łukasz Warzecha, „DRz" 45/2019

Zwrot „cui prodest" (tak właśnie pisany, a nie „qui prodest", bo to nic nie znaczy") w prawie rzymskim i w europejskich doktrynach etycznych oznacza żądanie odpowiedzi na pytanie, który podmiot publiczny lub niepubliczny z określonych działań czerpie korzyść, a ustalenie odpowiedzi na to pytanie jest niezbędne w dalszym przebiegu procesu sądowego względnie wnioskowania etycznego. [...]

Z pozdrowieniem
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Od autora i redakcji

Za literówkę przepraszamy.

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Maria Kądzielska, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Maciej Biedrzycki, Filip Ćwik/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 71 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl e955a3d6d7

intercity.pl

Często podróżujesz po Polsce?

Wybierz PKP Intercity!

POZNAJ OFERTĘ KOLOROWYCH KART INTERCITY NA NIELIMITOWANE PODRÓŻE

- skorzystaj z karty rocznej, półrocznej, kwartalnej lub miesięcznej w wersji imiennej lub na okaziciela
- podróżuj po kraju wszystkimi pociągami PKP Intercity bez dodatkowych opłat*
- zyskaj w cenie karty przejazdy pociągami wielu przewoźników regionalnych

PKP INTERCITY. TYSIĄCE POWODÓW DO PODRÓŻOWANIA.

* Nie dotyczy przejazdów w Strefie Wygody, wagonach sypialnych i z miejscami do leżenia.
Szczegóły i regulamin oferty na intercity.pl/kk

PKP INTERCITY

eprasa.pl e955a3d6d7

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Pięć rad dla premiera

Exposé Mateusza Morawieckiego wyrwało PiS z ponadmiesięcznego stanu jakiegoś dziwnego rozchwiania. Nieprzemyślany pomysł złożenia przez PiS protestów wyborczych, spory w łonie Zjednoczonej Prawicy i dziwaczne dzieje wniosku o zniesienie 30-krotności w ZUS. Na tym tle premier swoim przemówieniem stworzył wrażenie nowej dawki zdecydowania i energii. Exposé skupiło się na hasłach budowy państwa dobrobytu i normalności przy paru „non possumus" w kwestiach ideowych, na czele z zapowiedzią chronienia dzieci przed wpływami ideologii LGBT i niezgodą na narzucanie Polsce przyjmowania uchodźców.

Teraz przed rządem pół roku, gdy jego działalność znajdzie w synergii z kampanią prezydencką Andrzeja Dudy. Jakie rady można dać szefowi rządu na ten burzliwy czas?

Po pierwsze, obietnice premiera nie mogą mnożyć się jak króliki. Lepiej obiecywać mniej, ale parę wybranych spraw doprowadzać do stanu, gdy już widać efekty działań.

Po drugie, nie wystarczą same zapowiedzi chęci pomocy przedsiębiorcom. To środowisko, które narzeka, że jest zaskakiwane pomysłami PiS i warto mu poświęcić sporo czasu na słuchanie ich postulatów. Nie wszystkie rząd może spełnić, ale sama rozmowa wiele zmienia. Biznes chce stabilizacji warunków, w których działa.

Po trzecie, premier winien wymagać od stojącej za nim partii, by częściej rozstrzygano spory, zanim projekty trafią do Sejmu, ponieważ każda konfliktogenna inicjatywa idzie na konto rządu. Po co było podejmować ideę likwidacji 30-krotności, skoro wiadomo było, że to płachta na byka dla partii Jarosława Gowina, a Lewica to niepewny i zdradliwy ewentualny sojusznik?

Po czwarte, choć rząd znalazł się w nowej dla siebie sytuacji ataków z dwóch skrzydeł – Konfederacji i Lewicy, to warto znosić wiele ich ataków ze spokojem. Opozycja nie będąc u władzy, zawsze łatwo rzuca maksymalistyczne propozycje. Spokój i opanowanie pomogą znieść ich pierwszy okres samozachwytu i impetu. Z czasem wyborcy mogą zauważyć, że skrajności są skrajnościami. Grzegorz Braun atakujący obecność wojsk amerykańskich w Polsce czy lewaczki wojujące o feminatywy – nie muszą swymi hasłami pociągać tłumów.

Po piąte wreszcie, warto mieć wyczulony słuch społeczny i reagować na nowe tematy, takie jak ekologia, bezpieczeństwo pieszych na pasach czy walka z plastikiem, ale trzeba w tej nowej roli zachowywać umiar. Minister klimatu chwalący się, że to katowicki szczyt klimatyczny wylansował Gretę Thunberg, rozdrażnił neofickim stylem wyborców prawicy.

Premier musi mieć ludzi od nowych pomysłów, ale równocześnie ludzi, którzy pilnują, aby stare obietnice były spełniane. I jedni, i drudzy są tak samo ważni. Na razie dla PiS najważniejsza jest prezydentura. Na ambitne pomysły zmian będzie czas po reelekcji Andrzeja Dudy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

FOT. XINHUA NEWS/EAST NEWS

NETANJAHU WALCZY O PRZETRWANIE

Prokurator generalny Izraela Awichaj Mandelblit postawił premiera Beniamina Netanjahu w stan oskarżenia w trzech sprawach dotyczących korupcji, defraudacji i nadużycia zaufania. Szef rządu jest podejrzany o przyjęcie prezentów-łapówek o łącznej wartości 264 tys. dol. (równowartość ok. 1 mln zł). To pierwszy premier Izraela z takimi zarzutami. Sam Netanjahu – nazywany „magikiem" za umiejętności wychodzenia z opresji – działania prokuratury nazywa „zamachem stanu", twierdzi, że jest niewinny i nie zamierza podawać się do dymisji. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl e955a3d6d7

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Kierunki drugiej kadencji

Słowem kluczem w exposé Mateusza Morawieckiego była „normalność". Wedle zapowiedzi celem rządu nie jest dziś wielka rewolucja, lecz stabilizacja i budowa państwa dobrobytu

Exposé Mateusza Morawieckiego zostało skrojone pod zbliżającą się kampanię prezydencką Andrzeja Dudy, któremu do zwycięstwa nie wystarczy samo poparcie wyłącznie twardego elektoratu PiS. Dlatego obóz rządzący chce pójść dalej i zawalczyć także o bardziej umiarkowanych i niezdecydowanych wyborców i to do nich w dużej mierze skierowany był przekaz z exposé. Zwrot ku codziennym problemom, takim jak bezpieczeństwo na drogach, edukacja, skrócenie czasu rozpatrywania spraw w sądach, pakiet badań kontrolnych dla każdego, kto ukończy 40. rok życia, to wyraźny ukłon w stronę tych, którzy nie emocjonują się politycznym sporem, a którzy rozliczają rządzących z tego, jak im się żyje.

Duży nacisk premier położył na kwestię ochrony rodziny, która „musi pozostać fundamentem społeczeństwa". – Wiem, że dziś rodzina jest traktowana przez niektórych jak przeżytek. Im głośniej się mówi o nowych modelach rodziny, tym bardziej pewne, że chodzi o mniejszościowe eksperymenty i mniejszościowe eksperymentalne rozwiązania. Nie zgadzamy się, by wyjątki określały, co jest normą. Wierzymy, że przyszłość naszych dzieci powinna być budowana na stabilnym fundamencie rodziny – podkreślał Morawiecki. – Dzieci są nietykalne. Kto podniesie na nie rękę, tę ideologiczną rękę, ten podnosi rękę na całą wspólnotę – dodawał, nazywając rodzinę „wartością arcypolską". Przy tej okazji wspomniał też o dowartościowaniu pracy kobiet w domu i zapowiedział walkę o równość kobiet oraz mężczyzn w miejscu pracy i ułatwianie matkom powrotu na rynek pracy po urlopie macierzyńskim.

Powołana ma zostać rada ds. rodziny jako forum dialogu organizacji rodzinnych i społecznych. Premier zapowiedział też powołanie pełnomocnika rządu ds. demografii.

Za jedno z kluczowych wyzwań, przed którymi stoi dziś Polska, premier uznał zmiany modernizacyjne. Obiecał tysiąc zeroemisyjnych szkół, system kaucyjny na jednorazowe butelki plastikowe i specjalne programy promujące zbiórki i ponowne wykorzystywanie opakowań. Ma zostać także powołany pełnomocnik rządu ds. odnawialnych źródeł energii. – Ekologia, czyste powietrze to nie jest temat prawicy lub lewicy – podkreślał, puszczając oko do wyborców lewicy i tych z młodszego pokolenia, dla których kwestie ochrony środowiska, co pokazują badania, stają się coraz ważniejsze.

Nowy program bezpiecznej infrastruktury drogowej i zmiany w prawie dające pierwszeństwo zbliżającym się do przejścia pieszym oraz możliwość korzystania z buspasów przez kierowców samochodów wiozących minimum cztery osoby czy wyższe składki OC dla piratów drogowych to także coś, co może się spodobać większości wyborców. Zwłaszcza po ostatnich medialnych doniesieniach o pieszych ginących na pasach.

Kwestie dokończenia reformy sądownictwa tak, by skrócił się czas rozpatrywania spraw w sądach, dostosowanie programów edukacji do współczesnych wyzwań, miliard złotych na Centrum Onkologii i darmowy pakiet badań kontrolnych dla każdego, kto skończy 40 lat, to kolejne zapowiedzi, które premier dołączył do tych składanych wcześniej, takich jak podwyżki dla nauczycieli czy 13. i 14. emerytura. Pojawił się także ukłon w stronę przedsiębiorców, którym premier proponuje m.in. wprowadzenie tzw. estońskiego CIT (dla małych firm), pakiet deregulacyjny i wolnościowy, uproszczenie podatków i ulgi inwestycyjne dla najmniejszych przedsiębiorców. Do współpracy nad pakietem wolnościowym dla biznesu premier zaprosił także opozycję, apelując o współpracę ponad podziałami. Do liderów opozycji zwrócił się także z pomysłem zmiany konstytucji tak, by wpisać do niej gwarancje dla środków zgromadzonych na kontach emerytalnych PPK i IKE. – Polacy to wielki naród z wielką przeszłością. Czas na wielką przyszłość – przekonywał Morawiecki, podkreślając, że warunkiem wielkiej przyszłości są skuteczna polityka rozwojowa i utrzymanie wysokiej dynamiki wzrostu PKB, do czego jego rząd będzie dążył.

Opozycji swoim exposé jednak nie przekonał. Najbardziej merytoryczna krytyka spotkała premiera nie ze strony lidera największej partii opozycyjnej, lecz ze strony mniejszych ugrupowań. Grzegorz Schetyna skupił się na rytualnym straszeniu PiS, za to reprezentujący Lewicę Adrian Zandberg i prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz wypunktowali konkretne słabości polityki PiS. Zandberg wytykał, że po czterech latach rządów PiS Polska nie jest państwem dobrobytu, stwierdził, że program „Mieszkanie Plus", którego kontynuację zapowiedział premier, to „kompromitacja", lekarze rezydenci zostali „oszukani", a kryzys klimatyczny PiS ogrywa „tanimi PR-owskimi gestami". Kosiniak-Kamysz skupił się na obronie praw przedsiębiorców, nazywając gesty pod ich adresem „obłudą do kwadratu", a propozycje premiera „koncertem życzeń". Przedstawiciel koła Konfederacji Robert Winnicki podsumował zaś, że Morawiecki wszedł w buty Tuska i proponuje politykę „ciepłej wody w kranie".

Exposé premiera Morawieckiego trwało 75 minut. Wysłuchali go m.in.: prezydent Andrzej Duda, byli premierzy oraz przedstawiciele korpusu dyplomatycznego. Tego samego dnia wieczorem Sejm udzielił wotum zaufania rządowi Mateusza Morawieckiego większością 237 głosów. ©℗

Kamila Baranowska

eprasa.pl e955a3d6d7

Sąd wypuszcza bossów mafii

Na wolność mogą wyjść „Słowik" i inni oskarżeni w sprawach wyłudzeń VAT. Wystarczy, że wpłacą poręczenia

Oskarżony w sprawie jest m.in. Andrzej Z. ps. Słowik FOT. JERZY DUDEK/FORUM

Przed Sądem Okręgowym w Warszawie toczy się proces 50 osób oskarżonych o wyłudzenia VAT. To w tej sprawie dwa lata temu Centralne Biuro Śledcze zatrzymało trzech mafijnych bossów – Andrzeja Z. „Słowika", Leszka D. „Wańkę" i Janusza P. „Parasola" – wraz ze znanymi gangsterami z „Pruszkowa". Śledczy doszli do wniosku, że po wypuszczeniu z więzień nie zaprzestali nieczystych interesów i zajęli się oszustwami gospodarczymi. Mieli też „ochraniać" gang specjalizujący się w wyłudzeniach opieranych na fikcyjnym eksporcie towarów spożywczych. Szacuje się, że na tej działalności Skarb Państwa mógł stracić blisko 200 mln zł.

Prokuratorzy uważają, że „Słowik" i „Wańka" mieli zapewniać środki do inwestowania w ten gang oraz mieli prowadzić rozliczenia z inną mafią. Przy egzekwowaniu należności od konkurencyjnej mafii miało dojść np. do wymuszenia rozbójniczego i przejęcia dwóch transportów Nutelli wartych ok. 600 tys. zł.

Była i druga grupa przestępcza. Ten gang „Słowika" miał zajmować się przestępstwami gospodarczymi, oszustwami podatkowymi, rozbojami, handlem narkotykami czy podrabianiem dokumentów. To gangsterzy mieli stać za zrabowaniem w 2016 r. bursztynu wartego 440 tys. zł.

Jak ustalił w ubiegłym tygodniu portal Tvp.info, sąd na specjalnym posiedzeniu uchylił tymczasowe aresztowanie Jerzego W., Sławomira F. i Filipa F. Zgodził się też na zamianę aresztu na poręczenie majątkowe wobec Janusza P., Andrzeja Z., Leszka D., Krzysztofa O. i Sebastiana W. ©℗ ***(luz)***

Książka, która odkłamuje nieprawdę

W Czechach ukazało się właśnie tłumaczenie książki Joanny Siedleckiej „Czarny ptasior". Wydanie wsparł polski Instytut Książki.

„Czarny ptasior" demistyfikuje okupacyjny życiorys Jerzego Kosińskiego, pisarza pochodzenia żydowskiego, który II wojnę światową przetrwał dzięki odważnym mieszkańcom wsi Dąbrowa Rzeczycka niedaleko Sandomierza. Kosiński to autor głośnej książki „Malowany ptak", która stała się pierwszym w literaturze oskarżeniem Polaków o okrucieństwo wobec Żydów, a tym samym o współudział w Holokauście. Na podstawie powieści Kosińskiego powstał film pod tym samym tytułem w reżyserii Václava Marhoula. Miał on swoją premierę we wrześniu podczas Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Wenecji.

Teraz Czesi będą mieli okazję poznać prawdziwą, a nie tylko filmową opowieść o okupacyjnych latach Kosińskiego. Dzięki wsparciu Instytutu Książki „Czarnego ptasiora" wydano właśnie po czesku. „Černé ptáče", w przekładzie Marceli Bramborovej, ukazał się niedawno nakładem praskiej oficyny Volvox.

Książka Siedleckiej udowadnia – na podstawie rozmów ze świadkami – że mały Jurek z „Malowanego ptaka" nie błąkał się samotnie po polskich wsiach, nie rozłączył z rodzicami i nie stracił mowy na skutek licznych aktów przemocy i okrucieństwa. Przeciwnie, przetrwał wojnę wraz z rodzicami dzięki pomocy Polaków. Szkoda, że podczas swojej wizyty w Polsce w 1989 r. Kościński był wszędzie, tylko nie tam, gdzie jeszcze żyli ci, którzy ryzykowali dla niego życie. Siedlecka promowała już czeski przekład „Czarnego ptasiora" na corocznych, odbywających się w listopadzie Międzynarodowych Targach Książki w Bratysławie. Książkę w języku czeskim otrzymał reżyser „Malowanego ptaka", na razie jednak milczy. W przygotowaniu jest już ukraiński przekład „Ptasiora". Angielska wersja książki dostępna jest od kwietnia. ©℗

JOANNA SIEDLECKA „ČERNÉ PTÁČE" MARCELA BRAMBOROVA (PRZEKŁAD), VOLVOX

Damian Cygan

eprasa.pl e955a3d6d7

Zwiększamy komfort podróży

Wygodne i ekologiczne autobusy, szybka kolej, kilometry nowych dróg i autostrad. Ze wsparciem BGK realizowane są inwestycje we wszystkich regionach naszego kraju, komfort podróżowania Polaków poprawia się z dnia na dzień, a czas dojazdu znacznie skraca.

Zmiany widoczne i odczuwalne są każdego dnia. Ich świadkami są m.in. mieszkańcy Tomaszowa Mazowieckiego, którzy od niedawna korzystają z hybrydowych autobusów, a co za tym idzie, oddychają lepszym, zdrowszym powietrzem. Na drogi wyjechało 25 oszczędnych autobusów miejskich, którymi komfortowo mogą podróżować również osoby niepełnosprawne. Pasażerowie chwalą sobie przystanki wyposażone w elektroniczne tablice, na których na bieżąco wyświetlają się godziny przyjazdu, możliwość naładowania telefonu w autobusie czy udogodnienia dla osób podróżujących z wózkami. Nic więc dziwnego, że mieszkańcy Tomaszowa Mazowieckiego coraz częściej wybierają autobusy. Miesięczna liczba przejazdów komunikacją miejską wzrosła w 2018 r. o prawie 70 proc. Inwestycja w ekologiczny transport nie byłaby możliwa bez wsparcia finansowego z Banku Gospodarstwa Krajowego.

Transport miejski coraz szybszy i bardziej eko

Powody do zadowolenia mają również mieszkańcy Pomorza. Od czterech lat korzystają z Pomorskiej Kolei Metropolitalnej, która znacząco poprawiła jakość transportu publicznego w regionie. Tylko w 2018 r. z PKM skorzystało ponad 4 mln pasażerów. Budowa sieci była możliwa dzięki podpisaniu z BGK umowy na organizację i gwarantowanie programu emisji obligacji na 170 mln zł.

Nowoczesną siecią tramwajową będą mogli cieszyć się mieszkańcy południa naszego kraju. Tramwaje Śląskie podpisały umowę z konsorcjum BGK z jednym z banków komercyjnych. W ten sposób spółka zyskała możliwość zakupu 45 nowych, niskopodłogowych tramwajów, zmodernizuje ok. 100 km torowisk i wybuduje ok. 20 km nowych linii.

We wszystkich regionach Polski realizowane są projekty ze wsparciem z BGK.

Zwiększanie komfortu podróży to nie tylko skok technologiczny. Dla BGK tak samo ważna jest dbałość o rozwój ekologicznego i bezpiecznego publicznego transportu, z którego Polacy mogą korzystać każdego dnia.

Katarzyna Zimińska

eprasa.pl e955a3d6d7

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Nadrabianie miną

Jeśli z wyroku TSUE cieszą się zarówno premier i minister sprawiedliwości, jak i politycy opozycji, jeśli TVP ogłasza sukces rządu, a TVN „trzęsienie ziemi w polskim wymiarze sprawiedliwości" – to ktoś musi ściemniać. Nawet pobieżne zapoznanie się ze szczegółami sprawy pokazuje, że ściemniającym jest tu zdecydowanie szeroko rozumiany anty-PiS. Chociaż i w nim zdarzyło się nielicznym uczciwie przyznać prawdę, jak dziennikarce „Polityki", która z rozgoryczeniem zarzuciła TSUE „ucieczkę".

Na postawione trybunałowi pytania Sąd Najwyższy powinien odpowiedzieć sam

W istocie, orzeczenie TSUE, sprowadzające się do stwierdzenia, że na postawione trybunałowi pytania Sąd Najwyższy powinien odpowiedzieć sam, bo trybunałowi unijnemu nic do wewnętrznych spraw kraju członkowskiego, zgadza się ze stanowiskiem polskiego rządu. To, że tym razem orzeczenie nie zabrzmiało tak stanowczo jak wtedy, kiedy odrzucono wątpliwości sędziego Tulei, czy jest sędzią w rozumieniu unijnym, czy nie jest, wynika z retoryki. Odmowę udzielenia wsparcia sędziowskiej rebelii (wraz z decyzją przełożył TSUE na SN „ciężar gniewu władzy" – pisze cytowana autorka „Polityki", odsłaniając główny sens całej operacji z „pytaniami prejudycjalnymi") osłodził Trybunał frazesami sugerującymi, że wspiera ją moralnie i chętnie by pomógł, ale nie może. Przemycił też w odmowie zachętę, by jeśli SN uzna ustawy za sprzeczne z „prawem unijnym", to żeby kierował się tym drugim jako nadrzędnym wobec krajowego. Chociaż zarazem nie wskazał ani owych sprzeczności, ani traktatowej podstawy do ustalania takiej nadrzędności.

Wydaje się, że prawnicy tacy jak prof. Matczak czy Sadurski uchwycili się tego wskazania (frazami w rodzaju: „TSUE nie zanegował wprost PiS-owskiej reformy, ale dał nam dynamit do jej wysadzenia") na zasadzie „jeśli się nie ma, co się lubi…". Demonstracyjna radość opozycji wydaje się równie bezpodstawna jak twierdzenia, że „moralnie" wygrała wybory parlamentarne, bo jeśli pominąć wyborców Konfederacji, to PO, PSL i Lewica miały nieco więcej głosów niż PiS (co ciekawe, wedle takiego liczenia PiS „wygrał" w Senacie – dlatego tu liberalno-lewicowe media trzymają się ordynacji). Tak naprawdę chodzi tylko o podtrzymanie zwolenników w wierze, że nie jest źle i jeszcze wygramy. Ale na razie nic na to nie wskazuje. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Trochę sprawiedliwiej

Były PRL-owski szef SB – Władysław Ciastoń – i jego przyboczny Józef Sasin trafią do więzienia na dwa lata za to, że w okresie PRL zorganizowali akcję powoływania do wojskowych obozów specjalnych, będących miejscami represji, młodych ludzi uczestniczących w antykomunistycznych strajkach. Skazanie drani to dobra wiadomość, dająca nadzieję, że szczątkowa sprawiedliwość dotknie pieszczochów totalitarnego reżimu. A uściślając – jest szansa, że trafią do ZK, bo zaraz zaczną się hece ze zwolnieniami lekarskimi, odroczeniami ze względu na wiek i tym podobne.

To prawdopodobnie jeden z ostatnich wyroków wobec esbeków. Sędziowie, wspólnie z partią opozycyjną, są na wojnie z obozem rządzącym, a że na tej wojnie są i byli funkcjonariusze komunistycznych służb, pozbawieni ustawą dezubekizacyjną wysokich emerytur, to zaczęło się dopieszczanie byłych totalniaków.

Tak jak w Częstochowie, gdzie pewien sędzia w kolejnych sprawach decyduje o przywróceniu im wysokich uprawnień emerytalnych. Albo tak jak w Warszawie, gdzie sąd umorzył postępowanie przeciw funkcjonariuszom SB, którzy przygotowywali przeciw ks. Jerzemu Popiełuszce tzw. prowokację na Chłodnej.

Komentując wyrok skazujący Ciastonia i Sasina, były działacz antykomunistycznej opozycji, obecnie poseł PO Bogusław Sonik, zauważył, że nie powinno się ich tytułować „generałami", bo uwłacza to polskiemu wojsku, a wszyscy oficerowie SB powinni być pozbawieni stopni ustawą. Powinni.

Pamiętam jednak też krzyk PO „o zemście politycznej", gdy Antoni Macierewicz tylko wspomniał o degradacji Jaruzelskiego i jemu podobnych. Stąd i degradacji esbeków nie będzie. Może być w Polsce sprawiedliwiej, ale tylko trochę. ©℗

eprasa.pl e955a3d6d7

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Jak Włosi Wenecję topili

Wenecja padła ofiarą szalonych ekologów, ideologicznego zacietrzewienia, związanej z nim głupoty, a w końcu korupcji. Dokładnie w tej kolejności.

Do najpoważniejszego w historii podtopienia najpiękniejszego miasta świata doszło w 1966 r. O tym, jak Wenecję chronić przed wodą, deliberowano przez 10 lat.

Powstał projekt MOSE, który uznano za jeden z cudów myśli inżynieryjnej XX w. Zielone światło na budowie systemu zapór zapalił rząd Craxiego w 1985 r. Miał zostać ukończony 10 lat później. Jednak na barykady ruszyli ekolodzy.

Powołano specjalną komisję, która stwierdziła, że MOSE nie stanowi ekologicznego zagrożenia. Na to dictum ekolodzy doprowadzili do powstania kontrkomisji, co w sytuacji ciągle zmieniających się włoskich rządów było dziecinną igraszką. Jej eksperci potwierdzili jednak diagnozę swoich poprzedników. Powołano następną komisję. Wyroki były identyczne, więc powstała kolejna. Ta stwierdziła, że MOSE sprzyja ekosystemowi.

Naturalnie stronami sporu stały się partie polityczne i spór przeniósł się ze sfery ekologicznej do ideologicznej. Lewica była przeciw, a prawica – za. Chociaż trudno w to uwierzyć, to w ten sposób zideologizowanym idiotom udało się powstrzymać rozpoczęcie prac do 2003 r. Stanęły jednak w 2006 r., bo do władzy doszedł lewicowy rząd Prodiego. Ruszyły dwa lata później, gdy Prodi i towarzysze pokłócili się śmiertelnie i gabinet upadł.

Kiedy wydawało się, że wreszcie, po ćwierćwieczu, uda się projekt zrealizować, okazało się, iż część z blisko 6 mld euro wyłożonych przez skarb państwa na budowę MOSE, wylądowała w przepastnych kieszeniach polityków i przedsiębiorców. Szesnaście osób poszło za kratki. Budowa znów stanęła. W tej chwili rzekomo projekt jest zrealizowany w 94 proc. Potrzeba jeszcze 400 mln euro i roku, jeśli nie dwóch. Może, po 36 latach, wreszcie się uda.

Ten sposób gospodarowania jest w Italii powszechny. Nazywa się to gospodarką Penelopy: w dzień tkać, a pruć w nocy. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Pytania retoryczne

Zapewne doskonale państwo wiedzą, że 11 listopada w bezinteresownym geście z okazji Święta Niepodległości nasz największy sojusznik zadeklarował z dawna wyczekiwane zniesienie wiz. Co do rzeczy mniej oczywistych – oddajmy głos komentatorom. „A więc wiemy już, że pierwszy pracownik TVP bez wizy wjechał do Stanów nielegalnie – albowiem jadąc w celach zawodowych, objęty był obowiązkiem wizowym" – napisał Witold Głowacki. „Czyli nasz pierwszy pasażer bez wizy pojechał do pracy na czarno. Polska tradycja trzyma się mocno" – dodała Dominika Długosz, a sam Jarosław Olechowski wysypał się wcześniej, że ów „pierwszy pasażer", o którym reportaż zrobiły „Wiadomości", jest ich redaktorem.

Zmieniając temat na luźniejszy, proponuję kategorię: pytania bez odpowiedzi. „Rezolucja PE potępiająca penalizację edukacji seksualnej w Polsce przyjęta! 471 głosów za, 128 przeciw, 57 wstrzymujących się. PE po stronie zdrowego rozsądku i równości" – napisała Sylwia Spurek. „Czy w Polsce istnieje penalizacja edukacji seksualnej?" – rzucił Radosław Fogiel. Po ciszy, która zapanowała, jak widać w próżnię.

„Od dwóch lat nie jestem premierem. Nie zabiegam o żadne stanowisko. Staram się jak najlepiej wykonywać mandat, który powierzyło mi ponad pół miliona wyborców. Z dnia na dzień jestem coraz bardziej, bezpardonowo atakowana z różnych stron. Czyżbym była zagrożeniem dla tak wielu?" – zastanawiała się Beata Szydło. „Od Watykanu po Waszyngton nikt nie zrozumiał rekonstrukcji rządu z przełomu 2017/2018. Dymisji najpopularniejszej premier i 1/3 rządu mającego poparcie sięgające 50 proc. Wielu się zastanawia, komu ten rząd wtedy przeszkadzał i widać nadal przeszkadza" – odparł Witold Waszczykowski. Jednak żeby pociągnąć wątek dalej, fantazji zabrakło.

Ponieważ na Twitterze panuje względna równowaga, gdzieś fantazji musiało być w nadmiarze. „Czytam, że Bronisław Komorowski jest namawiany przez Lewicę do startu w wyborach prezydenckich. To może być kandydatura na miarę Kwaśniewskiego XXI wieku" – ironizował internauta o pseudonimie Kapibara. „To dobry pomysł. Tylko KTOŚ sensowny, nowoczesny, powinien zrobić mu kampanię. Mocny sztab. Mądry" – stwierdziła Dorota Zawadzka, „Superniania". Niestety na serio. ©℗

eprasa.pl e955a3d6d7

GDY PRAWDA WYCHODZI NA JAW

Piosenkarka Ewelina Lisowska postanowiła iść za nowym trendem w show-biznesie i zacząć pokazywać się w nieco bardziej naturalnej wersji. Czyli bez makijażu. Takie właśnie naturalne zdjęcie wrzuciła na swój profil na Instagramie, licząc na zachwyt swoich fanów. „Dodaję to zdjęcie, bo mam ochotę być sobą. Mieć te wszystkie siniaczki, zaczerwienienia, przesuszone usta, odrost na włosach i wszelkie inne ludzkie mankamenty. Dodaję to zdjęcie, bo jest Was tu już 250.000! Wiem, że mam niesamowicie kochanych obserwatorów, którzy wiedzą, czym jest kultura wypowiedzi i szacunek do drugiego człowieka. Dziękuję, że jesteś ze mną" – napisała. Reakcje nie spełniły jednak oczekiwań Eweliny. Okazało się, że jej zdjęcie w wersji naturalnej odstraszyło sporą część fanów, którzy lawinowo opuszczali jej profil. „Słuchajcie, przed chwilą wybiło mi 250 tysięcy obserwatorów. Dodałam swoje naturalne zdjęcie i znowu mam 249" – poskarżyła się. Wychodzi na to, że czasem lepiej nie tylko nie mówić ludziom całej prawdy, lecz także jej nie pokazywać. Zwłaszcza w show-biznesie.

OBURZONA JAK CELEBRYTKA

Pani Martyna Gliwińska ma już dość mediów, plotek i ciągłego tłumaczenia się z tego, że jest w ciąży z Jarosławem Bieniukiem, mężem zmarłej aktorki Anny Przybylskiej. O ich romansie było głośno w tabloidach, ale ostatnio niespecjalnie dobrze się u nich działo. Teraz media piszą, że Jarek nie jest zadowolony z całej sytuacji, a Martyna liczy się z samotnym macierzyństwem. – Jestem tym wszystkim wykończona – mówi Gliwińska w rozmowie z magazynem „Party". I już nawet chcieliśmy jej powspółczuć tego zamieszania, ale doczytaliśmy, że radosną nowiną pani Martyna podzieliła się ze światem z własnej woli za pośrednictwem jakiegoś plotkarskiego tygodnika. Sami nie wiemy, czego się spodziewaliśmy. Gdyby celebryci byli mądrzejsi, nie byliby celebrytami. A już zwłaszcza ci aspirujący.

FACECI NA LASER!

Tymczasem w rzeczywistości alternatywnej Perfekcyjna Małgorzata Rozenek-Majdan namawia swego męża, niegdyś poważnego bramkarza reprezentacji, dziś męża swojej żony celebrytki, na laser, który „odmłodzi mu skórę". Niestety, Radzio broni się, jak może, o czym Małgorzata opowiedziała w rozmowie z „Faktem". – Już dwa razy go umawiałam, ale za każdym razem mu coś wypadało – skarży się na męża. Rozenek chwali się jednak, że Radzio i bez tego dobrze wygląda, bo ma dobre geny. – On nie lubi takich zabiegów. Wbrew pozorom nie jest osobą, która korzysta z medycyny estetycznej. A szkoda... Będę ze wszystkich sił próbowała go na ten laser wysłać, bo to superrzecz – zapowiada Małgorzata. Chyba trzeba na szybko jakieś kółko wsparcia zorganizować. A na razie – nie daj się, Majdanie!

FOT. PAWEŁ GROMADA

WSTYD I KOMPLEKSY

FOT. TRICOLORS/EAST NEWS

Lara Gessler pochwaliła się swoim półnagim zdjęciem, na którym widać spore znamię na piersi. Lara pisze, że od lat był to jej skrywany kompleks. – Cały wczorajszy wieczór spędziłam w pięknej sukni, makijażu i włosach. Mimo to cały czas czułam się skrępowana, że przy dynamicznym ruchu to znamię będzie widoczne – wyznaje. – Kiedy dostałam te zdjęcia i zobaczyłam siebie, moje ciało, które bardzo lubię, to pomyślałam, że pozwoliłam, żeby moje demony zdominowały miłość do siebie. I to jest złe. Im wcześniej przerobimy te lekcje, tym więcej będziemy mieli czasu na życie w harmonii. Cieszę się, że zamieszczając to zdjęcie, rozliczam się ostatecznie ze swoim lękiem i nieakceptacją – napisała. Ów lęk i brak akceptacji pani celebrytki najlepiej widać na jej licznych półnagich lub całkiem nagich zdjęciach, którymi od dawna ochoczo obdarza Internet. Widać, że wstydliwa i zakompleksiona.

NATURALNIE OD CHIRURGA

Znany chirurg gwiazd Krzysztof Gojdź otworzył nową klinikę medycyny estetycznej, i to nie byle gdzie, bo w Miami, gdzie obecnie mieszka. Otwarcie było huczne, pojawiło się ponad 200 gości, były atrakcje i rozrywki. Gojdź pochwalił się, że jego placówka jest „najnowocześniejsza", a zespół specjalistów najlepiej wyszkolony. „Moim celem jest bycie nr 1 na Florydzie, tak jak to było w Polsce. Zawsze numer 1! I ten cel osiągnę ciężką pracą już za kilka miesięcy. Rozpiera mnie duma" – napisał na swoim Facebooku. Nowego przedsięwzięcia pogratulowała Gojdziowi aktorka Katarzyna Warnke, która pochwaliła nową klinikę m.in. za jej piękne położenie. Dodała też, że to właśnie Gojdziowi zawdzięcza swój „naturalny i świeży wygląd". Nie ma to jak chwalić się naturalnością, którą zawdzięcza się chirurgowi medycyny estetycznej. Tego jeszcze w show-biznesie chyba nie grali. ©℗

eprasa.pl e955a3d6d7

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, reprezentacja tego kraju dostała się na mistrzostwa Europy w piłce nożnej. Czy UEFA wie, iż w tym kraju są łamane konstytucja i prawa człowieka? Może powinniśmy napisać jakiś ładny donos... tzn. rezolucję potępiającą obecność reprezentacji tego kraju w imprezie o europejskim znaczeniu, dla prawdziwych Europejczyków?

W dodatku trwa jeszcze zażarta dyskusja, czy kapitan tej reprezentacji Robert Lewandowski powinien dostać Złotą Piłkę. Nie wiemy jak was, ale nas drażni blichtr środowiska piłkarskiego, bo nie dość, że zarabiają więcej, niż jesteśmy w stanie policzyć, to jeszcze przyznają sobie Złote Piłki, co wygląda na szczyt rozpasania i próżności.

Jeśli jednak już, to życzylibyśmy sobie, aby Złota Piłka została obłożona podatkiem 1000 proc., iż Lewandowskiego stać, aby zapłacić, a poza tym nie może być tak, że każdy tak sobie zarabia bez limitów.

Smutne to, iż rząd socjalneoliberała Mateusza Morawieckiego otrzymał wotum zaufania. Mieliśmy nadzieję, iż może jednak uda się odsunąć pis od władzy metodą głosowań sejmowych.

Zapomnieliśmy jednak, iż pis ma większość, pomimo tego że przegrał wybory – bo, przypominamy, więcej mieszkańców tego kraju na niego nie głosowało, niż głosowało. Widzimy też, iż w rządzie zaistniała całkowita negacja mniejszości i różnorodności. W takiej Kanadzie w rządzie byli np. sikhowie, mniejszości etniczne, osoby LGBTQWERTY, może nawet niebirnarne. A u nas? Żadnego sikha, żadnego przedstawiciela mniejszości, za to Sasin z Ziobrą. Już widzimy, jak zachodnie media będą pisać: „Najmniej różnorodny rząd Europy", siara w chooy.

Polskiemu rządowi mało jest ingerowania w wolność twórczą w tym kraju i najwyraźniej cenzura represyjna (poprzez brak dofinansowania) dla niektórych wydawnictw, już mu nie wystarcza. Wyobraźcie sobie, iż rząd tego kraju postanowił napominać Netflixa, co naszym zdaniem jest niedopuszczalnym zamachem na wolność twórczą, osobistą oraz prawo do reinterpretowania historii, w której przecież nic nie jest powiedziane raz na zawsze. CEO rządu tego kraju wysłał więc pełen troski list do CEO Netflixa, iż pewne materiały w produkcji „Iwan Groźny z Treblinki" są „nieprecyzyjne". Chodzi o kwestię obozów, czy były „polskie" czy „w Polsce", a już zupełnie osobną kwestią jest to, czy kogokolwiek na Zachodzie to obchodzi.

Mamy więc radę dla Mateusza Morawieckiego. Żadne sądy, żadna konstytucja ani Trybunał, nic nas tak nie wnerwi, jak odebranie nam Netflixa, więc radzimy uważać z takimi listami, bo w innym wypadku będą protesty, jakich ten kraj nie widział!!! ©℗

REKLAMA

eprasa.pl e955a3d6d7

FOT. RAFAŁ OLEKSIEWICZ/REPORTER

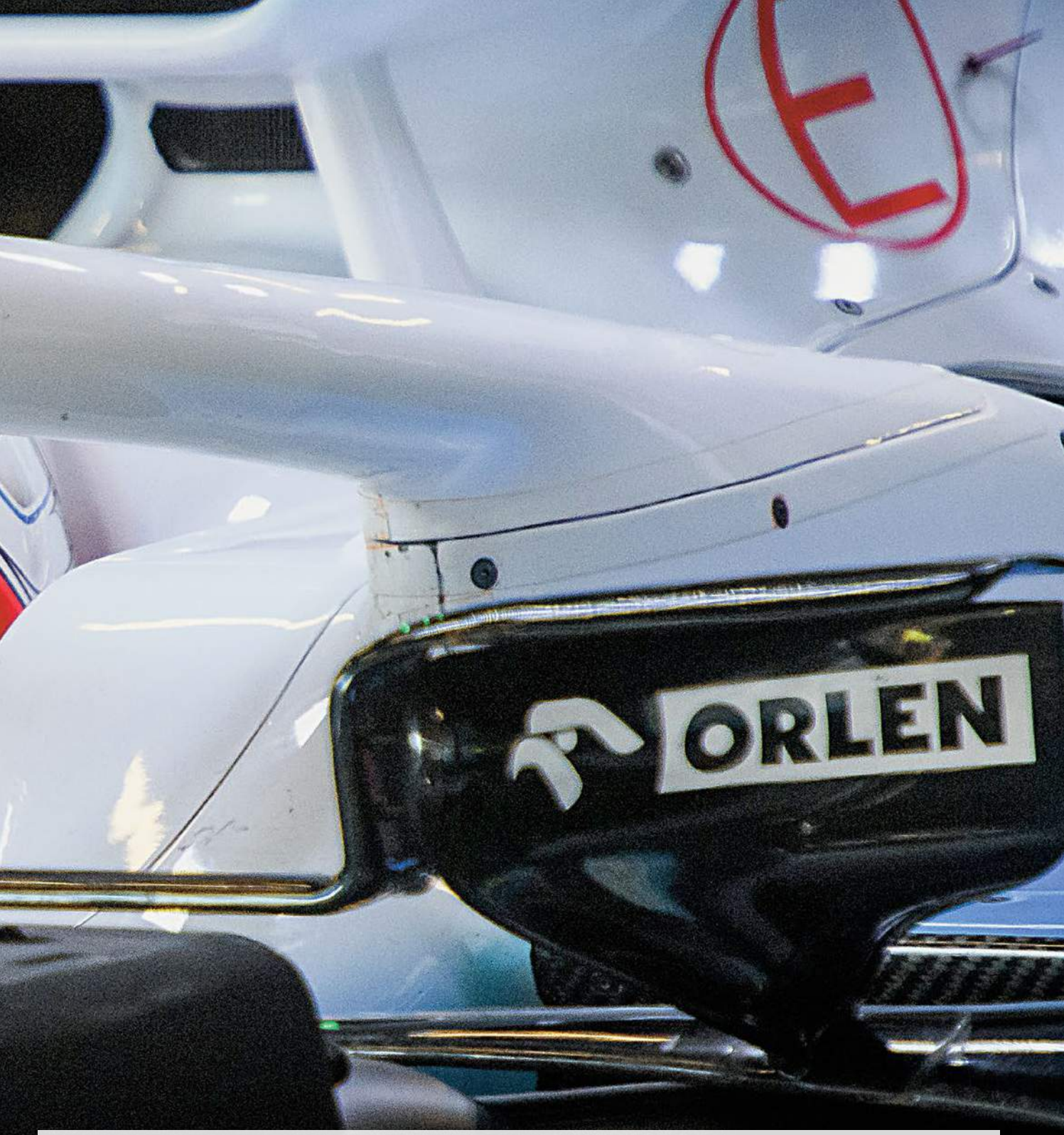

FORMUŁA 1: DLA KOGO BĘDZIE JEŹDZIŁ ROBERT KUBICA

34-letni polski kierowca rajdowy zostanie w przyszłym roku kierowcą testowym oraz rezerwowym brytyjskiego teamu Racing Point – poinformował w piątek portal GPToday.net.

Gdy w piątek zamykaliśmy to wydanie tygodnika „Do Rzeczy", informacja o nowym pracodawcy Polaka nie była jednak jeszcze oficjalna. Jeśli rzeczywiście się potwierdzi, to Robert Kubica – który już wcześniej poinformował o odejściu wraz z końcem sezonu z zespołu Williamsa – będzie miał okazję do jeżdżenia bolidem w piątkowych treningach przed wyścigami w ramach Grand Prix i testowania różnych technicznych nowości.

Portal GPToday.net poinformował również, że poza pracą dla teamu Racing Point słynny polski kierowca rajdowy ma startować w serii DTM, w której ma zasiąść za kierownicą bmw.

Robert Kubica ma za sobą bardzo trudny sezon w Formule 1. W dotychczasowych wyścigach Polak zdobył tylko jeden punkt, ale i tak okazał się lepszy niż drugi kierowca Williamsa 21-letni George Russell, który nie zdobył żadnego punktu. Powodem tak beznadziejnych wyników miały być kłopoty z bolidem. Tytuł mistrza świata w tym sezonie Formuły 1 zdobył jeżdżący dla Mercedesa Brytyjczyk Lewis Hamilton. ***(jap)*** ©℗

dwaj panowie g

Prezydent Polski to funkcja czysto reprezentacyjna. Po co mi to? Mam swoje ego huśtać? Jak mnie ktoś pyta o politykę krajową, to się najeżam". Witamy Jacka Jaśkowiaka, prezydenta Poznania, w gronie huśtających najeżonych. Z okazji jego kandydowania na kandydata na prezydenta z PeŁo przypomniały nam się jego słowa sprzed dwóch lat.

Pochwalimy się przy okazji – przypomniały nam się te słowa, bo jesteśmy jedynymi ludźmi w Polsce, którzy doczytali wywiad rzekę z Jaśkowiakiem do końca. Nie było łatwo. Dzięki temu wiemy także, że po kolejnych wygranych wyborach PiS (prognoza A.D. 2017) „wyraziści politycy partii opozycyjnych trafią do aresztów". Jakie to szczęście, że w opozycji nie ma już żadnych wyrazistych polityków.

Uwaga! Popieramy Radka Sknerusa Sikorskiego! To prawda, prawybory prezydenckie w PeŁo A.D. 2015 były ustawione. Teraz haczyk: popieramy Radka w jego diagnozie ogólnej, ale już nie w szczegółach. Otóż bój między Komorowskim a Sikorskim był lewy nie dlatego, że lokalni działacze mieli zakaz promowania Sikorskiego, ale dlatego, że w interesujący sposób przygotowano system internetowego głosowania w prawyborach.

Już wyjaśniamy. Każdy członek PeŁo dostał wtedy własny unikatowy dostęp do systemu głosowania, tyle tylko, że był kłopot z anonimowością, bo baronowie lokalni PeŁo mieli dostęp do wiedzy, kto i jak głosował. A ponieważ wszyscy wiedzieli, że życzeniem Donalda Tuska jest wygrana Komorowskiego, nikt się za bardzo nie wychylał, żeby uniknąć kłopotów. Uwielbiamy demokratyczne partie z demokratycznymi procedurami.

Apropos Tuska, znaczy Złego Donalda z Brukseli. Teraz został Złym Donaldem z Zagrzebia, gdzie wybrano go na szefa Europejskiej Partii Ludowej (co zapowiadaliśmy od dawna). Bój był zażarty. Salę wypełniali przekarmieni pieczeniarze i tytani intelektu czerpiący wiedzę o świecie z prasówek przygotowywanych przez młodych, głodnych pieczeniarzy. Po heroicznej walce Zły Donald wygrał. W końcu był jedynym kandydatem.

Ważne uzupełnienie. Nawet wiewiórki z kręgów PeŁo i Peezelu nie wierzą na razie w szczerość zapewnień Złego Donalda, że nie będzie kandydował na prezydenta. Co ciekawe, włącznie z tymi, które spotkały się z nim w Brukseli jakiś czas temu, gdy po błogosławieństwo duchowego ojca pojechał młody piękny chadek Kosiniak-Kamysz. Co ma sens, przyznajmy. Jako szef EPL Tusk może nawalać PiS i prezydenta Andrzeja Sebastiana bez brania udziału w prekampanii wyborczej w Polsce.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Teraz ujawnimy, co nas w wyborze Tuska na szefa EPL ubawiło najbardziej. Otóż zapowiedź: „Jednym z zadań dla Tuska będzie zdefiniowanie na nowo, co znaczy chrześcijańska demokracja w dzisiejszych czasach" – tak mówił Manfred Weber. Nie ma co się wysilać, Donald już w roku 2006 miał gotową definicję. Mówił wtedy do kolegów PeŁo, którzy mieli pretensję o nadmierną prawicowość partii: „Żadna partia lewicowa ani centrolewicowa przez najbliższe 10–15 lat nie wygra wyborów w Polsce. Trzeba zatem być prawicą". Tak, ideowość Donalda też zawsze podziwialiśmy.

Ciekawe wieści w kwestii prekampanii. Wiewiórki z okolic pracowni badania opinii publicznej, której nazwa zaczyna się na literę I, opowiadają, że jakiś czas temu dostała zlecenie na sprawdzenie szans kandydatów na prezydenta. Lista była długa, ale nas najbardziej zastanowiły dwa nazwiska – Radka Sikorskiego oraz… Szymona Hołowni. A teraz najlepsze: było to, zanim oba te nazwiska w ogóle pojawiły się w obiegu jako potencjalnych kandydatów.

Poznawszy jednak wyniki badania, nie dziwimy się, że Radek w ubiegłym tygodniu ogłosił, iż nie wystartuje. Wynik miał co prawda przyzwoity, lecz bez szans na zwycięstwo z Andrzejem Sebastianem. Dziwimy się natomiast, że rezygnacji nie ogłosił Szymon Hołownia, który uzyskał wynik pozwalający zliczyć jego punkty procentowe na palcach jednej ręki. Źli ludzie opowiadają, że Szymon jest kandydatem rozpaczy pewnego mecenasa zwanego Koniem.

Hołownię znamy z czasów, kiedy jeszcze nie robił za parytetowego katolika „GazWybu" i tefauenów. Były to czasy, gdy dał drapaka od dominikanów, gdzie odbywał nowicjat. Ba, imprezowaliśmy z nim nawet. Jak na byłego zakonnika pląsał

eprasa.pl e955a3d6d7

Wszyscy posłowie Porozumienia chcieliby być wiceministrami. Okazuje się, że wszyscy posłowie Solidarnej Polski też

całkiem udatnie. Opowieści o bliskiej znajomości z pewną amerykańską gwiazdą kina też słuchaliśmy z zainteresowaniem. Wolimy jednak Kazka Sowę, księdza, który wspiął się na wyższy poziom i przed laty był jurorem w konkursie miss mokrego podkoszulka. No i nie zrzucił sutanny, choć nigdy go w takiej nie widzieliśmy. A podobno ma. Nie byle jaką. Od krawca z Rzymu.

Tymczasem w Zjednoczonej Prawicy. Trwają negocjacje w sprawie nowej umowy koalicyjnej. Aktualnie najbardziej gorąco jest wokół stanowisk wiceministrów. Pamiętacie, jak tydzień temu informowaliśmy, że wszyscy posłowie Porozumienia chcieliby być wiceministrami? Otóż rozszerzamy wiadomość. Okazuje się, że wszyscy posłowie Solidarnej Polski też.

Trzeba przyznać, że przywódcy partii satelickich zachowują się w sprawie negocjacji bardzo przytomnie. Negocjują wspólnie, żeby Kaczor Dyktator nie mógł ich osobno rozgrywać ani ogrywać. Nawet wpływowi ziobryści chwalą z tej okazji talenty Gowina i Bielana, co – przyznacie – jest równie rzadkie jak milczenie Krystyny Pawłowicz.

Na nieszczęście dla satelickich stronnictw sojuszniczych Kaczor Dyktator opracował doskonałą metodę ograniczania ambicji wiceministerialnych. Mówi na przykład: „Oczywiście, możecie mieć tylu wiceministrów, ilu chcecie". Potem robi pauzę. Po czym dodaje: „W zamian za to PiS będzie miał w waszych resortach tylu wiceministrów, ilu mu się spodoba". I wtedy dyskusja jakoś szybko gaśnie.

Zabawnie było podczas poprzedniego etapu negocjacji, czyli jeszcze przed ogłoszeniem składu nowego rządu. Solidarnej Polsce ZiZou proponowano różne resorty: a to cyfryzację, a to może nawet rodzinę, pracę i politykę społeczną. Co ciekawe, za każdym razem kandydatem SolPolu na ministra był Michał Woś, człowiek, który żadnej pracy się nie boi.

Skończyło się, jak wiecie, na tym, że Woś został ministrem środowiska. Wcześniej zajmował się uchodźcami. Jeszcze wcześniej samorządem. A na początku cyfryzacją. Proponujemy syntezę: nowy program opatrzenia drzew w lasach państwowych w e-dowody tożsamości. Program powinni realizować na swym terenie samorządowcy, żeby drzew nie wycięli uchodźcy. Naszym zdaniem ma to sens.

W spółkach Skarbu Państwa chaos. Nikt nie wie, do kogo zawczasu pukać w sprawie utrzymania posady: do starych rozgrywających czy do nowych?

À propos poszukiwania nowych ministrów. Niejaki Jan Grabiec z PeŁo ogłosił, że oferowanie posad politykom opozycji to stosowanie przez PiS „metod Służby Bezpieczeństwa". Tak, pamiętamy mroczną noc lat 70. i 80. Nie było dnia, żeby na naszych osiedlach esbecy nie wpadali po nocy do mieszkań opozycjonistów, by ich prześladować, oferując im teki ministerialne.

Tymczasem w spółkach Skarbu Państwa szaleństwo i chaos. Nikt nie wie, do kogo zawczasu pukać w sprawie utrzymania dotychczasowej posady: do starych rozgrywających czy do nowych rozgrywających. A co, jeśli zaniedba się starych, a oni zostaną także nowymi? Wszystkie te niepokoje owocują niezwykłymi ruchami, które pozwoliliśmy sobie nazwać „marketingiem posadowym".

Oto ciekawy przykład marketingu posadowego: nawet Patrycja Kotecka, żona Zbyszka ZiZou Ziobry, z okazji urodzin dostała w zeszłym tygodniu masę bukietów od ludzi, o których słyszała po raz pierwszy w życiu. Ciekawe, ile bukietów 6 listopada dostał nowy minister zasobów oraz aktywów skarbu, czyli Jacek Sasin. Przy okazji – 50 lat to piękny wiek, panie ministrze. Wiemy, co mówimy. Z własnego doświadczenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e955a3d6d7

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Operacja „Celebryta”

Piotr Semka

Czy cudowne dziecko „otwartego katolicyzmu", niedoszły zakonnik Szymon Hołownia, wystartuje w najbliższych wyborach prezydenckich? A jeśli tak, to kto sfinansuje kampanię publicysty?

Szymon Hołownia, 43 lata, to medialny self-made man. W dziennikarstwie zbiera doświadczenie od ponad 22 lat. Najwięcej Polaków zna go z programu TVN „Mam talent", gdzie wraz z Marcinem Prokopem towarzyszą występom kandydatów do sławy. W świecie „katolicyzmu otwartego" Hołownia ma status cudownego dziecka, które zapraszane jest do debat wraz z niektórymi biskupami, jest twarzą licznych kampanii charytatywnych i dzieli się swymi opiniami w „Tygodniku Powszechnym". W świecie polityki go dotąd nie było, choć na temat polityki i Kościoła wypowiada się często i ostro.

Jako pierwszy o planach udziału gwiazdy TVN w kampanii prezydenckiej napisał zazwyczaj bardzo dobrze poinformowany portal Polityka Insight (PI) 8 listopada br. „Powtarzają się niedawne informacje Polityki Insight, że dziennikarz i prezenter Szymon Hołownia zamierza wystartować w przyszłorocznych wyborach prezydenckich".

Według PI decyzja o starcie Hołowni została przyspieszona rezygnacją Donalda Tuska. „Prace nad kampanią dziennikarza trwają już od sierpnia, zaangażowane są w nie dwa sztaby: jeden skupia się na kwestiach programowych, a drugi planuje działania marketingowe". Przygotowania, w tym zbieranie wolontariuszy, mają trwać od sierpnia, a przeprowadzone solidne badania opinii publicznej, mają wskazywać, że jego start ma sens. Według „Wprost" w tych badaniach „chodziło raczej o sprawdzenie, czy Hołownia nadawałby się na lidera nowego projektu politycznego, gdyby pozyskał finansowanie, a nie o wyłonienie kontrkandydata dla Andrzeja Dudy".

W sondażu opublikowanym w ubiegłym tygodniu przez portal Onet.pl Szymon Hołownia zajął trzecie miejsce ex aequo z liderem PSL Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem (obaj dostali 8 proc. głosów). 21 proc. badanych wskazało na Małgorzatę Kidawę-Błońską. Liderem w tym sondażu jest urzędujący prezydent Andrzej Duda, na którego chce głosować 41 proc. ankietowanych.

Sam Hołownia nie dementuje informacji na temat swego startu, choć na razie akcentuje swoje wahanie. – Zaskoczyły mnie pozytywne reakcje na tę pogłoskę. Proszę dać mi jeszcze chwilę czasu. Ale jestem naprawdę szczerze zaskoczony i zbudowany, jak ta pogłoska została życzliwie przyjęta – mówił na książkowym spotkaniu autorskim w Radomiu 13 listopada br.

Wbrew słowom o zaskoczeniu – z jego ostatnich wypowiedzi wyłaniają się pewne zarysy jego przesłania politycznego. Przypominają one słyszane już hasła kandydatów spoza polityki chcących szturmem wejść na polityczną scenę.

Pierwszy motyw można nazwać umownie: „Nie mogę patrzeć, jak partie niszczą mój kraj".

Na spotkaniu w Radomiu Hołownia mówił: „Nie ma we mnie zgody na wiele rzeczy, które w Polsce się dzieją. Mam przekonanie, że wiem, co można by było zrobić, bo często też o tym piszę, żeby to zaczęło wyglądać trochę inaczej, choćby jakość naszej wspólnoty". Skrytykował niski poziom polskiej debaty politycznej, zwłaszcza przy kluczowych tematach światopoglądowych: narodzin, śmierci i rodziny. – U nas to zostało zawłaszczone przez partyjną propagandę, która zrobiła sobie z tego piłeczkę do odbijania – mówił.

Z taką krytyką polityków współbrzmią deklaracje Hołowni, że szuka aktywności poza partiami. Wirtualnej Polsce mówi: „Chciałbym kiedyś móc uczestniczyć w jakimś ruchu nieskupionym na jakiejś partii, osobie, który będzie autentycznym ruchem, który pokaże, że Polacy, którzy nie głosują, którzy są tak zmęczeni tym obrazem demokracji, odzyskają sprawczość obywatelską – że idą i mają poczucie, że ich dowód osobisty rzeczywiście coś znaczy i zmienia ten kraj".

W kwestii relacji państwo–Kościół znany celebryta lansuje hasło „przyjaznego rozdziału". Na spotkaniu w Radomiu mówił: „Przyjazny rozdział, a nie wojna religijna, że teraz nagle odwahniemy wahadło i zabierzemy Kościołowi wszystko, żeby pokazać, gdzie jest jego miejsce po romansie części tego Kościoła z obecnie rządzącą partią. Ja jestem człowiekiem, który kocha i Polskę, i ten Kościół, z którego wyrosłem i w którym jestem. Mam wrażenie, że upartyjnienie tej sytuacji znowu zaszło za daleko, że trzeba nie niszczyć jednego czy drugiego partnera, tylko w tej relacji wycofać się, pójść krok do tyłu, a nie do przodu, i spróbować na nowo zdefiniować swoją relację" – tłumaczył.

Dodał, że niedopuszczalna jest sytuacja, w której „Kościół de facto staje się częścią aparatu państwowego – czy to w wymiarze symbolicznym, czy ideologicznym". Nietrudno skojarzyć te słowa z retoryką lewicy o Kościele jako słudze PiS.

Słowem – coś jak sałatka z retoryki Tomasza Lisa z epoki lansowania książki „Co z tą Polską?" (kojarzoną z jego prezydenckimi ambicjami autora) plus hasła Pawła Kukiza z kampanii z 2015 r. pomieszane ze stylistyką wczesnego Roberta Biedronia wyciągającego dłoń do tych, którzy „nie mają na kogo głosować". Znakiem firmowym Hołowni – typowym dziś tylko dla niego – jest hasło „przyjaznego rozdziału Kościoła od państwa". Pozornie pojednawcze, ale faktycznie mogące oznaczać nacisk na Kościół, by wycofał się z wielu tematów debaty publicznej.

Kandydatura Hołowni została z entuzjazmem przywitana przez lewicowo-liberalne media. Piotr Głuchowski w „Gazecie Wyborczej" zachwyca się: „To jest świetny pomysł! Wybrać kandydata niepisowskiej części społeczeństwa, który nie będzie politykiem PO, SLD ani PSL. To może być Hołownia – czemu nie? Autor 20 książek przeciw autorowi żartu o Murzynach ludożercach. Ja tam bym zagłosował".

Utożsamiany z KOD portal OKO.press z sympatią wybija tytuł: „Niezależny »katolewak« na prezydenta". I pisze: „Na co dzień większości Polaków polityka nie interesuje. Owszem, w wyborach prezydenckich możemy spodziewać się wysokiej frekwencji. To wybory personalne, zawsze wzbudzają zainteresowanie, a ostatnie głosowania pokazują, że frekwencja wyborcza rośnie, zapewne więc do urn wiosną pójdzie naprawdę duża liczba Polaków. Co nie znaczy, że wszyscy mają wielkie rozeznanie

eprasa.pl e955a3d6d7

polityczne, czytają programy kandydatów i racjonalnie podchodzą do głosowania. Wielokrotnie zbadano, że na decyzje wyborcze największy wpływ mają emocje: chętniej głosujemy na tych, których znamy albo z którymi się identyfikujemy, którzy budzą naszą sympatię i podobają się nam z wyglądu. [...] Przystojny, budzący sympatię i łatwo nawiązujący kontakt z ludźmi dziennikarz-celebryta (i oczywiście także dziennikarka-celebrytka) z poczuciem humoru, znany z telewizji, może znacznie lepiej spełniać te oczekiwania niż najbardziej merytoryczny poseł. [...] Wyrazisty światopoglądowo, mówi wprost, nie chowa się za komunałami. Wspiera osoby LGBT i uchodźców, propaguje wegetarianizm".

Wsparcie wyraził też Adam Szostkiewicz z tygodnika „Polityka": „Jeśli prezydentem Ukrainy został aktor i prawnik Wołodymyr Zełenski, to czemu prezydentem Polski nie miałby zostać Szymon Hołownia? Obu łączy bogaty staż w programach rozrywkowych, znajomość telewizji jako środka masowego przekazu, no i brak skandali i afer na koncie.

Rozumiemy, że Hołownia byłby kandydatem obywatelskim, a nie wysuniętym przez jakąś partię polityczną".

Co ciekawe, publicyści „Wyborczej" i „Polityki" taktownie nie stawiają pytania, kto już organizuje domniemane zespoły programowe i marketingowe kandydata in spe. Lewicowych komentatorów nie intryguje też kwestia, kto ma zapłacić za nietanią przecież kampanię prezydencką.

Gdy tę kwestię poruszono 10 listopada w programie Wirtualnej Polski „Newsroom", kolejny gorący zwolennik startu Hołowni w najbliższych wyborach, ks. Kazimierz Sowa, szybko zamienił sprawę w żart. „Do mnie (po pieniądze) nie przyszedł" – uciął.

Sprawę Hołowni o wiele trzeźwiej skomentował za to na Twitterze publicysta „Gazety Polskiej" Wojciech Mucha.

„Są sygnały, że zamiast Tuska dostaniemy produkt w wersji [...] 3.0 Zełenski, przeniesiony na grunt polski. Fajnopolak akceptowany od Kościoła otwartego po lewicę LGBT+. […] Dodam tylko, że za panem Fajnym stoją podobno miliardy Pani mecenas. Gra będzie na wysokim poziomie".

O kim mowa? Gdy pytam o to Wojciecha Muchę, ten odpowiada, że informacje o starcie w wyborach gwiazdora TVN skojarzyły mu się z akcjami charytatywnymi, których twarzą był Hołownia, ale ich sponsorem była Dominika Kulczyk, dziedziczka części imperium finansowego swego ojca Jana. „Ale to tylko moje luźne skojarzenia" – zaznacza z ostrożnością procesową publicysta „Gazety Polskiej". Na liście najbogatszych Polaków magazynu „Forbes", wraz z bratem Sebastianem, znaleźli się ex aequo na trzeciej pozycji po Michale Sołowowie i Zygmuncie Solorzu.

Sponsorką części akcji charytatywnych firmowanych przez Szymona Hołownię jest Dominika Kulczyk. Niektórzy komentatorzy twierdzą, że to dzięki tej znajomości Hołownia będzie mógł pozwolić sobie na kosztowny start w wyborach prezydenckich FOT. ADAM STĘPIEŃ/AGENCJA GAZETA

DROGA DO SŁAWY

„Oficjalne zgłoszenie kandydatury Hołowni na prezydenta ma oparcie w badaniach socjologicznych" – pisze na swym blogu Adam Szostkiewicz z „Polityki". „Wynika z nich, że Hołownię rozpoznaje od 50 do 75 proc. Polaków".

Jak Szymon Hołownia dotarł do tak wysokiego wyniku?

Urodził się w 1976 r. w Białymstoku. Jego ojciec, Wojciech Hołownia, współpracował z podziemną Solidarnością i po pierwszych wyborach samorządowych w 1990 r. został wybrany wiceprezydentem Białegostoku, ale na tym stanowisku wytrwał tylko ponad rok.

Hołownia lubi przedstawiać się jako „chłopak z bloku", który wszystko musiał wywalczyć sobie sam. W wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego" wspomina: „To przede wszystkim okolice osiedla Piasta i Bojar, gdzie się wychowałem. Specyficzne miejsca: Bojary to do niedawna była jeszcze dzielnica drewnianej zabudowy, choć w środku miasta". I tu znów przypomina się retoryka Roberta Biedronia, który lubi opowiadać, że jest chłopakiem z prowincjonalnego Jasła. Zbieg okoliczności?

Jednak w odróżnieniu od Biedronia Hołownia lubi opowiadać o swojej fascynacji religią od najmłodszych lat.

W książce – rozmowie Marcina Prokopa z Hołownią „Bóg, kasa i rock'n'roll" – wspomina: „Zawsze dobrze czułem się w kościele, pociągała mnie liturgia, odkąd mniej więcej w drugiej klasie podstawówki zostałem ministrantem. Miałem silne przekonanie, że choć nie rozumiem prawie nic z tego, co się dzieje przy ołtarzu, dotykam rzeczy najważniejszych, a na inne w życiu po prostu szkoda czasu. Kręciłem się więc przy kościele non stop". Młody Hołownia ukończył w Białymstoku Społeczne Liceum Ogólnokształcące Społecznego Towarzystwa Oświatowego. Wspomina je jako szkołę o sympatiach nauczycieli rozpiętych między „Gazetą Wyborczą" a „Tygodnikiem Powszechnym". To też trop do biografii bohatera tego tekstu.

Dziecięco-młodzieńcze fascynacje Kościołem zaprowadziły Hołownię do dwóch prób wstąpienia do zakonu dominikanów. Pierwsza próba zakończyła się rezygnacją z nowicjatu. Hołownia wyjaśnia ją tak: „Poczułem, że nie jestem w stanie utracić samokontroli na rzecz zakonu. […] po drugie po prostu się rozchorowałem, konsultowałem się z różnymi lekarzami, wszyscy zgodnie uznali, łącznie z moimi przełożonymi w zakonie, że powinienem zrobić sobie rok przerwy".

Kolejna próba w zakonie dominikanów w Poznaniu też nie zakończyła się dobrze. „Przekonałem się, że ja i formacja [zakonna – przyp. P.S.] to nie są dwie rzeczywistości, które mogą się zaprzyjaźnić" – wyjaśnia.

Wszystko, co wiemy o tych próbach zakonnych, wiemy od Hołowni. Czy były jakieś zastrzeżenia przełożonych zakonu wobec kandydata z Białegostoku? Nikt w zakonach nigdy takich spraw nie ujawnia.

Hołownia wziął się w garść i ukończył studia psychologii w warszawskiej Szkole Wyższej Psychologii Społecznej. Zdobyta tu wiedza, jak się zdaje, będzie mu się przydawać w przyszłych telewizyjnych programach w formule wywiadu i talk-show. Gdy w rozmowie z Hołownią dla „Do Rzeczy" w 2013 r. Tomasz P. Terlikowski zauważa, że odzywa się w nim psycholog, ten odpowiada z wyraźną satysfakcją: „Studiowało

eprasa.pl e955a3d6d7

się parę lat. Więc mogę trochę w tobie pogrzebać".

W 1997 r. trafia do warszawskiej redakcji „Gazety Wyborczej", pracuje w dziale kultury. W 2001 r. przenosi się do świeżo wtedy utworzonego w Polsce „Newsweeka". Ówczesny jego szef, Tomasz Wróblewski, pamięta jego ciekawe reportaże: „Szymon zaciągnął się jako ratownik do karetki i ciekawie opisywał akcje ratunkowe. Pamiętam też jego zabawne opowieści o życiu w zakonie".

W 2005 r. o. Maciej Zięba występuje do grupy biznesmenów, m.in. Romana Kluski i Janusza Palikota (wówczas pozującego na aktywnego katolika), z propozycją stworzenia pisma dla „pokolenia JP II". Jest tuż po odejściu papieża Polaka „do domu Ojca" i po aferze Rywina, która przynosi nadzieję na odnowę polskiego życia publicznego. Ojciec Zięba lansuje wtedy hasło „4 razy R – rodzina, religia, rozum, rynek".

Na szefa „Ozonu" zostaje wybrany Dariusz Rosiak, a jego zastępcą zostaje Hołownia, który z tego powodu opuszcza „Newsweeka". Wśród autorów piszących do tygodnika w epoce Rosiaka i Hołowni znaleźli się m.in. Paweł Althamer, Filip Bajon, Ryszard Bugaj, Andrzej Leder, Tomasz Lis, Daniel Odija, Agata Passent, Piotr Siemion, Sławomir Sierakowski i Piotr Skwieciński. Jak widać, „lewa noga" dominowała.

Pierwszemu numerowi „Ozonu" z kwietnia 2005 r. towarzyszą ogromne nadzieje – zostaje wydrukowany w sporym, 380-tysięcznym nakładzie. Numer sprzedaje się na poziomie 80 tys., ale potem przez kolejne tygodnie do lipca sprzedaż spada do 24 tys. Grzegorz Górny, wówczas reprezentant neokonserwatywnej „Frondy", którego na gwałt ściągnięto, aby zastąpił duet Rosiak-Hołownia, wspomina: „To była wskazówka, że lightowy katolicyzm, który zachwycał Hołownię, nie był jakąś rewelacją. Młodzi wyczuwali w tym jakiś plastik, brak autentyzmu".

„Ozon" pod wodzą Górnego i Terlikowskiego przetrwa do lipca 2006 r. z dobrym wynikiem 56 tys. sprzedawanych egzemplarzy. Upadnie w połowie 2006 r., gdy Palikot, idący wtedy coraz bardziej na lewo, wycofa swe finansowanie.

W 2006 r. w TVP pod rządami Jana Dworaka utożsamianego z Platformą Hołownia otrzyma talk-show „Po prostu pytam". Reklamując swój program, zaznacza, że nie będzie nudził widzów sporami o lustrację, tylko pytał o naprawdę ważne sprawy.

Ten motyw „wszyscy o lustracji, a ja o czymś ważniejszym" będzie chwytem, który w przyszłości pozwoli Hołowni omijać niewygodne tematy. Gdy dużo później zaangażuje się w pomoc dla dzieci w Afryce poprzez fundacje Kasisi i Dobra Fabryka, każdy polski spór będzie umiał zręcznie deprecjonować, wskazując: „W Afryce to są realne problemy". Zaczyna też pisać kolejne książki o wierze i Kościele, które trafiają do młodych czytelników, ale z największym zachwytem przyjmowane są przez dorosłych czytelników „Więzi" czy „Tygodnika Powszechnego".

Wbrew dumnym deklaracjom poglądy Hołowni nie wystają i nigdy nie wystawały poza klasyczne tezy katolicyzmu otwartego

Jedni księża bronią książek Hołowni, przekonując, że dzięki niemu młodzi dowiadują się czegoś o Kościele, inni mają do nich dystans jako przykładu „fajnokatolicyzmu", który na krótko zbliża do wiary, ale potem się kończy równie szybko, jak zaczął.

Znakiem firmowym Hołowni są efektowne zdania łączące luzacki język z propagowaniem wiary, „Bóg to więcej niż bilion dolarów", wezwania, że trzeba pomagać bliźniemu, bo jak się nie pomoże, a „okaże się, że to Bóg, to będzie siara", czy gromkich deklaracji: „Zostawmy w cholerę wszystko inne, lećmy za Jezusem". Grepsy wręcz wymarzone do spotkań autorskich w całej Polsce. Gorzej wychodzą mu pojedynki z liderami konserwatywnej części katolików. Gdy w 2012 r. zaprasza do programu „Bóg w wielkim mieście" Wojciecha Cejrowskiego, już po dziewięciu minutach, po próbach kpinek i zaczepek, gdy natrafia na ostre riposty, wpada w gniew i mimo roli gospodarza podniesionym głosem wygłasza gniewną tyradę.

W 2013 r., gdy Hołownia jest felietonistą „Wprost", dochodzi do starcia z Tomaszem Lisem, ówczesnym szefem pisma. Chodzi o wyraziście antykatolicką okładkę i tekst sugerujący, że księża masowo łamią celibat. Dochodzi do scysji z Lisem i Hołownia zostaje wywalony z hukiem z pisma. Jednak mimo głosów sympatii z prawej strony nie zmienia kursu. Co więcej, w rozmowie z Tomaszem P. Terlikowskim w „Do Rzeczy" w 2013 r. kpi z prawicy: „Duszpasterstwo powołaniowe talibów [katolickich – przyp. P.S.] działa i już dzwonią do mnie z propozycjami, bym się przyłączył do jednej z waszych medres [...], i nie wstąpię, bo nie mam potrzeby przynależności do grupy".

Wbrew tym dumnym deklaracjom poglądy Hołowni nie wystają i nigdy nie wystawały poza klasyczne tezy katolicyzmu otwartego. Próbkę tych poglądów objawi zresztą w tym samym wywiadzie dla „Do Rzeczy": „Chciałbym, żeby aborcja była zakazana. Jeszcze bardziej chciałbym

REKLAMA

Instytut Pamięci Narodowej zaprasza na dyskusję wokół książki Marka Hańderka

26 listopada (wtorek) godz. 17:30

Udział wezmą:
dr Marek Hańderek – Instytut Pamięci Narodowej
prof. dr hab. Andrzej Nowak – Uniwersytet Jagielloński
prof. dr hab. Andrzej Friszke – Instytut Studiów Politycznych PAN

Moderacja:
prof. dr hab. Rafał Habielski – Instytut Pamięci Narodowej

Przystanek Historia Centrum Edukacyjne IPN im. Janusza Kurtyki, ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa

Organizatorzy: Instytut Pamięci Narodowej, Przystanek Historia

Patroni medialni: TVP Historia, Do Rzeczy, Dzieje.pl, Biuletyn IPN

eprasa.pl e955a3d6d7

jednak, by nie musiała być zakazywana, bo ludzie sami z siebie wiedzieliby, że to straszne zło. Jeśli jednak chcesz ze mną gadać nie o tym, jak wziąć się za sumienia, ale bić o prawo, to będę pytał, jak ustanowić takie prawo w kraju, w którym znaczna część współobywateli myśli w tych kwestiach niestety inaczej niż my".

STAR IS BORN

Prawdziwą supergwiazdą Hołownia zostaje w 2008 r., gdy otrzymuje propozycję przyjęcia roli współprowadzącego program „Mam talent" w TVN. Początkiem tej współpracy było zaproszenie w 2007 r. ze strony szefów TVN ks. Kazimierza Sowy do stworzenia kanału Religia.tv.

Anita Czupryn, która w 2013 r. opublikowała jego sylwetkę na łamach dziennika „Polska The Times", opisała początek tej współpracy. Dziennikarka cytuje ks. Sowę: „W 2007 r., gdy dostałem propozycję od ITI robienia kanału, powiedziałem, że chciałbym mieć kogoś do pomocy. Walter zapytał: »Zna pan Szymona Hołownię?«. A ja właśnie o nim myślałem. ITI nas połączył – uśmiecha się ks. Sowa. Hołownia miał już za sobą nieudany epizod telewizyjny w TVP. Propozycję ITI potraktował jako szansę, że w telewizji też może coś osiągnąć. – Zwrócił na niego uwagę Edek Miszczak, mówiąc, że ma ogromny potencjał telewizyjnego showmana. Był nim zachwycony – opowiada ks. Sowa".

Według moich rozmówców z TVN to właśnie Miszczak zaproponował we wrześniu 2008 r. Hołowni, by razem z Marcinem Prokopem zostali współprowadzącymi program „Mam talent". Prokop z Hołownią mieli za zadanie odgrywać role pary trefnisiów komentujących przebieg programu zza kulis i rozmawiać z występującymi. Dwóch showmanów dobrze wcieliło się w swoje role.

Elementem konwencji było sypanie przez Prokopa aluzjami do religijności Hołowni w stylu: „Wyglądasz, jakbyś niósł gromnicę w procesji". Innym razem to sam Hołownia podkreślał swoją wiarę, mówiąc do Prokopa: „Ty się pożegnaj z widzami, a ja się przeżegnam".

Takie wtręty można by jeszcze uznać za dowcipne, gdyby nie to, że w licznych programach aluzje do wiary mieszały się z lepkimi aluzjami poniżej pasa. Dwa przykłady. Prokop: „Jest szansa na numerek". Hołownia: „Dla ciebie zawsze". W innym dialogu-skeczu Prokop szydzi z Hołowni: „Ty masz takie małe uszka. Jakbyś miał dziesięć tysięcy, kupiłbyś sobie większe". Hołownia odpowiada: „Nie, nie kupiłbym na pewno. Kupiłbym sobie inne, większe rzeczy".

Co ciekawe, prowadzenie programów w tak ryzykownym stylu w ogóle nie zaszkodziło image Hołowni na jego religijnym froncie aktywności. Nadal funkcjonował w „Newsweeku", we „Wprost", a od 2015 r. w „Tygodniku Powszechnym" jako felietonista piszący na tematy katolickie. Biskupi „oświeceni" nie odmawiają udziału z nim w panelach dyskusyjnych. W styczniu br. Hołownia debatował np. wraz z abp. Grzegorzem Rysiem w Rzeszowie na zaproszenie tamtejszych dominikanów.

Sam Hołownia sprytnie usprawiedliwiał takie mieszanie dwóch sfer wrażliwości. W jednym z wywiadów mówił: „Warto uśmiechać się do popularności, kiedy można wykorzystać ją do dobrych rzeczy".

Co więcej, gdy w debacie z Tomaszem P. Terlikowskim ten pozwolił sobie na wątpliwości wobec pluralizmu światopoglądowego w TVN, Hołownia zareagował ostro, ale w znamienny sposób: „Nie pozwolę jęczeć ci na TVN, obaj wciąż mamy tam drzwi otwarte".

Można odnieść wrażenie, że spółka ITI, która posiadała TVN, prowadziła swoisty patronat nad przedstawicielami katolicyzmu „otwartego". W kwietniu 2007 r., gdy „Tygodnik Powszechny" przeżywał trudności, Grupa ITI objęła w nim 49 proc. udziałów, a w czerwcu 2008 r. stała się większościowym udziałowcem pisma po tym, jak w wyniku transakcji z Fundacją „Tygodnika Powszechnego" jej udziały wzrosły do 53 proc. Taki sam parasol finansowo-medialny TVN rozłożyła nad ks. Kazimierzem Sowa i Hołownią.

»Mam talent« zachęcała do sięgania po jego nowe książki".

Uzyskanie statusu megagwiazdy TVN ułatwiało też spotykanie wpływowych postaci. Jak mówi inny dziennikarz stacji: „To u nas Szymon poznał Dominikę Kulczyk. Szybko weszli w kooperację. Hołownia wymyślił parę akcji pomocy dla dzieci w Afryce, a Kulczykowa chętnie pomagała finansowo". Hołownia ma nosa do efektownych akcji, niektóre z dyskretnym ostrzem kontestacji rządów PiS. Gdy we wrześniu br. Ministerstwo Edukacji cofnęło dotacje na telefon zaufania dla dzieci i młodzieży, prezenter szybko ogłosił zbiórkę na rzecz Fundacji „Dajemy Dzieciom Siłę". „W niecałe dwa dni pokryliśmy to, czego nie dało MEN" – chwalił się wówczas Hołownia. Jak pisał wtedy o gwieździe TVN portal O2.pl: „Szymon Hołownia porwał tłumy ludzi. Rząd nie dał pieniędzy, ale już nie musi".

Udało się zebrać aż 2 mln zł, tyle że w zbiórce większość pieniędzy wbrew medialnym tytułom nie była wynikiem mobilizacji internautów. Jak podał portal naTemat.pl, aż 1,65 mln zł z sumy 2 mln przekazała fundacja Dominiki Kulczyk.

RADYKALIZACJA MINISTRANTA

Rok 2019 w karierze Szymona Hołowni stał się okresem coraz mocniejszych deklaracji w stosunku do Kościoła, biskupów i episkopatu. Nie znaczy to, że wcześniej wyrazistych wypowiedzi nie było. W 2010 r. w TVN Hołownia sypał gromy na obrońców krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Gdy nie doszło do przeniesienia krzyża do kościoła św. Anny, Hołownia ogłosił, że „obrońcy krzyża splugawili krzyż". Wzywał polityków i kolegów dziennikarzy, by zobaczyli, „jakiego demona obudzili w ludziach".

Wtręty Hołowni w „Mam talent" można by jeszcze uznać za dowcipne, gdyby nie to, że w licznych programach aluzje do wiary mieszały się z lepkimi aluzjami poniżej pasa

Jeden z dziennikarzy TVN mówi: „Zaproszenie do »Mam talent« z sowitym kontraktem gwiazdorskim to jakby udzielenie Hołowni wieloletniego stypendium. Owszem, Hołownia dobrze dopasował się do wyznaczonej roli, ale i tak dostał szansę, którą otrzymują nieliczni. Miesięczne zarobki w takim sztandarowym show stacji to sumy od 50 do 80 tys. zł. Za cenę wygłupów z Prokopem zyskał stałe wysokie zarobki, do których dochodziły zyski z programów w kanale Religia.tv. A jego popularność wśród młodych oglądających

W tym roku ten najwyższy poziom egzaltacji pojawił się już wiele razy.

W marcu Hołownia ostro zaatakował abp. Stanisława Gądeckiego i abp. Marka Jędraszewskiego za konferencję episkopatu, na której dość nieporadnie, ale bez złej woli próbowano oszacować liczbę przypadków molestowania dzieci i małoletnich przez kapłanów. „Miałem wrażenie, że oglądam transmisję z samobójstwa" – pisał

eprasa.pl e955a3d6d7

Hołownia na Facebooku. „Nasz Episkopat […] żyje na innej planecie – stwierdził dziennikarz. – W środowisku jakoś tam zaangażowanych świeckich katolików jest już brak cierpliwości".

Kolejną okazją do ostrej krytyki hierarchów były w lipcu 2019 r. wydarzenia w Białymstoku, gdzie doszło do ataków grup kibiców i chuliganów na Paradę Równości grup LGBT. Hołownia zareagował wtedy na list do wiernych abp. Tadeusza Wojdy, w którym przed feralnym dniem hierarcha skrytykował homoparadę jako „inicjatywę obcą naszej podlaskiej ziemi i społeczności, która jest mocno zakorzeniona w Bogu, zatroskana o dobro własnego społeczeństwa, a zwłaszcza dzieci".

W reakcji Hołownia obciążył metropolitę winą za zajścia: „Arcybiskup swoim niemądrym, konfrontacyjnym listem, rzuconym w podzieloną sztucznie przez cynicznych polityków Polskę, zasiał wiatr. A ten przyniósł burzę".

Najostrzejszy ton miała reakcja na wyrazy solidarności episkopatu z abp. Markiem Jędraszewskim, który znalazł się pod ostrzałem krytyki lewicy po wskazaniu w jednej z homilii na „zarazę LGBT".

W odpowiedzi Hołownia zdecydował się na płomienne wezwanie: „Niech jak najszybciej opustoszeją te kościoły, w których Pan Jezus jest członkiem PiS-u, w których szczuje się heteroseksualistów na gejów. Niech jednak frekwencyjnego (i finansowego) wiatru w żagle dostaną te wspólnoty, w których głosi się nadzieję, nie strach, nie butę, nie jakieś wizje świata wzięte prosto z Marsa".

Obok bohaterów negatywnych Hołownia zawsze wskazuje na pozytywnych. To arcybiskup łódzki Grzegorz Ryś, biskup opolski Andrzej Czaja i biskup koszalińsko-kołobrzeski Andrzej Dajczak.

Innym przejawem radykalizacji Hołowni były jego słowa ze spotkania w Poznaniu w marcu br., poświęconego jego książce „Boskie zwierzęta". Hołownia twierdził tam, że należy w ogóle unikać eksploatacji zwierząt, gdyż jest to złe.

„Mnie zwierzęta, które spotkałem w życiu, będą sądzić na sądzie ostatecznym. Ludzie i zwierzęta. Świat mnie będzie sądzić. Stworzenie mnie będzie sądzić".

Takim wyskokom publicystycznym towarzyszyły w tym roku bardzo przemyślane działania wizerunkowe. Oto w czerwcu br. Hołownia w jednym z wpisów na Facebooku mimochodem wspomniał o posiadaniu żony i córki. Wywołało to zaskoczenie w pismach zajmujących się życiem celebrytów. Nawet najbardziej wyspecjalizowane w plotkach portale zgodnie stwierdzały, że celebryta nigdy wcześniej nie wspominał o ślubie i dziecku.

CEZARY GMYZ UJAWNIA: NA WRAKU TUPOLEWA WYKRYTO NIE TYLKO TROTYL

W 2013 r. rozmowę z Szymonem Hołownią dla „Do Rzeczy" przeprowadził Tomasz P. Terlikowski

Od tego czasu motyw córki pojawia się w trakcie jego wystąpień. Na spotkaniu w Radomiu, opisując swe motywacje, patetycznie deklarował: „Została mi połowa życia, by zostawić córce jakiś świat".

Wreszcie w listopadzie br. media obiegł kolejny news pozwalający skupić uwagę na gwiazdorze. „Hołownia zdradza w nowej książce: »Dałem księdzu w mordę. Chciał przekroczyć moje granice«" – emocjonował się portal miesięcznika „Gala".

To nawiązanie do faktu, że w swej nowej książce „Pół na pół" Hołownia opowiada, że kiedyś w młodości uderzył w twarz i pchnął na tapczan księdza, który próbował przysunąć swoją twarz do jego policzka. Do wizerunku showmana doszedł wizerunek macho – pogromcy lubieżnych księży.

AWANS NA WYŻSZĄ PÓŁKĘ

Wielu osobom, które pytam o szanse startu Hołowni w prezydenckim wyścigu, przypomina się przypadek Tomasza Lisa w 2004 r. Ówczesny prezenter „Faktów" TVN wypadł bardzo dobrze w rankingu prezydenckim „Newsweeka". Słynna reakcja Lisa na sondaż: „Szok... Muszę to przemyśleć" skłoniła wówczas media do spekulacji, czy znany dziennikarz wystartuje w wyborach prezydenckich w 2005 r. Wówczas taki niejasny status Lisa jako „kandydata in spe" przerwała ostra reakcja szefostwa TVN. Stacja szybko pozbyła się prezentera z wybujałymi ambicjami.

Jeśli tak było 15 lat temu, to dlaczego teraz TVN nie reaguje na plotki o Hołowni?

Jeden z dziennikarzy TVN mówi: „Obu przypadków nie można porównywać. Ego Lisa było wielkie jak stąd do Władywostoku. Tomek nie zdementował od razu plotek o swoim kandydowaniu i rozwścieczył tym Mariusza Waltera i Jana Wejherta. Hołownia to zupełnie inny przypadek. Ma o wiele mniejsze ego i pełną lojalność wobec stacji. Nie wierzę, że swoje dywagacje o prezydenturze snuje na własną rękę, bez zgody stacji. Dla TVN to w każdym przypadku niesamowita promocja. Ponadto całą kampanię można zamienić w kolejny show lub program w stylu »jak kandydowałem na głowę państwa«".

Inny dziennikarz stacji: „W plotkach o starcie Hołowni, jakie słyszę na korytarzach, powtarza się informacja, że jego szanse na start wzrosły, gdy zrobiono bardzo dokładny sondaż dający mu spore szanse na zamieszanie w I turze. Kogo stać na taki wydatek? Ja obstawiam Grzegorza Hajdarowicza, który należy do koleżeńskiej paczki z Krakowa, do której należy ks. Sowa, który z kolei proteguje Hołownię. Przypominam, że Edward Miszczak też jest z Krakowa. A Dominika Kulczyk ma w TVN własny program »Efekt Domina« o pomocy charytatywnej, w którym Hołownia bywa częstym gościem. W tym kręgu szukałbym ewentualnych sponsorów kampanii Szymka".

Tomasz Wróblewski, który kierował „Newsweekiem" w okresie kontrowersji wokół prezydenckich ambicji Lisa, wskazuje, że tamten epizod mimo wyrzucenia z TVN per saldo bardzo pomógł ambitnemu prezenterowi. „Dla Lisa cała ta sprawa była mimo wszystko początkiem kariery kogoś, kto wyrósł ponad status zwykłego celebryty. Ten wzorzec może kusić Hołownię. Nie musi nawet wystartować, ale samo zamieszanie wokół jego osoby, sam fakt, że był rozważany jako kandydat, pozwolić może mu się pozycjonować jako autorytet. Swego rodzaju instytucja w obrębie grupy zwolenników pewnych poglądów. Jako ktoś znaczniejszy niż tylko zwykły publicysta".

Hołownia wspominał, że w dzieciństwie fascynowała go liturgia i zachwycała go rola księdza. Sam nie został kapłanem, ale może marzy o innej celebrze. Polityka przecież też ma swoją liturgię i blichtr. Dla niespełnionego kandydata na zakonnika, pouczającego episkopat może to być silna pokusa. Pytanie: Kto miałby te marzenia sfinansować?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e955a3d6d7

Z prof. Zdzisławem Krasnodębskim, europosłem PiS
rozmawia Łukasz Zboralski

W UE po cichu liczą na Polskę

ŁUKASZ ZBORALSKI: Premier w exposé zapowiedział, że chce poprawić UE – zamierza m.in. walczyć z biurokracją. Pana zdaniem trzeba ją tam ograniczyć? I czy mamy szansę to zrobić?

PROF. ZDZISŁAW KRASNODĘBSKI: Nawet w Parlamencie Europejskim panuje takie przekonanie, że biurokracja za bardzo się rozrosła i ciągle się mówi o zasadzie dobrego zarządzania. Była nawet rezolucja w tej sprawie. Jednak niewiele się zmienia. Obserwujemy poszerzanie się kompetencji unijnych, a nie ich zawężanie, i to przy braku poszanowania dla reguł, zwłaszcza traktatów.

A czy Polska może mieć na to wpływ? Na pewno powinniśmy działać na rzecz reformy UE. Tylko że będzie to jeden głos z wielu. Łatwiejsza jest reforma administracji, która nie nosi charakteru politycznego i jej trudność polega tylko na „oporze materii". Trudniej będzie zmienić Unię politycznie. Przy czym chciałbym dodać, że nowa przewodnicząca zapowiedziała dużą konferencję na temat przyszłości UE. Zaczęły się już prace nad jej przygotowaniem, również w PE. Oczekuje się też dużego udziału społeczeństw i parlamentów narodowych w tej debacie. W przeciwieństwie do momentu, w którym powstał ten słynny konwent, który zaprojektował konstytucję odrzuconą potem w głosowaniu przez Francuzów i Holendrów, chciałbym, żeby tym razem nie działo się to ponad naszymi głowami, żeby toczyła się na ten temat debata i żeby wybrzmiały w niej głosy Polaków, organizacji, różnych środowisk.

Mateusz Morawiecki stwierdził, że chciałby też „decentralizacji" Unii Europejskiej. Jakie obszary pan by chciał zdecentralizować najszybciej?

Przede wszystkim nie jest obecnie przestrzegane to, co jest zapisane w traktatach – czyli podział na to, co jest wyłączną dziedziną Unii, a co dziedziną państw członkowskich. Wręcz przeciwnie, mamy przykłady – jak nasz, Polski – gdzie wkracza się w kompetencje kraju członkowskiego. Ograniczenia kompetencji i zasada pomocności powinny zacząć być brane poważnie. Wszyscy to powtarzają, ale potem jakoś zapominają, że Unia powinna działać tylko tam, gdzie poszczególne państwa nie są w stanie działać, a więc we wszystkich sprawach związanych np. z jednolitym rynkiem gospodarczym UE. Natomiast niedobre jest wkraczanie w takie dziedziny jak polityka pamięci, sprawy kulturowe, sprawy edukacji czy nawet kwestie dotyczące spraw politycznych lub gospodarczych, np. klimatyczne, gdzie się ingeruje już bardzo głęboko w uprawnienia państw – każde państwo powinno przecież decydować samo, np. o tym, z jakich źródeł czerpie energię, tymczasem na poziomie UE prowadzi się walkę z węglem, a zaczyna się już prowadzić też walkę z gazem. Te cele są coraz mocniej narzucane państwom członkowskim. Są i inne sprawy, w które nie powinno się głęboko ingerować, takie jak systemy ubezpieczeń społecznych. To powinno pozostać jedynie w kompetencji państw członkowskich.

Trzeba też bardzo ostrożnie podchodzić do takich propozycji, jak ujednolicenie polityki zagranicznej czy np. mechanizm uzależnienia dopłat od „praworządności". To wszystko odbywa się pod presją konieczności „harmonizacji" i te przykłady można mnożyć. UE odeszła od przekonania, że jest związkiem państw, dobrowolną wspólnotą wolnych narodów. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej uważa, że jest jakimś sądem konstytucyjnym Unii, Komisja Europejska uważa się za superrząd, Parlament Europejski uważa, że jest ponad parlamentami narodowymi. Jest to niepokojące i krok po kroku prowadzi do większej federalizacji UE.

Wspomniał pan o edukacji. Mieliśmy właśnie rezolucję przeciw „penalizacji edukacji seksualnej", do której namówili Parlament Europejski europosłowie opozycyjni z Polski. Czy członkowie PE z innych krajów dają się namówić do głosowania w takich sprawach, nie wiedząc nawet dokładnie, w jakiej sprawie się wypowiadają? A może niepotrzebnie wpuszcza się do Sejmu projekty budzące kontrowersje, dzięki którym można w nas uderzać na forum UE?

To była inicjatywa obywatelska i jeślibyśmy nie wpuszczali do Sejmu takich projektów, to by oznaczało, że już sami prewencyjnie dostosowujemy się do oczekiwań Unii. To by znaczyło, że Polacy nie mogliby już podejmować decyzji we własnym kraju, skoro musielibyśmy się zastanawiać, co na to powie jakiś poseł z frakcji Zielonych.

Natomiast co do europosłów – nie, nie mają wiedzy szczegółowej, ale mają pewną wiedzę ogólną. Oczywiście jest to wiedza fałszywa, to dyskryminujące przesądy. Polska kojarzy im się z krajem reakcji katolickiej, w której rządzi straszna partia populistyczna. I ta straszna partia w ich przekonaniu odpowiada za wszystko, co złe – od morderstwa prezydenta Adamowicza poprzez wieszanie portretów posłów do zachowań chuligańskich. To wszystko jest zapisywane na konto PiS. Gdy pan Korwin-Mikke był jeszcze w PE, wielu moich zagranicznych kolegów z parlamentu uważało, że on jest z PiS. Mają więc zgeneralizowany obraz Polski. Ufają swoim „polskim przyjaciołom", czyli opozycyjnym europosłom z Polski, „Gazecie Wyborczej" itd. Jeśli więc poseł Biedroń przekonuje, że dzieje się jakieś zło, a oni chcą tam być niezwykle dobrzy, walczyć o lepszy świat, zwalczać dyskryminację, natychmiast zabierają się do dzieła. I bardzo trudno jest im wytłumaczyć, że jest inaczej.

eprasa.pl e955a3d6d7

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

Jest też trzeci element. Oni wszyscy są głęboko przekonani, że świat – czyli Europa i ich kraje – postępuje w tym kierunku, który oni uważają za słuszny. Jest więc dla nich oczywiste, że powinny istnieć małżeństwa homoseksualne. Jeszcze się nie mówi, że niezbędna będzie eutanazja, ale uznają za konieczne np. podniesienie wieku emerytalnego. Nie spoczną dopóty, dopóki nie uznają, że w Polsce jest zaprowadzony taki ład, który im odpowiada, bez „patriarchalnej rodziny" czy „nacjonalizmu". Napiszą, że jest u nas wspaniale, gdy Robert Biedroń czy Małgorzata Kidawa-Błońska będzie prezydentem, kiedy kościoły się wyludnią, kiedy zdelegalizuje się Konfederację i część prawicy zamknie się w więzieniach. Wówczas uznają, że w Polsce kwitnie demokracja tak, jak było za czasów Donalda Tuska.

Oczywiście inne są rozmowy poza kulisami. Nawet ludzie z Europejskiej Partii Ludowej przyznają, że są katolikami, i że oczywiście to rodzice powinni wychowywać dzieci, ale mówią to tylko po cichu. A niedawno wysoki urzędnik w KE powiedział mi, że przecież posłowie z Niemiec nie mogą oficjalnie wystąpić przeciw celom klimatycznym, mimo że tamtejszy przemysł jest tym bardzo zaniepokojony, bo może przestać być konkurencyjny przez koszty. Na nich wywierana jest tak duża presja, że oczekują raczej, iż to ktoś z Europy Środkowo-Wschodniej powinien teraz występować w obronie przemysłu i przypominać o bezpieczeństwie energetycznym.

Szkicuje pan niełatwą dla nas sytuację w Unii, a premier Morawiecki stwierdził, że Grupa Wyszehradzka jest „ważnym biegunem Europy". To możemy coś osiągać czy się nie przebijemy przez tych, którzy sterują Europą?

Oczywiście, że jest ważna. Proszę pamiętać, że każde działanie wywołuje kontrdziałanie. Grupa Wyszehradzka, która istniała od dawna, ale była postrzegana jako podmiot polityczny, nagle stała się podmiotem „niebezpiecznym". Przecież wszyscy byli przekonani w 2015 r., że nastąpi relokacja „uchodźców", a Grupa się sprzeciwiła i musiano się z tego na razie wycofać. Stąd ataki. Także polska pozycja jest o wiele mocniejsza, niż była. Gdybyśmy byli słabi, to by nas lekceważono, może nawet pozwolono by nam zostać takim dziwnym skansenem na rubieżach Unii. Tak jednak nie jest. Mamy m.in. dobry wzrost gospodarczy,

eprasa.pl e955a3d6d7

bronimy prawdziwych europejskich wartości. Z Polski promieniuje dziś mocny przekaz kulturowo-polityczny, tak jak w latach 70. promieniował na cały blok wschodni. Obywatele innych państw Unii patrzą na nas z pewną nadzieją, że będziemy równoważyć np. ambitne cele klimatyczne rozsądnymi poprawkami, że będziemy bronić podstawowych instytucji naszej cywilizacji. Moja diagnoza nie jest zatem sprzeczna ze zdaniem premiera rządu polskiego.

A po naszej stronie mamy też przecież nie tylko Grupę Wyszehradzką. W wielu krajach Europy dochodzi do buntu społeczeństw. I jeśli odczują planowane w UE polityki, to niezadowolenie jeszcze wzrośnie. Widzieliśmy przecież niedawno w Paryżu masowy protest przeciw in vitro dla par lesbijskich. Ludzie nie chcą tak daleko idącej przemiany rodzin, mimo całej swojej tolerancji i laickości Francji.

Obywatele innych państw patrzą na nas z nadzieją, że będziemy równoważyć np. ambitne cele klimatyczne rozsądnymi poprawkami

Mówi pan o mocnym kursie tzw. polityki klimatycznej. W polskim rządzie będzie specjalny człowiek od tych spraw, będą kaucje na butelki plastikowe. Musimy zacząć płynąć w tym kursie i się dopasować?

Nie. Jednak trzeba jasno powiedzieć, że pewne propozycje są racjonalne. W Polsce mamy dziś takie dwie wizje UE. Jedna jest platformerska, lewicowa – że wszystko, co przychodzi z UE w tej sprawie, jest prawdą objawioną i trzeba to po prostu zastosować. Jest też czarna legenda, widzimy ją po prawej stronie – że tu jest jakiś dom wariatów, bo przecież nie potrzeba żadnych regulacji niczego. Tymczasem, my, Polacy, też powinniśmy mieć poczucie odpowiedzialności za świat, za planetę. Jednak żyliśmy kiedyś bez plastiku. To oczywiste, że powinny być kaucje za takie opakowania, recykling. W Polsce i tak się słabo reaguje na zagrożenia środowiskowe itp. Tutaj, w Brukseli, w sklepach są torebki papierowe, plastikowych się nie używa. Są więc pewne regulacje, które mają sens i wymuszają na naszych firmach dostosowywanie się. Często uczestniczę w spotkaniach z naszymi przedsiębiorcami i tam się powiela pewien wzór narracyjny – zawsze narzekają na regulacje UE. Z drugiej strony jednak pokazują, jak pod wpływem tego nacisku coś zmienili. I to są zmiany pozytywne! Jeśli jest np. mniej emisji gazów, mniej pyłów w powietrzu, to przecież jest lepiej. Czasem jest to kwestia jakości życia. Przecież ludzie czasem palą śmieciami i to nas zatruwa, więc UE nam jakość życia podnosi. Albo np. zmiany w przemyśle motoryzacyjnym. Ludzie w Polsce chcą kupić taniego diesla, ale przecież trzeba wiedzieć, jaki to ma wpływ na nasze życie i zdrowie potem.

Nie znaczy to oczywiście, że Unia ma zawsze rację. Czasem jest to doprowadzone do absurdu i na tym polega nasza praca, żeby z przemysłem, ekspertami i organizacjami uczynić unijne regulacje racjonalnymi i dostosowanymi do różnej sytuacji krajów członkowskich.

Jak pan ocenia wyrok TSUE, który w sprawie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego i Krajowej Rady Sądowniczej pozostawił ocenę kwestii prawnych polskiemu SN? Czy orzeczono tak dlatego, że dla wszystkich krajów byłoby niebezpieczne, gdyby unijny trybunał nagle górował nad krajowymi wymiarami sprawiedliwości i de facto sprawował trochę władzę w krajach członkowskich?

Przypomnę, że parę miesięcy temu zapadł wyrok TSUE, że zgodnie z prawem unijnym niemiecka prokuratura nie ma prawa wystawiać europejskiego nakazu aresztowania. I co zrobili Niemcy? Pominęli to milczeniem. Nie poinformowali nawet o tym swoich obywateli. Oni informują o polskich „kłopotach", ale o swoich nigdy.

Jest to pewnie też ogólny problem związku między władzą sądowniczą a wykonawczą. Pamiętam artykuł sprzed paru lat ówczesnego przewodniczącego Bundestagu Norberta Lammerta, który ostrzegał Federalny Trybunału Konstytucyjnego, żeby nie rozszerzał swoich kompetencji i że nie może on zastępować władzy, np. ustawodawczej.

Ostatni wyrok TSUE jest na szczęście w miarę umiarkowany W porównaniu z wcześniejszymi opiniami rzecznika generalnego TSUE jest znacznie łagodniejszy. Dosyć kuriozalny jest jednak np. fragment uzasadnienia, mówiący o „uzasadnionych wątpliwościach wzbudzonych w przekonaniu jednostek" co do braku niezawisłości. W przekonaniu jednostek można bowiem wiele rzeczy wzbudzić lub nie wzbudzić. Na przykład w Niemczech media i prawnicy starają się nie wzbudzać przekonania wśród jednostek, że polityczne powoływanie sędziów i ich przynależność do partii politycznych to zagrożenie dla ich niezawiłości. Przeciwnie jest w Polsce. Ja, mieszkając przez wiele lat w Niemczech, nabrałem uzasadnionych wątpliwości co do niezawisłości tamtejszych sądów…

Wyrok TSUE ma także odpowiednią otoczkę medialną. Znowu się mówi, że Polska została za coś ukarana. I może mieć przy tym pan rację, że ten krok wstecz w odpowiedzi TSUE to był w tym przypadku motywowany obawą przed stworzeniem precedensu, który można by zastosować także do innych krajów, takich jak Niemcy czy Francja.

Wracając do naszej polityki krajowej: Czy pana zdaniem Andrzej Duda przez pięć lat dał się ludziom zapamiętać w taki sposób, tak że bez problemu może myśleć o reelekcji?

Uważam, że jest bardzo dobrym prezydentem. Czym się dał zapamiętać? Przede wszystkim aktywnością w relacjach Polski z USA. Można powiedzieć, że dziś ta dziedzina polityki zagranicznej jest prowadzona przez Kancelarię Prezydenta. A przecież pamiętamy takie absurdalne dyskusje, jeszcze za czasów prezydentury śp. Lecha Kaczyńskiego, że prezydent to może jedynie odczytywać stanowisko rządu. Pod adresem prezydenta Dudy formułowano również zarzuty braku samodzielności, ale proszę zauważyć, że to już minęło. Naprawdę doskonale reprezentuje większość Polaków, nasz kraj i jego tradycje.

Na plus prezydentowi można zapisać właśnie wypracowanie tych relacji ze Stanami, zwiększoną obecność wojsk USA w Polsce. Po drugie – Andrzej Duda prowadził też politykę pamięci, politykę historyczną. Jest doskonałym mówcą i ma fantastyczny kontakt z wyborcami. Widziałem go w czasie wizyt w miastach, powiatach. Poza tym reprezentuje rzeczywiście pewien wzór polskości, pewne wartości, które ciągle są wartościami większości tego społeczeństwa. W tym sensie jest to prezydent, na którego ja z wielką przyjemnością zagłosuję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e955a3d6d7

Więcej energii na to, co ważne

Energa

Partner Główny
Strażnika Pamięci

Prezydenckie przedbiegi

Wojciech Wybranowski

Po udanym sejmowym debiucie Adriana Zandberga rosną jego szanse jako kandydata Lewicy w prezydenckich wyborach. PO nie potrafi wygrzebać się z kryzysu, Konfederacja jeszcze daleko w polu, a ludowcy robią swoje

Adrian Zandberg, lider partii Razem

FOT. FILIP MILLER/FOTONOVA

Po czterech latach pańskich rządów Polska nie jest państwem dobrobytu. Płacicie grosze pracownikom budżetówki. Młodzi nauczyciele zarabiają tyle, że nie da się za to przeżyć. Od lat nie podnieśliście płac szeregowym urzędnikom. Ludzie uciekają z budżetówki, bo pod pana rządami, panie premierze, państwo staje się najgorszym z pracodawców – grzmi Adrian Zandberg, lider partii Razem będącej w koalicyjnym klubie Lewicy. Kilka chwil wcześniej premier Mateusz Morawiecki skończył wygłaszać swoje exposé. A młody lewicowy polityk wytyka, że rząd nie zrobił nic z tzw. umowami śmieciowymi, łamaniem prawa pracy, zaniedbał reformę służby zdrowia. Zbiera burzliwe oklaski z ław lewicy i niespodziewanie pozytywne opinie ze wszystkich stron sceny publicznej.

– Spodziewaliśmy się ostrego uderzenia ze strony Grzegorza Schetyny, doszły nas słuchy, że w Platformie mocno pracowano nad kontrexposé lidera ich partii. Tymczasem było nijakie. Zandberg uderzył bardzo populistycznie, ale mocno. Ludziom mogło się to podobać – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" jeden z członków Komitetu Politycznego PiS.

Dla lidera partii Razem pierwsze sejmowe wystąpienie było podwójnie ważnym sprawdzianem. Z jednej strony pokazał, że wyrósł już z etapu wiecowego, neomarksistowskiego mówcy wymachującego czerwonym sztandarem i zaczyna być poważnym politykiem. Z drugiej – dał wyraźny sygnał lewicowemu elektoratowi, że może być ważnym graczem w prezydenckim wyścigu. O ile oczywiście „zjednoczona lewica" postawi właśnie na niego, bo apetyty, by reprezentować to środowisko, ma co najmniej kilku polityków. Jako pierwszy chęć startu w wyborach prezydenckich zadeklarował Robert Biedroń, na giełdzie pojawia się także nazwisko Zandberga, a od niedawna w kuluarach Lewicy, w gronie głównie polityków SLD przebąkuje się także o Włodzimierzu Czarzastym. Część działaczy dawnego Sojuszu obawia się, że postawienie na któregoś z kandydatów koalicyjnych Wiosny lub Razem może zmniejszyć wpływy ludzi SLD. Szansa na kandydowanie Czarzastego jest jednak niewielka. Znacząco spadły też szanse Roberta Biedronia, którego partia zaczyna się kruszyć – w dodatku przez partnerów z SLD i Razem nie jest on uważany za stabilnego, wiarygodnego polityka.

– Nie ma dziś jeszcze żadnego zdecydowanego faworyta tego wyścigu – twierdzi jeden z polityków lewicowej formacji. – W ostatnim tygodniu listopada spotkają się liderzy trzech ugrupowań tworzących Lewicę i zadecydują o tym, w jaki sposób zostanie wyłoniony kandydat – zaznacza. I dodaje: – Prawdopodobnie zdecydujemy,

eprasa.pl e955a3d6d7

że wyboru będą dokonywać struktury. Na pewno nie będziemy się bawić w żadne prawybory, bo inaczej niż Platforma Obywatelska nie chcemy marnować czasu na takie zabawy.

Uwaga polityka Lewicy pod adresem Platformy Obywatelskiej nie jest tylko złośliwością. Platforma ogłosiła, że wyłoni wspólnego z Koalicją Obywatelską kandydata na prezydenta w sposób demokratyczny – przeprowadzi prawybory. Każdy miał szansę się zgłosić, przygotowano harmonogram pełen debat i wydarzeń politycznych. Ostatecznego wyboru w połowie grudnia miało dokonać ponad tysiąc uczestników Konwencji Krajowej PO. Wśród kandydatów wyścigu obok Małgorzaty Kidawy-Błońskiej typowano jeszcze Bartosza Arłukowicza i Radosława Sikorskiego. Grupę zwolenników miała też kandydatura Rafała Trzaskowskiego, obecnego prezydenta Warszawy, ale – jak mówi się w kuluarach Platformy – nie chciał on startować w rywalizacji, którą – jak mówią nasze źródła – uważał za obciążoną sporym ryzykiem porażki.

– Wybór zostanie przeprowadzony sprawnie, a zachowane zostaną procedury demokratyczne. U nas nie będzie „kandydata z Nowogrodzkiej", będzie wybierała partia – przekonywał jeszcze na początku listopada poseł Borys Budka. Jednak to, co miało być w PO i KO „świętem demokracji", okazało się porażką i okazją do kpin dla przeciwników politycznych. W ostatnim momencie kandydaturę wycofał Arłukowicz. „Nie szukajmy rywali. To Prezydent A. Duda jest naszym rywalem i przeciwnikiem politycznym. To z nim musimy wygrać wybory! Potrzebne są mądre, szybkie i odważne decyzje. Nie planuję udziału w prawyborach. I ruszamy w kampanię!" – napisał na Twitterze. Ze startu w prawyborach wycofał się także związany z Donaldem Tuskiem europoseł PO Radosław Sikorski. „Sercem i czynem poprę tego, kto zostanie naszym kandydatem, ale gdyby kiedyś nadeszły takie terminy, że potrzebny będzie twardy zawodnik, to wiecie państwo, że nie zawiodę" – napisał na Facebooku. Przy okazji nie obyło się bez kompromitacji, bo Sikorski potwierdził też, że wcześniejsze prawybory w Platformie przed wyborami prezydenckimi w 2015 r., w których rywalizował o nominację z Bronisławem Komorowskim, były ustawione. – Zastanawiam się, po pierwsze, czy to będzie proces fair, bo w ustawionych prawyborach już brałem udział – powiedział Sikorski w rozmowie z Gazeta.pl. Fakt „ustawienia" wcześniejszych prawyborów w PO potwierdził też były polityk tej partii Jacek Protasiewicz w rozmowie z serwisem Fakt.24.pl.

Wycofanie się rywali oznaczałoby, że Małgorzata Kidawa-Błońska byłaby jedynym kandydatem Koalicji Obywatelskiej na prezydenta. – Z tego, co wiem, nikt się nie zgłosił. Wczoraj do późnych godzin nocnych głosowaliśmy w Sejmie, więc w piątek będziemy wiedzieć wszystko, będziemy mogli zacząć kampanię – przekonywała we wtorek posłanka Małgorzata Kidawa-Błońska.

Jeszcze w środę niespodziewanie okazało się jednak, że będzie miała kontrkandydata, a cała procedura prawyborów zostanie przeprowadzona. Szef partyjnej komisji wyborczej Rafał Grupiński poinformował dziennikarzy, że jest jeszcze jeden kandydat, którego nazwisko miało mu zostać dostarczone w kopercie. Chęć startu w prawyborach zadeklarował obecny prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak, uważany za człowieka Schetyny i mocno skonfliktowany z szefem wielkopolskich struktur PO Rafałem Grupińskim. „Polska potrzebuje silnej #prezydentury, która zatrzyma łamanie praworządności, wydobędzie kraj z chaosu partyjniactwa i przywróci wszystkim obywatelom prawdziwe poczucie wspólnoty. Podjąłem się tego wyzwania" – napisał Jaśkowiak na Twitterze W piątek analizy zgłoszeń miał dokonać zarząd PO.

KONFEDERACI HURTOWO

Na brak kandydatów do prezydenckiego wyścigu nie narzeka Konfederacja. W przedwyborczym wyścigu o partyjną nominację będzie się ubiegać aż dziewięciu kandydatów: Konrad Berkowicz, Krzysztof Bosak, Grzegorz Braun, Artur Dziambor, Janusz Korwin-Mikke, Paweł Skutecki, Krzysztof Tołwiński, Jacek Wilk i Magdalena Ziętek-Wielomska. Politycy Konfederacji twierdzą, że postarają się, by przeprowadzone przez to ugrupowanie prawybory zamieniły się zarazem w „największą w ciągu ostatnich lat" debatę na prawicy z przedstawieniem różnych opcji po tej stronie sceny politycznej.

W prawyborach Konfederacji bić się będzie dziewięciu kandydatów, m.in. Braun, Korwin-Mikke i Wilk

– Tego oczekiwali od nas Polacy i dzisiaj to realizujemy – mówił poseł Robert Winnicki, jeden z liderów Konfederacji. Kandydaci jego ugrupowania będą rywalizować o nominację na zjazdach partyjnych w grudniu i styczniu. Całe prawybory w Konfederacji mają zostać przeprowadzone w jawnym głosowaniu podczas zjazdu „elektorów" z województw 18 stycznia. Aby zyskać nominację, kandydat musi dostać ponad 50 proc. głosów elektorów.

Pierwotnie kandydatów do walki w prezydenckich prawyborach w Konfederacji miało być 10. Jak ujawnił publicysta „Do Rzeczy" Rafał A. Ziemkiewicz, także on otrzymał propozycję, by w nich wystartować. „To miły gest i dziękuję, zwłaszcza że przyszedł po szeregu nieporozumień. Moja Ola na pewno byłaby wspaniałą Pierwszą Damą, ale niestety nie mogę kandydować, chcę pozostać przy pisarstwie politycznym" – odpowiedział Ziemkiewicz na Twitterze.

– To rzeczywiście miły gest, ale start w wyborach nie wchodził w grę. Zresztą politycy Konfederacji wiedzieli o tym, bo kilka razy wcześniej takie propozycje nieoficjalnie się pojawiały, próby sondowania. Traktuję więc taką propozycję jako gest dobrej woli, zamknięcie pewnych sporów, które się pojawiały – mówi nam Ziemkiewicz.

Problemu z prezydenckimi przedbiegami nie mają natomiast działacze Polskiego Stronnictwa Ludowego, których kandydatem w wyborach prezydenckich będzie Władysław Kosiniak-Kamysz.

Lider PSL rozpoczął już – na razie jeszcze nieoficjalnie – kampanię wyborczą. W czasie sejmowego wystąpienia po exposé premiera Mateusza Morawieckiego zręcznie punktował Koalicję Obywatelską, mówiąc pod adresem posłów Lewicy: – Możemy się spierać, ale nigdy nie powiem, że jesteście nic nie warci.

Było to nawiązanie do niefortunnej wypowiedzi Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, która stwierdziła, że jeśli posłowie Lewicy zagłosują za projektem PiS w sprawie 30-krotności składek zusowskich, to będzie oznaczać, „że są nic niewarci".

Na początku listopada Władysław Kosiniak-Kamysz otrzymał poparcie Rady Naczelnej PSL. Chociaż w niedawnej rozmowie z tygodnikiem „Do Rzeczy" mówił, że chciałby, aby decyzja o jego starcie zapadła podczas konwencji całego sojuszu Koalicja Polska-PSL na początku przyszłego roku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e955a3d6d7

Marszałek z patosu

Kamila Baranowska

Marszałek Senatu Tomasz Grodzki uwierzył, że jest nie tylko nową, lecz także jedyną nadzieją opozycji. Widać, że w roli wybawcy narodu czuje się doskonale. I to może być jego największy problem

To jest zwycięstwo. To jest zwycięstwo demokracji – oznajmił Tomasz Grodzki chwilę po tym, gdy oficjalnie ogłoszono, że to on został wybrany na marszałka Senatu nowej kadencji. Z kandydatem PiS, uprzednio piastującym tę funkcję Stanisławem Karczewskim, wygrał dwoma głosami. Zaczynając swoje przemówienie, Grodzki posłużył się charakterystycznym gestem wiktorii, który wytłumaczył tak: – Wznoszę ten gest w chwili triumfu, ale nie mojego, ponieważ tę funkcję przyjmuję z wielką pokorą. Wznoszę ten gest jako przypomnienie czasów, kiedy zwycięstwo było możliwe dzięki Solidarności.

Ten początkowy patos profesora, cenionego w świecie medycznym chirurga, można było jeszcze złożyć na karb emocji i poczucia wielkiej radości, która zapanowała wśród polityków opozycji z racji odbicia z rąk PiS większości w Senacie. Szybko jednak się okazało, że to nie były tylko chwilowe emocje. Z dnia na dzień widać bowiem coraz bardziej, że marszałek Grodzki bardzo lubi patos. Zwłaszcza w odniesieniu do siebie samego i swojej nowej pozycji politycznej.

OD ORĘDZIA DO WYWIADÓW

Jeszcze przed swoim wyborem senator Grodzki zapowiedział, że chciałby częściej korzystać z narzędzia, którym jest telewizyjne orędzie. Na realizację tej obietnicy nie trzeba było długo czekać. Grodzki został marszałkiem we wtorek, a już w czwartek wieczorem mogliśmy oglądać jego orędzie w telewizji.

– W naszej odysei przez życie w poszukiwaniu szczęścia i spełnienia marzeń jednym idzie łatwiej, innym trudniej, niektórych ta wędrówka wyrzuca na margines, a jeszcze inni muszą dźwigać czasami bardzo ciężki krzyż – rozpoczął w swoim stylu, czyli z lekkim patosem. Później mówił dużo o zasypywaniu podziałów i o tym, że nie chce dzielenia Polaków ani wykorzystywania Senatu do blokowania Sejmu, by na koniec zapewnić, nawiązując do swojego zawodu lekarza, że „każda choroba, nawet najcięższa, zwłaszcza jeśli jest mądrze leczona, kiedyś się kończy, czasami szybciej, niż ktokolwiek by przypuszczał".

Zanim jednak prof. Grodzki zajął się uzdrawianiem Senatu czy też – szerzej – polskiej polityki, postanowił skupić się na czym innym. Na autopromocji. Niewiele jest mediów, którym jeszcze nie zdążył udzielić wywiadu. Opowiada w nich, że jest nową nadzieją opozycji, że ludzie mu dziękują

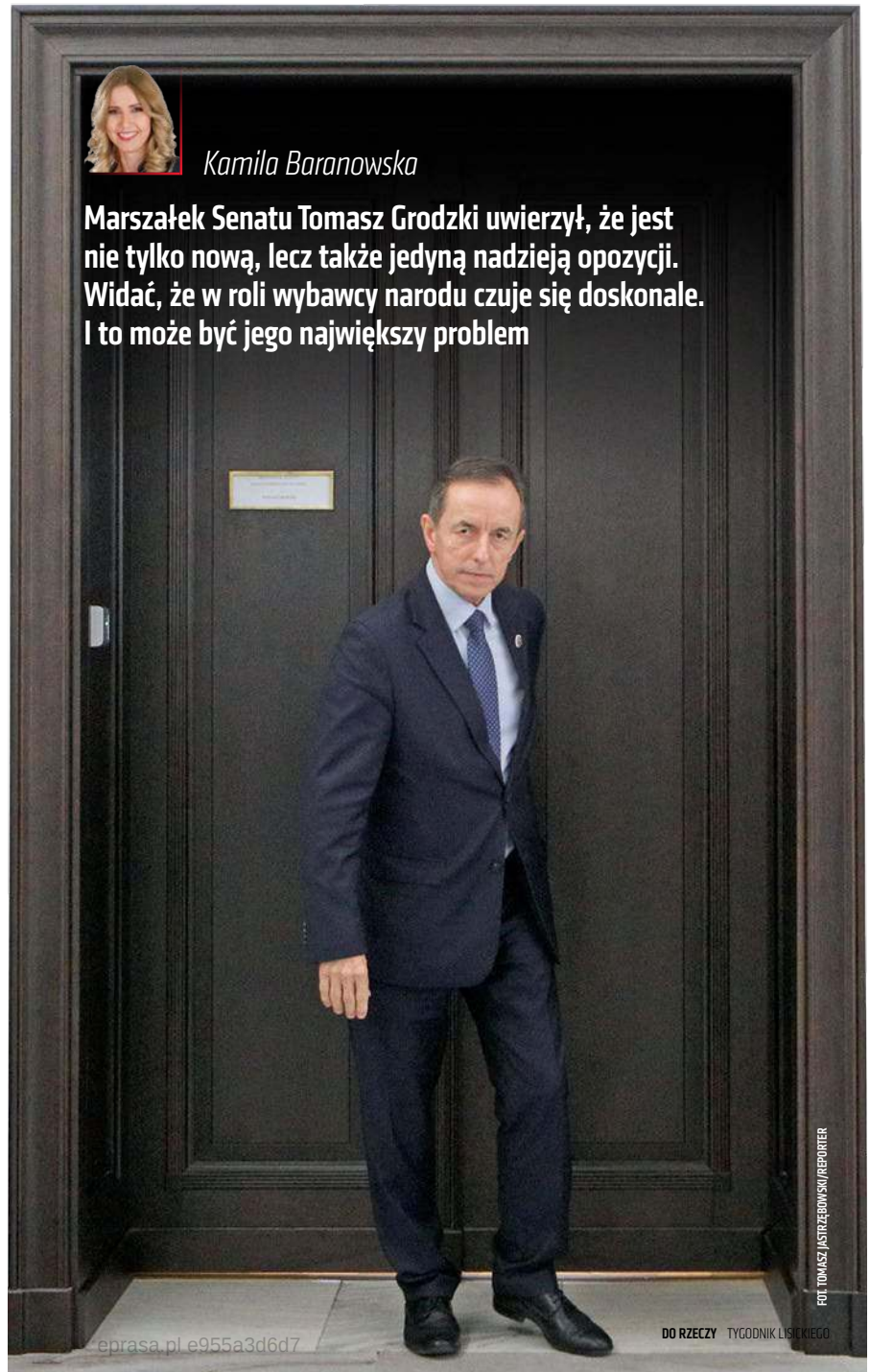

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl e955a3d6d7

i z radością witają go, gdy idzie do sklepu. – Wtedy, we wtorek, po głosowaniu, zwykli pracownicy kancelarii jednej, drugiej przychodzili do mnie, cytując tytuł epizodu „Gwiezdnych wojen": „Nowa nadzieja". W ich oczach było widać, że oczekiwali zmiany. Chociaż nie jesteśmy ani prezydentem, ani rządem czy Sejmem, tylko Senatem, to ludzie mówili o punkcie zwrotnym, że rządzący przeszli apogeum. To była autentyczna radość – opowiadał „Gazecie Wyborczej". – Jak teraz wchodzę gdzieś na mieście do sklepu, bo staram się prowadzić normalne życie, to ludzie mnie witają – a przecież jeszcze nic nie zrobiliśmy – jak nadzieję na inną Polskę – dodawał. Wywiad ukazał się w weekendowym wydaniu „Gazety Wyborczej" z wielkim zdjęciem prof. Grodzkiego na okładce i tytułem: „Ludzie mówią, że odzyskali nadzieję".

Już wtedy pojawiły się pierwsze pomruki, że patos od groteski dzieli cienka linia, do której nowy marszałek przy wielkim wsparciu sympatyzujących z opozycją mediów zaczyna się niebezpiecznie zbliżać.

Jeszcze bardziej zbliżył się do niej, a może nawet ją przekroczył swoją ustawką z „Super Expressem". Dziennikarze tabloidu, uzbrojeni w kamerę, odwiedzili nowego marszałka w jego małym pokoiku w hotelu sejmowym, by pokazać, jak skromnym człowiekiem jest prof. Grodzki, który zarzeka się, że nie planuje przeprowadzki do willi opuszczanej właśnie przez poprzednika z PiS. Widzimy więc marszałka Grodzkiego, który (już z przypiętym do krawata mikrofonem) otwiera dziennikarzom drzwi, przepraszając, że jest w garniturze, bo nie zdążył się jeszcze przebrać. Następnie pokazuje swój skromny pokój i demonstruje (w garniturze), jak co wieczór ścieli łóżko (twarde i wąskie – na co zwracają uwagę dziennikarze). – Ja lubię spać na twardym. Gdy przychodzę wieczorem do tego pokoju, to padam i od razu zasypiam – tłumaczy im. Materiał tabloidu natychmiast stał się hitem sieci i wdzięcznym materiałem dla twórców memów.

Z rodzącego się kultu marszałka zaczęli sobie pokpiwać w nieoficjalnych rozmowach nawet sami politycy opozycji. Jednak to, z czego podśmiewają się internauci czy niektórzy politycy, inni traktują całkiem poważnie. Komentatorzy sympatyzujący z opozycją nie kryją swoich zachwytów nowym marszałkiem Senatu, przymierzając go już nie tylko do roli kandydata na prezydenta, lecz także nowego lidera opozycji w miejsce nielubianego Grzegorza Schetyny.

Chociaż warto odnotować, że także z ich punktu widzenia są pewne skazy na wizerunku Grodzkiego. To jego konserwatywne podejście do niektórych spraw światopoglądowych, zwłaszcza aborcji, o której mówi wprost, że to „ogromna tragedia dla kobiety" i jest za utrzymaniem przepisów w obecnej formie. Grodzki popiera za to in vitro i związki partnerskie.

Wszelkie spekulacje dotyczące ewentualnych politycznych ambicji na razie konsekwentnie przecina. Zapowiedział już za to np., że chciałby niebawem przesłuchać szefa NIK Mariana Banasia, a także, że chce spotkać się z prawnikami w związku z orzeczeniem TSUE w sprawie reformy sądownictwa. W planach ma też wyjazd do USA, by – jak tłumaczy – podziękować amerykańskim senatorom za obronę polskiej demokracji. Chodzi o list amerykańskich senatorów, którzy w 2016 r. krytykowali rząd Beaty Szydło, zarzucając polskim władzom, że ich działania „zagrażają niezależności mediów i Trybunału Konstytucyjnego oraz psują wizerunek Polski jako wzorca przemian demokratycznych". List podpisało trzech senatorów, w tym John McCain, który zmarł w ubiegłym roku. Europoseł PiS i były wicemarszałek Senatu Adam Bielan nazwał te plany groźnymi. – Jako trzecia osoba w państwie nie może on prowadzić własnej polityki zagranicznej, byłoby to łamanie konstytucji. Co więcej, zaszkodziłoby to sojuszowi polsko-amerykańskiemu, co jest niebezpieczne dla Polski – ostrzegał w TVP.

RACZEJ SIĘ NIE WYRÓŻNIAŁ

Tomasz Grodzki funkcję senatora pełni drugą kadencję. W 2015 r. zdobył blisko 70 tys. głosów, w tych ostatnich 149 tys. „Widzi pani, w Szczecinie – przepraszam, to nie brak skromności, stwierdzam fakt – nie jestem osobą anonimową. Ludzie doceniają moje dokonania, a nie hasła prezentowane przez miesiąc w kampanii wyborczej" – tłumaczył swój sukces dziennikarce „Wyborczej".

Kiedy pytamy senatorów, czy pamiętają go z poprzedniej kadencji, większość odpowiada, że raczej niczym się nie wyróżniał, a swoje pięć minut dostał teraz, i to dzięki PiS. Jego kandydatura na marszałka Senatu pojawiła się tuż po tym, jak media podały, że PiS w ramach szukania większości w Senacie chciał przekupić Grodzkiego funkcją ministra zdrowia. On sam potwierdzał te informacje, mówiąc, że był „sondowany" w tej sprawie. Poza tym okazał się kandydatem kompromisowym, na którego zgodzili się wszyscy opozycyjni liderzy, także ci z PSL i SLD.

Swoją przygodę z polityką prof. Grodzki rozpoczął w szczecińskim samorządzie. Po raz pierwszy został radnym w 2006 r., a do startu w wyborach namówił go poseł PO Sławomir Nitras. – Tworząc listy, starałem się je otwierać na osoby wiarygodne, z dorobkiem w różnych dziedzinach życia – mówi „Do Rzeczy" Nitras. – W ten sposób kandydatem na prezydenta miasta został wtedy bezpartyjny 32-letni prawnik Piotr Krzystek. A wśród radnych m.in. Tomasz Grodzki. Dzięki wsparciu Ewy Kopacz prof. Grodzki cztery lata temu został po raz pierwszy naszym kandydatem na senatora. Udało mu się zbudować autorytet w klubie senackim, w partii. Z wielką satysfakcją obserwuję jego polityczną drogę i wiążę ogromne nadzieje z nim jako nowym marszałkiem Senatu.

Z wykształcenia jest chirurgiem, ma specjalizację II stopnia z chirurgii klatki piersiowej i z transplantologii klinicznej, a specjalizuje się w przeszczepach płuc. W 2010 r. uzyskał tytuł profesora nauk medycznych, jest też kierownikiem Kliniki Chorób Klatki Piersiowej i Transplantologii Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie.

Kiedy został marszałkiem, media zaczęły baczniej mu się przyglądać. Pojawiły się informacje o tym, że jeździ luksusowym jaguarem i ma niemały majątek, a także, że klinika w Szczecinie, którą kierował, popadła w straszliwe długi. Grodzki odpowiadał, że nie wstydzi się swojego majątku, bo uczciwie na niego zarobił. Chociaż w ostatnich dniach uczciwość została zakwestionowana przez prof. Agnieszkę Popieli z Uniwersytetu Szczecińskiego, która w zamieszczonym na Facebooku wpisie zarzuciła prof. Grodzkiemu przyjęcie łapówki w wysokości 500 dol. w związku z operacją jej mamy. Grodzki zdementował te doniesienia, a prof. Popieli nie chce dalej komentować sprawy.

Nie zmienia to faktu, że kult nowego marszałka kwitnie, a on sam starannie pilnuje, by jego głos był słyszalny i odnotowywany w mediach. Jak tak dalej pójdzie, to z jedynej nadziei opozycji szybko może przeobrazić się w gwóźdź do jej trumny. Zwłaszcza gdy okaże się, że nie jest w stanie upilnować niepewnej większości w kluczowych dla opozycji głosowaniach. Wówczas ci, którzy dziś widzą w nim bohatera, pierwsi rzucą się rozliczania. Tak jak to w polityce najczęściej bywa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e955a3d6d7

Media czasów piątkizmu

Rafał A. Ziemkiewicz

W czasach medialnego szumu manipulacja informacjami jest prosta, skuteczna i trudna do zdementowania

To, że dziennikarstwo w Polsce zdegenerowało się w politycznej służbie, nie jest żadną nowością. Przeciwnie, na podobnej zasadzie jak ludowe mądrości typu: „każda władza kradnie" czy „politycy kłamią", zła opinia o mediach weszła do potocznego stereotypu. Warto jednak od czasu do czasu pochylić się nad konkretnym przykładem postępującej degeneracji, by zrozumieć, w jaki sposób i z jakich przyczyn rozkłada się „czwarta władza".

Dobrym aktualnym przykładem jest próba wykreowania przez TVN afery wokół spotkania Beaty Szydło, Antoniego Macierewicza i innych polityków PiS z gangsterami.

Użyjmy danego wszystkim narzędzia, które pozwala nam nieomylnie odróżnić materiał dziennikarski od tego, co będę tu nazywał „piątkizmem": zdrowego rozsądku. Jak mogłyby, teoretycznie, wyglądać niepokojące i warte alarmowania opinii publicznej spotkania polityków z gangsterami? Rzecz oczywista, że przede wszystkim musiałyby być utrzymywane w tajemnicy. Na zapowiedź „TVN dotarło do dowodów, że premier Szydło spotykała się z gangsterem i neonazistą" wyobraźnia podsuwa obraz zamaskowanych osobników, schodzących się chyłkiem gdzieś na odludziu (dajmy na to, na cmentarzu). Tymczasem po owej zapowiedzi TVN przedstawia nagranie, na którym w sali wypełnionej przypadkowymi ludźmi, w obecności funkcjonariuszy policji i dziesiątek świadków wchodząca premier wita się kolejno z różnymi osobami, najwyraźniej widzianymi po raz pierwszy w życiu. Jedną z owych osób jest wytatuowany osobnik o zablurowanej twarzy, który, wedle płynącego z offu komentarza „dziennikarzy" TVN, ma być lokalnym gangsterem i przywódcą neonazistów.

Jeszcze kilka lat temu takie „dziennikarstwo śledcze" można by pokazać tylko jako kabaretowy skecz. Jednak wyprodukowany w ten sposób przez TVN „nius" został natychmiast podchwycony i „zagregowany" przez liczne portale internetowe i media społecznościowe (nie pierwszy raz – przypomnijmy sensacje o „urodzinach Hitlera"). Powstał mem „politycy PiS mają konszachty z gangsterami" z odnośnikiem „dowody przedstawił TVN".

DZIENNIKARSTWO SZUMU

Istota „piątkizmu" leży w tym, że 90 proc. tych, do których przekaz jest adresowany, nie skorzysta z tego odnośnika, nie zainteresuje się, jakie to „dowody" przedstawiono. „Piątkizm" to dziennikarstwo czasów wielkiego informacyjnego szumu i wielkiego zabiegania, w których przeciętny użytkownik mediów – jak wykazują badania – przebiega oczami tylko po nagłówkach, rzadziej niż w 10 proc. weryfikując nawet to, czy przekaz wbijany mu do głowy tytułem, ma pokrycie w tekście.

Przykład: kiedy z wizytą do Warszawy przybył patriarcha Cyryl, portal Gazeta.pl relację z jego wizyty opatrzył tytułem: „PiS i Radio Maryja: patriarcha Cyryl to agent". W całym tekście jedyny związek z tym tytułem miała informacja, że podczas pobytu gościa w siedzibie episkopatu na ulicy stanął człowiek z dwoma kartonami. Na jednym napisał: „Koncesja dla telewizji Trwam!", na drugim: „Cyryl to agent". O PiS i Radiu Maryja w ogóle ani słowa. Jednak kto to dostrzegł?

Złowrogim mottem mediów tworzących szum jest stare powiedzenie: „Kto chce, niech wierzy". Aby sięgnąć po

FOT. ADOBE STOCK/JAN

eprasa.pl e955a3d6d7

przykład stanowiący światową klasykę tego, co w polskim wydaniu nazywam „piątkizmem" (czasem z uściśleniem „piątkizm-kretynizm"): miliony ludzi z różnych powodów, od liberalnej lewicy w krajach zachodnich. Do fundamentalistów w państwach muzułmańskich, chcą wierzyć, że za każdym złem stoi Izrael, a islam jest oskarżany niewinnie. W związku z tym nie ma najmniejszego znaczenia, że informacja o czterech tysiącach Żydów, którzy, najwyraźniej przez kogoś uprzedzeni, nie stawili się feralnego dnia do pracy w World Trade Center, podana nazajutrz po zamachu na stronie internetowej Hezbollahu, jest skrajnie niewiarygodna. Ta informacja żyje i jest od lat przywoływana. Podobnie u nas w nieskończoność powracają niedementowalne „fejki" w rodzaju „maybacha ks. Rydzyka" czy „wielokrotnego pogwałcenia konstytucji". Właśnie ich produkowanie i wrzucanie w obieg jest celem „dziennikarzy" w rodzaju tych, którzy tworzą „śledczy" program TVN „Superwizjer".

Klasyk gatunku, Wojciech Cieśla, wyprodukował kiedyś w „Newsweeku" kuriozalny tekst oskarżający gromko o nadużycia finansowe świeżo wówczas wybranego prezydenta Andrzeja Dudę. Jedynym twardym faktem w nim była informacja, że jako poseł przyszły prezydent korzystał z darmowych biletów kolejowych i noclegów na koszt Kancelarii Sejmu (przy czym z właściwą „piątkistom" etyką zawodową Cieśla nadmienił, że w Poznaniu, gdzie trzykrotnie poseł Duda nocował, miewał on wykłady na prywatnej uczelni – zatajając, że w Poznaniu uczelnia ma tylko siedzibę, a wykłady odbywały się w innym mieście i zresztą ich daty nie pokrywały się z datami refundowanych przez Sejm noclegów). Prawo do bezpłatnych przejazdów PKP mają wszyscy posłowie i senatorowie od lat 20. Cóż to zatem za sensacja? Otóż w publikacji chodziło wyłącznie o wyprodukowanie frazy „kilometrówki Dudy". Było to krótko po skandalu z trójką posłów, którzy wyłudzili z Sejmu zwrot za benzynę, czyli właśnie „kilometrówki", za wyjazd, na który polecieli samolotem, i słowo to zrobiło karierę. Powtarzany przez kilkanaście dni dzień w dzień przez wszystkie telewizje, wtedy jeszcze grające pod jedną batutą, przekaz, że są jakieś „kilometrówki Dudy", stanowił część medialnego przygotowania operacji unieważnienia wyborów przez Sąd Najwyższy na podstawie prawnego „myku" wymyślonego przez mecenasa Giertycha, na co ostatecznie „totalna opozycja" się nie odważyła.

OBJAWY

Fejki często obliczone są na doraźny efekt. Tak było np. ze sfabrykowaną przez TVN24 sensacją o rzekomym zamachu na życie Bronisława Komorowskiego. Dziesięć ostatnich godzin do zapadnięcia ciszy wyborczej przed pierwszą turą wyborów prezydenckich serwisy TVN grzmiały oburzeniem autorytetów: „Do czego doprowadziła PiS-owska nienawiść!". Przy czym, znowu, dla uświadomienia sobie hucpy wystarczała odrobina zdrowego rozsądku, bo „grzejąc" próbę zamachu na prezydenta TVN, nawet nie ukrył faktu, iż rzekomy „zamachowiec", który niebezpiecznie zbliżył się do prezydenta (w istocie chciał mu podać antyaborcyjną ulotkę), został tylko wylegitymowany i nikt nawet nie próbował go zatrzymać.

Skoro jednak adresujemy przekaz do tych, którzy łakną pozoru „niusa" potwierdzającego ich emocje i z góry wierzą we wszystko, to nie trzeba się tym przejmować. Po przeciwnej stronie plemiennej wojny wykonałem niegdyś skromne badanie przy okazji przedstawienia przez media wspierające PiS „dowodu" powiązań Bronisława Komorowskiego z aferzystami ze SKOK Wołomin. Dowodem było wspólne zdjęcie prezydenta z dwoma podejrzanymi. Zdjęcie zrobiono podczas premiery filmu „Bitwa Warszawska", który SKOK Wołomin sponsorował. Jest upozowane, trzej widoczni na nim panowie są w wieczorowych strojach i widać za nimi tłumną salę. Czy naprawdę widzisz tu dowód „powiązania"? – pytałem różnych sympatyków PiS. Potwierdzali z przekonaniem. „Naprawdę? Czy do kogoś, kogo znasz, podszedłbyś w tłumie na premierze po takie zdjęcie? Przecież to właśnie dowód, że biznesmeni ze SKOK mogli się do prezydenta zbliżyć tylko przy oficjalnej okazji, a więc, że ich on nie znał i najpewniej wiedział o nich tylko tyle, iż to sponsorzy filmu.

Tutaj pojawiał się bardzo charakterystyczny objaw. Pytany zaczynał mrugać, jakby budził się z hipnozy, i mówił coś w rodzaju: „No tak, nie pomyślałem".

Zatem: jedyna rada to myśleć. Czasy telefonów komórkowych szczególnie sprzyjają produkowaniu dowodów w rodzaju „X ma wspólne zdjęcie z Y". Każdy, kto ma choć odrobinę znaną twarz, jest wielokrotnie proszony przez fanów na różnych spotkaniach, czy po prostu na ulicy, o wspólne zdjęcie. Trudno odsyłać proszącego o „selfika", by złożył podanie w sekretariacie, wyjaśniając dokładnie, „kto go rodził". Znalezienie wśród takich zdjęć fotki z kimś, kto okazał się pedofilem, malwersantem albo – tak jak w cytowanym na wstępie przypadku – gangusem, to tylko kwestia mocy przerobowych.

Ziemkiewicz lubi burbon Old Grand Dad, który pijał Lucky Luciano, i słucha Louisa Armstronga, z którym przyjaźnił się Al Capone. Dla Tomasza Piątka, gdyby z jakichś powodów chciał pisać o mnie, byłyby to w zupełności wystarczające przesłanki moich powiązań z amerykańską mafią. Podobnie jak to, że jeden ze współpracowników Antoniego Macierewicza studiował na tej samej amerykańskiej uczelni, na której rok wcześniej studiował agent KGB, był dlań dowodem pozwalającym dorysować jeszcze jedną strzałeczkę w gęstej sieci rzekomych powiązań pomiędzy Macierewiczem a Putinem.

Im takich strzałeczek więcej, tym ci, którzy chcą wierzyć, czują się pewniej. „Może to tylko przesłanki, ale zbyt wiele ich, by przejść nad tym do porządku dziennego". I tak oto na „ustalenia" Piątka, bez konkretów, powołują się ludzie o pozycji społecznej i międzynarodowej Leszka Balcerowicza, dzięki którym, jak można się domyślić, konkluzje o „powiazaniach" Macierewicza z Putinem, a Morawieckiego z rosyjską mafią trafiają w takie miejsca jak książka Timothy'ego Snydera „Droga do zniewolenia", w ten sposób stając się zwrotnym potwierdzeniem „piątkistowskich" odkryć.

Kompromitacja dla amerykańskiego historyka, któremu nie chciało się dokonać elementarnego researchu? W tym rzecz, że w czasach medialnego szumu, publiczności z własnego wyboru zamykającej się w medialnych „bańkach" i wreszcie mediów „społecznościowych", które, po orwellowsku wbrew tej nazwie, kładą dziś kres istnieniu demokratycznych społeczeństw, drobiąc jej ma małe, zamknięte i nieprzenikające się mikroświaty – nie można się skompromitować. Nie można też raz wrzuconego w obieg memu skutecznie zdementować, choćby sprokurowano go w sposób najbardziej nawet absurdalny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e955a3d6d7

Łukasz Warzecha

Wychować akcyzą

Im więcej rząd mówi o tym, że chce dobra obywateli, tym bardziej chodzi mu tylko o ich pieniądze. Czy państwo ma prawo wychowywać obywateli za pomocą impulsów ekonomicznych i fiskalnych?

Podatek akcyzowy jest szczególny. Zapewnia polskiemu budżetowi bardzo znaczące wpływy na poziomie ok. 70 mld zł, a jego funkcja jest oficjalnie dwojaka. Po pierwsze – jest nakładany na niektóre produkty niezbędne do funkcjonowania państwa i obywateli po to właśnie, aby wpływy z niego były względnie pewne. Tak jest z akcyzą na paliwa czy prąd. Po drugie – jest stosowany w przypadku produktów, które są uznawane za potencjalnie szkodliwe, ale o których wiadomo, że będą się i tak cieszyć niesłabnącym powodzeniem. Tak jest z alkoholem czy wyrobami tytoniowymi. Ten drugi przypadek to klasyczny przykład fiskalnej hipokryzji, politycy bowiem oficjalnie głoszą, że nakładając lub podwyższając akcyzę w takich wypadkach, mają na uwadze dobro obywateli – ale jednocześnie liczą na jak największe wpływy.

Przyjmijmy jednak na moment, że politykom faktycznie chodzi o dobro obywateli, tak jak w tej chwili uzasadniana jest najwyższa od lat podwyżka akcyzy na alkohol i wyroby tytoniowe – o 10 proc. Czy to właściwy sposób? Obrońcy takiej polityki mówią, że tak, ponieważ państwo ponosi koszty leczenia chorób związanych z alkoholem czy paleniem tytoniu (jak duże one faktycznie są, to inna sprawa). Pozornie wydaje się, że wyższa akcyza jest w takim razie w porządku – stanowi rodzaj podatku od osób, u których ryzyko zachorowania jest większe, a więc i wyższe jest ryzyko, że państwo będzie musiało wydać więcej na zajmowanie się nimi. To jednak bardzo groźny sposób rozumowania.

PAN PŁACI, A PAN NIE

Po pierwsze dlatego, że system powszechnej opieki zdrowotnej nie robi rozróżnień na osoby „kosztujące" więcej lub mniej z innych powodów. Owszem, palenie tytoniu zwiększa ryzyko chorób układu krążenia. Jednak z kolei uprawianie narciarstwa zwiększa ryzyko poważnych złamań i urazów, związanych z bardzo kosztownymi operacjami i długą rehabilitacją. Dlaczego za swoje leczenie mają dodatkowo płacić palacze, ale już nie narciarze? Wyjaśnienie jest wyłącznie fiskalne – po prostu łatwiej obrabować palaczy niż narciarzy. Nie da się tego obronić na gruncie argumentacji o wyrównaniu większych kosztów leczenia. I jedni, i drudzy musieliby płacić dodatkowo.

Inaczej wyglądałaby sytuacja w systemie przypominającym amerykański, gdzie poza podstawową opieką zdrowotną dla najuboższych za świadczenia trzeba płacić, więc każdy, kogo na to stać, jest dodatkowo ubezpieczony. Im bardziej ryzykowny tryb życia, tym większe opłaty – i to jest logiczne. Ktoś pali – płaci ubezpieczycielowi więcej. Ktoś chce startować w wyścigach samochodowych albo wspinać się w wysokich górach – płaci wyjątkowo dużo. W polskim systemie składki od kierowcy wyścigowego, palacza, himalaisty czy człowieka z obsesją na punkcie zdrowego trybu życia są identyczne. Nie ma zatem powodu ani uzasadnienia, żeby to założenie państwowego systemu ochrony zdrowia obchodzić za pomocą akcyzy tylko w wybranych przypadkach. Szczególnie że wpływy z niej nie idą przecież na żaden konkretny cel związany z leczeniem obywateli, ale po prostu wpadają do ogólnego worka.

Po drugie – obrońcy „wychowawczej" funkcji akcyzy twierdzą, że państwo ma promować zdrowy tryb życia. Tylko dlaczego państwo ma się wtrącać w to, jak chcą żyć obywatele? A jeżeli już raz się na to pozwoli i przyjmie taki sposób myślenia, to nie ma logicznego powodu, dla którego z czasem podobne fiskalne impulsy nie miałyby objąć i innych kwestii. Można sobie np. wyobrazić, że dbający o dobro obywateli rząd obłoży specjalnym podatkiem każdego z nadwagą – po 50 zł rocznie od każdego nadmiarowego kilograma. Albo że karę będzie płacił każdy, kto nie zrobi tygodniowo przynajmniej 100 tys. kroków. Przecież w obu przypadkach uzasadniać to można dokładnie tak samo jak w przypadku wzrostu akcyzy na alkohol czy tytoń.

eprasa.pl e955a3d6d7

FOT. ADOBE STOCK

Po trzecie – szczególnie pocieszne są te wypowiedzi polityków, w których prezentują oni rosnącą akcyzę jako sposób na poradzenie sobie z – jak twierdzą – straszliwymi alkoholowo-nikotynowymi patologiami. Czy naprawdę ktokolwiek uważa, że wzrost ceny butelki wódki sprawi, że alkoholik przestanie kupować alkohol? Czy też wzrost ceny paczki papierosów skłoni masowo palaczy do rzucenia palenia? Może będą takie pojedyncze przypadki. Jednak w zdecydowanej większości skutki będą dwa. Pierwszy to szukanie tańszych produktów, a więc tych niewiadomego i nielegalnego pochodzenia, z jeszcze gorszymi skutkami dla zdrowia. Drugi to większe wydatki alkoholików i palaczy, co – rzecz jasna – nikogo nie uratuje, a jeśli już, to przyczyni się do szybszego zrujnowania rodzin osób uzależnionych.

EFEKT ODWROTNY

Jeśli państwo mianuje się wielkim wychowawcą, to trzeba też uznać, że obywatele – którzy przecież cieszą się czynnym i biernym prawem wyborczym – są traktowani jak dzieci, którym wprawdzie pozwala się wybierać, kto ma być prezydentem albo kto ma mieć większość w Sejmie, ale nie pozwala im się prowadzić takiego trybu życia, jaki sobie wybiorą.

Drugi powód, dla którego podniesienie akcyzy na wyroby tytoniowe i alkohol aż o 10 proc. jest złym pomysłem, jest czysto fiskalny. Mówimy bowiem o produktach, w przypadku których podwyżka cen oznacza natychmiastowy impuls do podjęcia nielegalnej ich produkcji czy przemytu z zagranicy, czego skutkiem jest wzrost szarej strefy i spadek, a nie wzrost wpływów. Taka sytuacja miała już miejsce w 2010 r., gdy rząd Tuska podwyższył akcyzę na wyroby tytoniowe, czego skutkiem był spadek wpływów o prawie miliard złotych w stosunku do roku poprzedniego. Przecież nie dlatego, że nagle tyle osób rzuciło palenie. Jeszcze wymowniejszy jest przykład z 2002 r., kiedy to akcyzę na alkohol obniżył o 30 proc. rząd SLD Leszka Millera (ówczesna lewica była znacznie bardziej wolnorynkowa niż dzisiejsza tzw. prawica). Wpływy w pierwszym roku wzrosły o prawie pół miliarda.

Można zatem spokojnie założyć, że obecna podwyżka nie przyniesie zaplanowanych 1,7 mld zł więcej. To po prostu tak nie działa. Wpisywanie cyferek w okienka Excela to za mało. Przebieg wypadków jest łatwy do przewidzenia. Wobec braku oczekiwanego wzrostu wpływów będziemy słyszeć o nielegalnym imporcie i produkcji, które bohatersko zacznie zwalczać państwo, być może tworząc w służbach nowe etaty, a może i całkiem nową służbę. Socjalizm, jak powiedział Kisiel, zawsze ofiarnie walczy z problemami, które sam tworzy.

Nietrudno było też przewidzieć, że wobec podwyżki akcyzy zwłaszcza na alkohol pojawią się ze strony rządzących opowieści o rzekomej pladze alkoholizmu. Gdyby przyjrzeć się temu, co się dzieje w mediach społecznościowych i jakie historie zamieszczają tam zwolennicy władzy, można by pomyśleć, że w Polsce na każdym rogu pokotem zalegają uwaleni w trupa obywatele, a wódka w każdym niemal domu leje się strumieniami. Takie opowieści słyszeliśmy zresztą od odwołanego już szczęśliwie szefa Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych Krzysztofa Brzózki. Przy czym głównym problemem, który PARPA rozwiązywała, był problem pracy dla samego Brzózki. Te twierdzenia nie znajdują żadnego potwierdzenia w danych. Na tle Europy w Polsce pije się umiarkowanie. Według najnowszego raportu WHO (dane za 2016 r.), w którym miarą spożycia są litry czystego alkoholu, przeciętny Polak (czy może raczej osoba mieszkająca w Polsce, bo statystyka uwzględnia również choćby ukraińską imigrację) wypija rocznie 10,4 l i jest to raptem o 0,1 l więcej niż w 2010 r. Zdecydowana większość z tego to piwo, nie wódka lub inne odpowiednio mocne alkohole.

Tymczasem w Czechach jest to 12,9 l, w Niemczech – 11,3 l, we Francji 11,8 l, w Portugalii – 10,6 l, na Słowacji – tak jak w Polsce, 10,4 l, w Austrii – 11,4 l, na Węgrzech – 10,9 l, w Bułgarii – 11,4 l, w Irlandii – 11,3 l. To tylko konsumpcja oficjalna, bo raport WHO podaje też szacunkowo tę nieoficjalną (czyli alkohol z nielegalnych źródeł). Tutaj sytuacja jest bardzo ciekawa, bo największe nieoficjalne spożycie jest w krajach, gdzie polityka antyalkoholowa jest oficjalnie najostrzejsza. Na przykład w Szwecji oficjalna konsumpcja to tylko 7,2 l, ale nieoficjalna to 2 l, podczas gdy w Polsce jedynie 1,7 l.

Mniejsza histeria towarzyszy kwestii tytoniu, ale może to dlatego, że palacz nie budzi takich emocji jak alkoholik. Nawet tutaj mamy jednak do czynienia z zadziwiającą decyzją rządu. Oto bowiem ma wzrosnąć, a właściwie zostać wprowadzona akcyza na produkty do podgrzewania, czyli te, w których tytoń nie jest spalany, a jedynie doprowadzany do wysokiej temperatury. Duże firmy tytoniowe mają w ofercie takie urządzenia od kilku lat i prezentowały badania – których na razie nikt nie podważył – pokazujące, że to produkty znacznie mniej szkodliwe niż tradycyjne papierosy, ale też prawdopodobnie mniej niż e-papierosy. Prawdopodobnie, bo tutaj kompleksowych badań nie było. Gdyby więc faktycznie chodziło o zdrowie Polaków, akcyza na te używki wzrastać nie powinna.

LICZY SIĘ KASA

Tyle że w podwyżce akcyzy oczywiście nie chodzi o dobro i zdrowie obywateli – to jedynie chwytliwy pretekst. Celem jest wyłącznie zasilenie budżetu. Na dodatek projekt został przeprowadzony bez żadnych konsultacji z zainteresowanymi podmiotami, czyli prawdopodobnie jedynym doradcą był tutaj faktycznie Excel.

Pozostaje zrobić zakupy alkoholu i tytoniu jeszcze w grudniu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e955a3d6d7

Agnieszka Niewińska

Parlament z procentami

Za sprawą kilku posłów pijących alkohol w czasie posiedzenia Sejmu powraca dyskusja o przywilejach parlamentarzystów

Mam 18 lat i mogę wypić piwo do obiadu – bronił się poseł Koalicji Obywatelskiej Sławomir Neumann po tym, jak fotoreporter „Faktu" przyłapał go na popijaniu belgijskiego piwa w przerwie podczas pierwszego posiedzenia Sejmu. Poseł wybrał się na obiad do jednej z restauracji w okolicach Sejmu.

Podobnie przerwę między głosowaniami spędzali jego partyjni koledzy. Paparazzi w lokalu z kuchnią tajską zauważyli m.in. Agnieszkę Pomaską, Sławomira Nitrasa czy Cezarego Tomczyka biesiadujących przy napojach alkoholowych.

– To fatalne zachowanie, tego być nie powinno, kiedy trwa posiedzenie Sejmu. Posłowie, nawet jeśli jest przerwa w głosowaniach, cały czas są w pracy – komentowała sprawę marszałek Sejmu Elżbieta Witek.

CHŁODNE PIWO W PARTYJNYM PROGRAMIE

Dyskusja o tym, co poseł może wypić do obiadu w dniu posiedzeń, powraca co jakiś czas, zwłaszcza że lokale gastronomiczne ma pod ręką w parlamentarnym kompleksie. W stołówce – przez posłów z dłuższym stażem wciąż zwanej Hawełką (od ajenta, który przez blisko 20 lat karmił posłów) – wybrańcy narodu, dziennikarze czy pracownicy Kancelarii Sejmu mogą zjeść obiad w cenie na każdą kieszeń. „Najchętniej zamawiane są potrawy z gatunku kuchni polskiej" – podaje nam Centrum Informacyjne Sejmu (CIS).

Przykładowe menu? Zupa ogórkowa (3 zł), filet z kurczaka w chrupiącej panierce (10 zł). Są i dania jarskie – takie jak bakłażan faszerowany kaszą kuskus (10 zł), a na większy głód można zamówić podwójną porcję „dodatku skrobiowego" – ziemniaki pieczone z boczkiem i świeżym rozmarynem czy kaszę pęczak (po 2 zł). Do tych smakołyków alkoholu w sejmowej stołówce dziś już nie można zamówić. „Sprzedaż wyrobów alkoholowych ma miejsce w restauracji w Domu Poselskim oraz w przylegającym do niej barku" – informuje CIS.

Były jednak czasy, kiedy w lokalach sejmowych nie było ograniczeń co do sprzedaży alkoholu. Trzeba było tylko patrzeć na zegarek. – Komuniści wymyślili taką zasadę, że alkohol pity do godz. 13 szkodzi, a po 13 już nie szkodzi – wspomina Stanisław Żelichowski, były poseł PSL, który po raz pierwszy został parlamentarzystą jeszcze przed transformacją i zasiadał w Sejmie niemal 30 lat. – Pamiętam, jak za Gorbaczowa odwiedziła nas delegacja z parlamentu ZSRS. Dwóch parlamentarzystów, chodząc po Sejmie, tęsknie przyglądało się półkom z alkoholem, ale z zakupem trzeba było czekać do 13. Zaprosiliśmy więc ich do pokoju, gdzie mieliśmy jakiś alkohol, poczęstowaliśmy. Podaliśmy też kawę, herbatę i kiedy tak rozmawialiśmy, jeden powiedział do mnie: „Wy, Polacy, znowu narozrabialiście, wymyśliliście ustawę alkoholową, a my jej musimy przestrzegać" – opowiada Żelichowski [w ramach pieriestrojki od 1986 r. w ZSRS wprwadzono tzw. suchoj zakon – przyp. red.]. I dodaje: – Na przestrzeni lat były różne kadencje. Najbardziej pracowita była X kadencja [1989–1991 – przyp. red.], kiedy w parlamencie pojawiło się wielu nowych młodych ludzi, którzy nie mieli dużo wspólnego z polityką. Nie zdawali sobie sprawy, że posłowie dostają codziennie 2 kg papierów do przeczytania. W tamtej kadencji światło w pokojach poselskich paliło się całymi nocami. Nie dlatego, że ktoś tam pił, tylko dlatego że parlamentarzyści czytali papiery, chcieli pojąć, jak się kieruje państwem. W kolejnych kadencjach było już większe rozluźnienie.

Dość przypomnieć, że w 1991 r. posłów do Sejmu wprowadziła Polska Partia Przyjaciół Piwa. „Nie mamy złudzeń, że Polak stanie się abstynentem. Tylko niech nie pije wódki. Smaczne, chłodne, aromatyczne piwo tak samo może służyć do wznoszenia toastów" – pisała w swoim programie PPPP. Z jej ramienia w poselskich ławach zasiedli m.in. Janusz Rewiński, Krzysztof Ibisz czy Jerzy Dziewulski. Kiedy w partii doszło do podziału, frakcje otrzymały wdzięczne nazwy: Duże Piwo i Małe Piwo.

– Piwo podczas posiedzeń nie było niczym nadzwyczajnym wśród parlamentarzystów ani w latach 90., ani po 2000 r. Alkohol w sejmowych lokalach był

eprasa.pl e955a3d6d7

FOT. GRZEGORZ JAKUBOWSKI/FORUM

powszechnie dostępny – wspomina Eliza Olczyk z „Wprost", od lat zajmująca się dziennikarstwem politycznym. – Posłowie chętnie spotykali się z dziennikarzami w tzw. barze za kratą w Nowym Domu Poselskim, gdzie w karcie były różnego rodzaju alkohole czy drinki, choć sejmowych reporterów akurat bardziej interesowały informacje, które można było tam wydobyć od posłów. Dzisiaj dostęp dziennikarzy do wielu miejsc w Sejmie jest ograniczony. Do „baru za kratą" można wejść na zaproszenie posła czy senatora – mówi Eliza Olczyk.

Ograniczenie dostępu dziennikarzy do sejmowych lokali gastronomicznych to też sposób na ograniczenie rozgłosu wokół ekscesów parlamentarzystów po alkoholu. A tych w historii parlamentu było wiele. Po 2001 r., kiedy w sejmowych kuluarach pojawili się dziennikarze całodobowych stacji informacyjnych i tabloidów, coraz trudniej było je ukryć przed opinią publiczną. – Pamiętam zwłaszcza głośny spór między Tomaszem Mamińskim, reprezentującym w Sejmie Krajową Partię Emerytów i Rencistów, a detektywem Rutkowskim, wówczas posłem Samoobrony. Mamiński akurat pił piwo z kolegami i usłyszał, że przy stoliku obok Rutkowski rozmawia ze swoim gościem po niemiecku. Według Rutkowskiego pijany Mamiński miał krzyczeć do jego gościa: „Heil Hitler!". Rutkowski zwrócił się nawet do marszałka Sejmu o ukaranie Mamińskiego – wspomina Eliza Olczyk.

Inna posłanka Samoobrony – Sandra Lewandowska – nagłośniła ekscesy, do których doszło w hotelu poselskim. Dwóch posłów PO – Roman Kosecki i Andrzej Biernat – mieli w środku nocy dobijać się do jej pokoju. „Obudziło mnie głośne walenie pięściami w drzwi. Podeszłam więc i spytałam: Kto tam? Roman się przedstawił i chciał zaprosić mnie na drinka, ale odmówiłam. Razem z nim był Andrzej Biernat. Musieli wracać z jakiegoś pijaństwa" – relacjonowała mediom Lewandowska. Domagała się od posłów przeprosin na piśmie.

– Ja nigdy nie byłem w stanie mieszkać w hotelu poselskim, bo tam nie dało się ani wypocząć, ani poczytać. Bez przerwy coś się działo. Chociaż mieszkali tam dorośli ludzie, to czuli się jak w internacie – wspomina Żelichowski.

SPRAWOZDAWCA POD WPŁYWEM

W IV kadencji Sejmu zasłynął poseł SLD Witold Firak. O jego zamiłowaniu do procentów krążyły legendy. W sejmowych lokalach posłowie, zamawiając piwo, prosili o firak strong. Ponoć poseł nie zawsze trzymał pion przed ważnymi głosowaniami, więc koledzy musieli mu pomagać w dotarciu na salę obrad.

Kiedy jako sprawozdawca komisji regulaminowej miał przedstawić opinię co do uchylenia immunitetu Andrzejowi Lepperowi, nie pojawił się na sali plenarnej. Ówczesny marszałek Marek Borowski w asyście kamer udał się nawet do pokoju posła w hotelu poselskim. Okazało się, że Firak był pijany.

Posłance PiS Elżbiecie Kruk wciąż pamięta się dialog z dziennikarzami, którzy widząc jej dziwne zachowanie, wypytywali ją, dlaczego przyszła do pracy pod wpływem alkoholu. – Potrafię pracować dobrze, potrafię coś tam, coś tam – tłumaczyła posłanka.

Z kolei zdjęcia senatora PiS Bogdana Pęka, na których leży na podłodze w korytarzu hotelu sejmowego, zrobiły furorę w sieci. Senator mówił, że nie był pijany, tylko zasłabł. Tłumaczył się problemami neurologicznymi i złośliwością kolegów z parlamentarnych ław.

– Był taki parlamentarzysta – nie chcę już mówić, z jakiej partii – który po pijaku uciekał maluchem przed policjantem. Policjant próbował go dogonić, złapał się jego zderzaka, bezskutecznie. Parlamentarzysta ze swojego zachowania tłumaczył się później z trybuny słowami: „Kto pije i płaci, honoru nie traci" – wspomina Żelichowski. I dodaje: – To było w latach 90. Dzisiaj na takie zachowanie nie ma przyzwolenia.

HANDEL BEZ KONCESJI

Po tym, jak w 2014 r. krakowska restauracja Hawełka zrezygnowała z prowadzenia sejmowych lokali gastronomicznych, ajenci zmieniali się kilkakrotnie. Doszło nawet do skandalu. W jednym z lokali sprzedawano alkohol mimo braku koncesji. Kancelaria Sejmu zerwała umowę z firmą, zatrudniła kucharzy i od lutego 2018 r. sama odpowiada za flaczki czy schabowe w sejmowych lokalach.

Nie zdecydowała się jednak na prohibicję, choć temat wracał wielokrotnie. Orędownikiem wycofania alkoholu z Sejmu jest wicemarszałek Stanisław Tyszka z Kukiz'15. – Mamy zakaz spożywania alkoholu w zakładach pracy i mamy jedno miejsce, Sejm RP, gdzie alkohol można spożywać. To rozwiązanie jest niewłaściwe – tłumaczył przed dwoma laty, kiedy powróciła dyskusja na temat alkoholu w Sejmie. W tej kadencji chce wrócić do niej.

– W odniesieniu do pracownika, który spożywał alkohol w czasie pracy, choćby w niewielkich ilościach, i pracownika, który stawił się do pracy po spożyciu alkoholu, pracodawca może zastosować karę upomnienia lub nagany lub karę pieniężną – wyjaśnia Aleksandra Zagajewska z Państwowej Inspekcji Pracy. Dodaje także, że niezależnie od kar z pracownikiem można rozwiązać umowę.

Tyle że przeciętny pracownik to jedno, a poseł to zupełnie co innego. Elżbieta Witek już nawet rozwiała wątpliwość co do ukarania posłów KO spożywających alkohol w przerwie obrad. Aby wyciągnąć konsekwencje, potrzebny byłby „twardy dowód". Zdjęcia w tabloidzie to za mało.

Stanisław Żelichowski jest zdania, że prohibicja w Sejmie nie byłaby dobrym rozwiązaniem. – Parlamentarzyści należą do grup bilateralnych i niekiedy przyjmują w Sejmie parlamentarzystów z innych krajów. Wielokrotnie odwiedzałem parlamenty innych państw. Do obiadu podawano wino, czasami do herbaty jakiś koniaczek. Nie wiem, dlaczego my mielibyśmy proponować zagranicznym gościom kefir.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e955a3d6d7

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jak wróciliśmy na Księżyc

Piotr Gociek

Podbój kosmosu był dzieckiem zimnej wojny. Jak mógłby wyglądać, gdyby nie został przerwany? Próbuje to pokazać serial „For All Mankind"

Tłumy przed telewizorami, pustki na ulicach. Spocone dłonie, przygryzione usta. Wzrok wbity w ekran. Głos komentatora, drżący niemal tak bardzo jak czarno-biały obraz przesyłany z oddali. Napięcie sięga zenitu. Oto za chwilę pierwszy człowiek postawi nogę na Księżycu. Trzy… dwa… jeden… Jest! Udało się! Ale gdzie podziały się entuzjazm i wiwaty?

Z grobową miną komentator obwieszcza: „Otrzymaliśmy tłumaczenie. »Robię ten krok dla mojego kraju i narodu oraz marksistowsko-leninowskiego stylu życia«. Wypowiedział je Aleksiej Leonow, sowiecki kosmonauta". Wyścig na Księżyc właśnie się zakończył. Rosjanie wygrali.

„For All Mankind", jeden z seriali, którymi gigant Apple inauguruje działalność swego serwisu streamingowego Apple TV+, przedstawia historię alternatywną, w której tak właśnie rozpoczyna się kolejny etap zimnej wojny. W tej rzeczywistości podrażnieni porażką Amerykanie postanawiają odpowiedzieć budową bazy na Księżycu.

Zanim skończą pracę nad projektem na deskach kreślarskich, Rosjanie znów podbiją stawkę: kolejna transmisja pokaże pierwszą kobietę na Srebrnym Globie. Także Rosjankę. W dodatku moskiewska propaganda zaczyna oskarżać Amerykę o dążenie do rozmieszczenia na Księżycu pocisków jądrowych. Wiemy, co to oznacza: że sami Sowieci są od tego o krok. I że jak zawsze próbują zawczasu zrzucić winę za kolejny etap wyścigu zbrojeń na zachodnich imperialistów.

FANTASTYKA BLISKIEGO ZASIĘGU

Ronald D. Moore, człowiek, który wymyślił serial „For All Mankind" (wcześniej stworzył odnowioną wersję „Battlestar Galactica", a ostatnio pracował przy popularnym serialu „Outlander"), skleił swą opowieść z masy rzeczy zapożyczonych skądinąd, na szczęście wybierał dobrze, a i sklejać potrafi. Na pewno udało mu się oddać pionierskiego ducha, który towarzyszył kolejnym etapom powstawania amerykańskiego programu kosmicznego od połowy XX w. O pilotach oblatywaczach bijących rekordy prędkości, a potem awansujących na astronautów pisał pięknie Tom Wolfe w wydanej i u nas książce „S-kadra". Kulisy misji księżycowej odsłonił Norman Mailer we wznowionym w tym roku znakomitym reportażu „Na podbój Księżyca".

W kolejnych odcinkach „For All Mankind" widzimy wielu prawdziwych bohaterów tamtych czasów. Jest oczywiście Wernher von Braun, ojciec nowoczesnych rakiet. Są prawdziwi astronauci: Neil Armstrong, John Glenn, Buzz Aldrin czy Michael Collins. Jest i Deke Slayton, przez wiele lat nadzorujący niesforną gromadkę.

Moore dołożył do tego garść postaci fikcyjnych. Głównym bohaterem uczynił świetnego pilota Edwarda Baldwina (gra go Joel Kinnaman, znany m.in. z serialu „Modyfikowany węgiel") oraz jego druha Gordo Stevensa (Michael Dorman). Podobnie jak serial „The Unit" Davida Mameta, który opowiadał o amerykańskich specjalsach i ich rodzinach, tak i „For All Mankind" jest opowieścią o żonach astronautów, więc i one dostają wiele ekranowego czasu. Ciekawą postacią jest Margo Madison (Wrenn Schmidt), walcząca o to, by zostać pierwszą kobietą w centrum kontroli lotów NASA.

eprasa.pl e955a3d6d7

Mamy więc do czynienia z fantastyką, ale jest to fantastyka dyskretna i bliskiego zasięgu. Richard Nixon wciąż jest prezydentem, a sukcesy w kosmosie mają mu pomóc w wyborczym boju o reelekcję. Kończy się wojna w Wietnamie (bardziej optymistycznie dla Amerykanów niż w naszej rzeczywistości). Szybko jednak okazuje się, że to nie eksplorowanie alternatywnej historii interesuje Ronalda D. Moore'a najbardziej. „For All Mankind" zamienia się w opowieść, która w historycznych dekoracjach odpowiada na współczesne zapotrzebowanie: to opowieść o równouprawnieniu.

NAUKOWCY KONTRA POLITYCY

W NASA powstaje oto kolejny zespół kandydatów na astronautów, tyle że tym razem są to panie, co wywołuje entuzjazm amerykańskiego ludu wsi, miast i kampusów. Jedną z przyszłych astronautek jest czarnoskóra matematyczka, która dotąd pracowała dla NASA w biurach – rzadko odwiedzanych przez żądną sensacji prasę. Tutaj z kolei Moore pożycza trochę z filmu „Ukryte działania" („Hidden Figures", 2016) nominowanego do trzech Oscarów i wydobywającego z cienia prawdziwą historię kobiet wykonujących skomplikowane obliczenia, bez których amerykański program kosmiczny obyć się nie mógł. „For All Mankind" od samego początku inwestuje w intrygujące postacie kobiece, szczególnie ciekawa jest Molly Cobb (Sonya Walger), inspirowana postacią Geraldyn „Jerrie" Cobb, szkoloną w ramach programu „Mercury 13". Cobb była jednym z najlepszych pilotów w dziejach amerykańskiej armii, ale jej sen o kosmosie nigdy się nie ziścił. Moore w swym serialu oddaje jej wspaniały hołd.

Oczywiście wszystko to nie dzieje się lekko, łatwo i przyjemnie. Kobiety (jak i cały program, dodajmy) są traktowane instrumentalnie przez polityków – początkowo wszystko ma być jedynie PR-owską zagrywką. Alternatywna rzeczywistość jest odrobinę bardziej przyjazna ziemskim inżynierom, bo kolejne problemy techniczne udaje się pokonywać szybciej i sprawniej niż w naszej wersji historii, co nie zmienia tego, że astronauta ma spore szanse na zakończenie swego żywota już podczas szkolenia lub na pozostanie w kosmosie w roli zasuszonego eksponatu orbitującego po wsze czasy.

Ze wszystkich nowych seriali, które Apple zaproponował widzom z okazji startu własnej platformy streamingowej, „For All Mankind" podobał mi się najbardziej. Mam oczywiście swoje obawy związane z kierunkami, które najprawdopodobniej obierze w przyszłości, bo pewne tropy sugerują, że czeka nas wkrótce opowieść o tym, jak bardzo wstrętni politycy przeszkadzają w robieniu dobrych rzeczy szlachetnym naukowcom. Albo nieuprawnione (choć coraz częstsze w popkulturze) zrównywanie stron zimnej wojny w myśl hasła: „USA – Sowieci – jedno zło". Albo festiwal poprawności politycznej. Zobaczymy. Obym się mylił. Sześć odcinków pierwszego sezonu już znamy, sezon drugi został zamówiony.

NIE TAK MIAŁO BYĆ

Na razie jednak wdzięczny jestem Moore'owi za dar niezwykle rzadki we współczesnej rozrywce: za optymizm.

Spójrzmy na trzy najgłośniejsze filmy ostatnich lat, opowiadające o podboju kosmosu. „Grawitacja" (2013) Alfonso Cuarona wprost mówiła o tym, że nic dobrego w przestrzeni nas nie czeka, a Ziemia jest nie tylko kolebką, lecz także jedynym wyjściem. „Pierwszy człowiek" (2018) Damiena Chazelle'a po opisie niezwykłych wysiłków związanych z programem kosmicznym przynosił przygnębiający, ponury obraz Neila Armstronga, który po wylądowaniu na Księżycu staje twarzą w twarz z przerażającą pustką. Po cóż zatem to wszystko?

W tegorocznej produkcji „Ad Astra" James Gray co prawda ukazuje Układ Słoneczny z wolna podbijany przez człowieka (bazy na Księżycu i na Marsie), ale jednocześnie twierdzi, że im dalej od Ziemi, tym mniej jesteśmy ludźmi. Odległa stacja kosmiczna, ku której wyrusza bohater grany przez Brada Pitta, jest najdalej wysuniętym posterunkiem ludzkości, z którego przychodzą niewesołe wieści – potężnym teleskopem zajrzeliśmy do innych gwiezdnych układów i wszędzie ujrzeliśmy jedynie martwe światy. Nie ma po co ku nim lecieć. Swoje człowieczeństwo zostawiliśmy na Ziemi, trzeba na nią wrócić.

A przecież nie tak miało być. Chociaż jestem dzieckiem zimnej wojny, to dorastałem (nie tylko ja) w optymistycznym przekonaniu, że po „małym kroku człowieka, ale wielkim skoku dla ludzkości" szybko nastąpią kolejne. W którym momencie ta nadzieja zgasła? Czy kiedy w 1986 r. wybuchł nad Florydą prom kosmiczny Challenger? Czy gdy niemal dwie dekady później spłonęła wracająca z orbity Columbia? Gdy dobiegła końca zimna wojna i ambicje mocarstw przestały realizować się w kosmicznym wyścigu? Ale przecież mieliśmy sięgać ku gwiazdom nie po to, by zadowalać polityków, ale „for all mankind". Dla całej ludzkości.

Serial Moore'a wskrzesił mój dziecięcy optymizm, choć wiem dziś, jak bardzo był on naiwny, a doniesienia naukowców udowadniają, na jak kruchych podstawach budowany. Im więcej wiemy o warunkach kosmicznych podróży, tym więcej problemów do rozwiązania piętrzy się przed nami. Przestrzeń rzeczywiście jest skrajnie wroga, a nasze ciała zupełnie nieprzygotowane na jej podbój. Czy my sami jesteśmy mentalnie przygotowani? Przypuszczam, że wątpię, wszak odwróciliśmy się od kosmosu, coraz bardziej zajęci walką ze wszelakimi kryzysami nękającymi Ziemię.

Jednocześnie „For All Mankind" omija kwestie naprawdę ważne – świat, w którym totalitarne czerwone imperium uzyskuje technologiczną przewagę nad Zachodem, to miejsce o wiele bardziej przerażające, niż rozumieją to bohaterowie serialu. Inne istotne pytanie to cena kosmicznego wyścigu – i nie mówię tu ani o dolarach, ani o pilotach, którzy zginęli podczas szkolenia. Ta cena jest dużo większa i wyznaczają ją zarówno tysiące ofiar hitlerowskiego programu rakietowego von Brauna (który mówi w serialu: „Postęp musi kosztować"), jak i nieznana wciąż do końca liczba ofiar kosmicznego skoku za wszelką cenę w stalinowskim, a potem chruszczowowskim Związku Sowieckim.

Miło jest jednak znów pomarzyć. Miło przez chwilę znów znaleźć się w świecie, w którym ludzkość chce, ludzkość potrafi, ludzkość triumfuje, a droga ku gwiazdom zostaje otwarta. Wierzę, że w tym marzeniu nie jestem osamotniony.

★★★★☆☆

SEZON 1
„FOR ALL MANKIND"
USA 2019,
DYSTR. APPLE TV+

wyst. Joel Kinnaman, Michael Dorman, Wrenn Schmidt

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e955a3d6d7

Wiesław Chełminiak

Dwa skrzyżowane miecze kojarzą się z bitwą pod Grunwaldem, a miłośnikom piękna również z porcelaną

Kiedy złoto było białe

August III Sas, fan włoskiej opery i malarstwa, do polityki nie miał głowy. W 1737 r. zdobył się jednak na gest, którym zachwycił polskich poddanych: pozwolił się sportretować bez peruki, za to w kontuszu i przy karabeli. Aby zwiększyć propagandową siłę rażenia obrazu pędzla Louisa de Silvèstre'a, masowo powielano go w formie grafiki. Chcąc obejrzeć mieniący się kolorami oryginał, trzeba pofatygować się do Drezna. Znacznie bliżej, bo w Krakowie, podziwiać można dwa posągi króla, wyrzeźbione z porcelany. Ta sama dumna poza, ten sam strój Sarmaty, tylko zamiast dywanu Wettin depcze

eprasa.pl e955a3d6d7

Na wystawie oglądać można m.in. monumentalne, wysokie na niemal półtora metra i złożone z 15 segmentów porcelanowe „Ukrzyżowanie". To dzieło Joachim Kändler wykonał na osobiste zamówienie Augusta III

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU (3)

kwiaty róż. Figury są puentą otwartej na Wawelu wystawy rokokowych utensyliów i bibelotów, wykonanych w słynnej manufakturze miśnieńskiej.

W STRONĘ AZJI

Trzysta lat temu moda na chińszczyznę szerzyła się w Europie niczym pożar na stepie. Zjawisko to miało pewne racjonalne podstawy. Pod rządami dynastii mandżurskiej Kraj Środka wyrósł na politycznego i gospodarczego giganta. Cena, którą Chińczycy zapłacili za ten sukces, była wysoka, co nie przeszkodziło Wolterowi i innym filozofom uznać cesarstwa za cywilizacyjny wzór dla Zachodu.

Stworzenia armii urzędników, wiedzą dorównujących mandarynom, chciało wielu oświeconych monarchów, ale szybko okazało się, że rzeczywistość skrzeczy. Łatwiej niż ustrój było sprowadzić z Azji herbatę, jedwab, lakę i porcelanę. Dalekowschodnia sztuka i rzemiosło osiągnęły w owej epoce szczyt wyrafinowania. Na Starym Kontynencie uważano je za dobra luksusowe. Nie trafiały pod strzechy, lecz do królewskich i książęcych rezydencji. Szanujący się władca musiał mieć w swym pałacu choćby jeden gabinet urządzony w orientalnym stylu, w parku pawilon w kształcie pagody i popijać kawę (lub czekoladę) z porcelanowej filiżanki.

August II Sas, zwany Mocnym, po laniu, które sprawili mu Szwedzi, stracił mocno na prestiżu, więc łaknął „białego złota" bardziej niż inni władcy. Najpierw jednak próbował zdobyć złoto prawdziwe. Jego ludzie pojmali Johanna Friedricha Böttgera, który jakoby posiadł, poszukiwaną od stuleci, formułę kamienia filozoficznego. Teraz młody alchemik musiał udowodnić, że nie jest oszustem, pod groźbą dożywotniego uwięzienia w twierdzy Königstein. W 1706 r. wyprodukował kamionkę, którą z przesadą godną epoki nazwano czerwoną porcelaną. Dwa lata później uzyskał twardą, białą masę, bardziej odporną od tej sprowadzanej z Azji. Wolności nie odzyskał, jego chlebodawca nie mógł wszak dopuścić, by sekret poznali inni monarchowie.

Dzisiaj uważa się, że Böttger przywłaszczył sobie odkrycie, którego tak naprawdę dokonał urodzony pod Zgorzelcem Ehrenfried Walther von Tschirnhaus. Uczony eksperymentował z wypalaniem różnego rodzaju glinek, a rola alchemika ograniczała się do zbudowania odpowiedniego pieca. Jakkolwiek było, wyroby z saskiej porcelany wywołały sensację na targach wielkanocnych w Lipsku w 1710 r., choć jakością znacznie odbiegały od chińskich pierwowzorów. Mówiąc wprost – były toporne. Z braku fachowców zdobienia złotem, srebrem i emaliami zamawiano u jubilerów z bawarskiego Augsburga. Wkrótce jednak miało się to zmienić.

PLAGIATORZY I DEZERTERZY

Rokokowe cacka wypełniają trzy sale. Na co dzień są rozproszone w stałej ekspozycji Wawelu i zamku w Pieskowej Skale, część zalega w muzealnym magazynie. Zaczynem krakowskiego zbioru był dar kolekcjonera Tadeusza Wierzejskiego, który w 1966 r. przekazał 150 wyrobów Królewskiej Manufaktury w Miśnie. Dzisiaj jest ich ponad 400.

Asortyment może przyprawić o zawrót głowy. Wazy, misy, talerze, kufle, filiżanki, spodki, imbryki, cukiernice, solniczki, dzbany, mleczniki, teryny, sosjerki, patery, donice, puzderka, lichtarze, kałamarze, piasecznice, łyżeczki… Ambicją Augusta było, by pałac Japoński w Dreźnie w całości wypełnić ceramiką w stylu dalekowschodnim. Saską porcelanę na początku zdobiły malowane sceny rodzajowe określane mianem chinoiserie. Egzotyczne pejzaże i weduty bezwstydnie kopiowano z ilustracji zamieszczanych w książkach podróżniczych.

Z czasem pojawiły się dekoracje o tematyce europejskiej. Natchnienia dostarczały dzieła najmodniejszych artystów epoki z Watteau na czele. Przy manufakturze powstała szkoła rysunku – filia drezdeńskiej Akademii Sztuk Pięknych. W 1729 r. wyszło na jaw, że minister Karl Heinrich

Figurka kobiety w stroju myśliwskim, ok. 1765–1770 r.

eprasa.pl e955a3d6d7

von Hoym, sprawujący nadzór nad produkcją, zwąchał się z francuskim marszandem. Panowie sprzedawali w Paryżu porcelanę z Miśni jako chińską. W rezydencji chciwego urzędnika skonfiskowano ponad 4 tys. wyrobów, które po wycięciu na nich znaku Wettinów – dwóch skrzyżowanych mieczy – trafiły do pałacu Japońskiego.

Afera paradoksalnie wyszła Sasom na dobre, bo przekonała ostatnich wątpiących, że ceramika produkowana nad Łabą w niczym nie ustępuje azjatyckiej. Było to tym ważniejsze, że monopolu nie udało się utrzymać długo. Już w 1717 r. dwóch zbiegów z Miśni założyło konkurencyjną manufakturę w Wiedniu. Francuzi rzucili na rynek miękką porcelanę, tzw. biskwity. Anglicy chcieli zaś parzyć herbatę wyłącznie w kamionkowych imbrykach Wedgwooda. Ofiarami kuchennej rewolucji padły srebrne naczynia, których posiadanie było dotąd jedną z oznak zamożności i wysokiej pozycji społecznej. Zastąpiły je wyroby z „białego złota".

MUCHA W TALERZU

Złoty okres przypadł na czasy panowania Augusta III. Sama tylko malarnia zatrudniała wówczas grubo ponad setkę ludzi. Królewską manufakturę rozsławiały zastawy stołowe, którymi Sasi obdarowywali swoich faworytów i ościennych władców. Hrabia Aleksander Józef Sułkowski zanim popadł w niełaskę, stał się szczęśliwym posiadaczem serwisu liczącego ponad tysiąc sztuk. Serwis sprawcy jego upadku, Heinricha von Brühla, zwany łabędzim, był dwa razy większy, lecz po zbombardowaniu Drezna przez Brytyjczyków i Amerykanów zostały z niego tylko resztki.

Miśnieńska porcelana pomagała w przełamywaniu politycznych lodów. W 1737 r. August wysłał swego przyrodniego brata Maurycego z misją pojednawczą do Paryża. Królowa Francji została obdarowana serwisem ozdobionym złotymi liliami Burbonów, polskim orłem, litewską Pogonią i Wieniawą – herbem własnym Leszczyńskich. Maria, córka Stanisława, dwukrotnie pozbawionego przez Wettinów korony, prezent przyjęła. Był to symboliczny koniec konfliktu, który obnażył słabość Rzeczypospolitej i fatalnie zaciążył na jej przyszłych losach.

Spodek z dekoracją chinoiserie, ok. 1730 r.

Ojców sukcesu „białego złota" z Saksonii było wielu, lecz jeden z nich jest nie do pominięcia. Johann Joachim Kändler pracował w królewskiej manufakturze przez 40 lat, najpierw jako rzeźbiarz modeler, a potem kierownik odpowiadający za formy wyrobów. Najpiękniejsze i najbardziej wymyślne eksponaty wystawy są jego dziełem. Projektował wielobarwne zestawy naczyń oplecionych gałązkami róż albo kaliny, serwisy śniadaniowe w kształcie owoców cytryny, wazy ozdobione wizerunkami ptaków, talerze, po których chodziły porcelanowe muchy, gąsienice i motyle.

POLSKI POCAŁUNEK

Produkowane w Miśni bibeloty zapełniały rokokowe salony i buduary. Dekorowano też nimi pańskie stoły podczas biesiad i bankietów. Wcześniej tę rolę odgrywały figurki z gipsu, wosku, cukru i marcepanu. Fantazja Kändlera i jego pomocników nie znała granic. W ofercie manufaktury były porcelanowe owce, psy, papugi, tłuste aniołki i nagie greckie boginie, alegorie kontynentów i pór roku, sceny rodzajowe z udziałem dworzan, muzyków, myśliwych, pasterzy i ogrodników (efekt mody na życie zgodne z naturą).

Słynną małpią kapelę, zestaw składający się z 19 figurek, kupiła madame de Pompadour, która dla pań z wyższych sfer była wyrocznią w sprawach mody. Urodzie miśnieńskich wyrobów uległ nawet śmiertelny wróg Wettinów, król Prus Fryderyk Wielki. W epoce oświecenia Europejczyków kręciła egzotyka, więc w Kändlerowskim wzorniku musiały znaleźć się podobizny Murzynów, Arabów, Turków, Tatarów i polskich szlachciców. 15-centymetrowe figurki wąsatych obywateli Rzeczypospolitej z podgolonymi łbami tudzież ich małżonek w kwietnych sukniach szły jak woda, a i dziś wywołują zaciekawienie cudzoziemców zwiedzających wawelską ekspozycję. Szczególne zainteresowanie wzbudza rzeźba Polaka całującego z uszanowaniem kobietę w rękę, czemu z boku przygląda się zaniepokojony łaciaty piesek.

W trzeciej, najmniejszej z wystawowych sal umieszczono monumentalne, wysokie na niemal półtora metra i złożone z 15 segmentów porcelanowe „Ukrzyżowanie". To dzieło Kändler wykonał na osobiste zamówienie Augusta III, gorliwego katolika. Zaprojektował też konny pomnik chlebodawcy, ale powstał tylko niewielki model. Na Saksonię spadły bowiem klęski, z których największą była pruska okupacja. Fryderyk Wielki, chcąc stać się jednym z europejskich rozgrywających, zaczął od zmiażdżenia południowego sąsiada. Udało mu się to nadzwyczaj łatwo, m.in. dlatego, że Wettinowie za mało wydawali na armię, a za dużo na sztukę.

Zresztą nawet i bez wojny miśnieńska manufaktura utraciłaby rynki zbytu. Pod koniec XVIII w. w Europie działało już ponad 60 zakładów produkujących „białe złoto". Zmienili się też klienci. Bogaci mieszczanie mieli gorszy gust od arystokratów, mylili piękno z kiczem. Prace następców Kändlera nieuchronnie popadły w sentymentalizm, czego objawem stały się nader popularne figurki baraszkujących dzieci. Unia sasko-polsko-litewska, rozerwana z woli ościennych mocarstw, przeszła do historii. Nad Wisłą i Niemnem wspominano ją z nostalgią, jako czas świętego spokoju, względnego dobrobytu oraz intensywnej konsumpcji. Brzuchaty, porcelanowy szlachcic z kielichem w ręku wciąż ma ochotę zatańczyć menueta.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Porcelana miśnieńska w zbiorach Zamku Królewskiego na Wawelu" jest czynna do 1 grudnia.

eprasa.pl e955a3d6d7

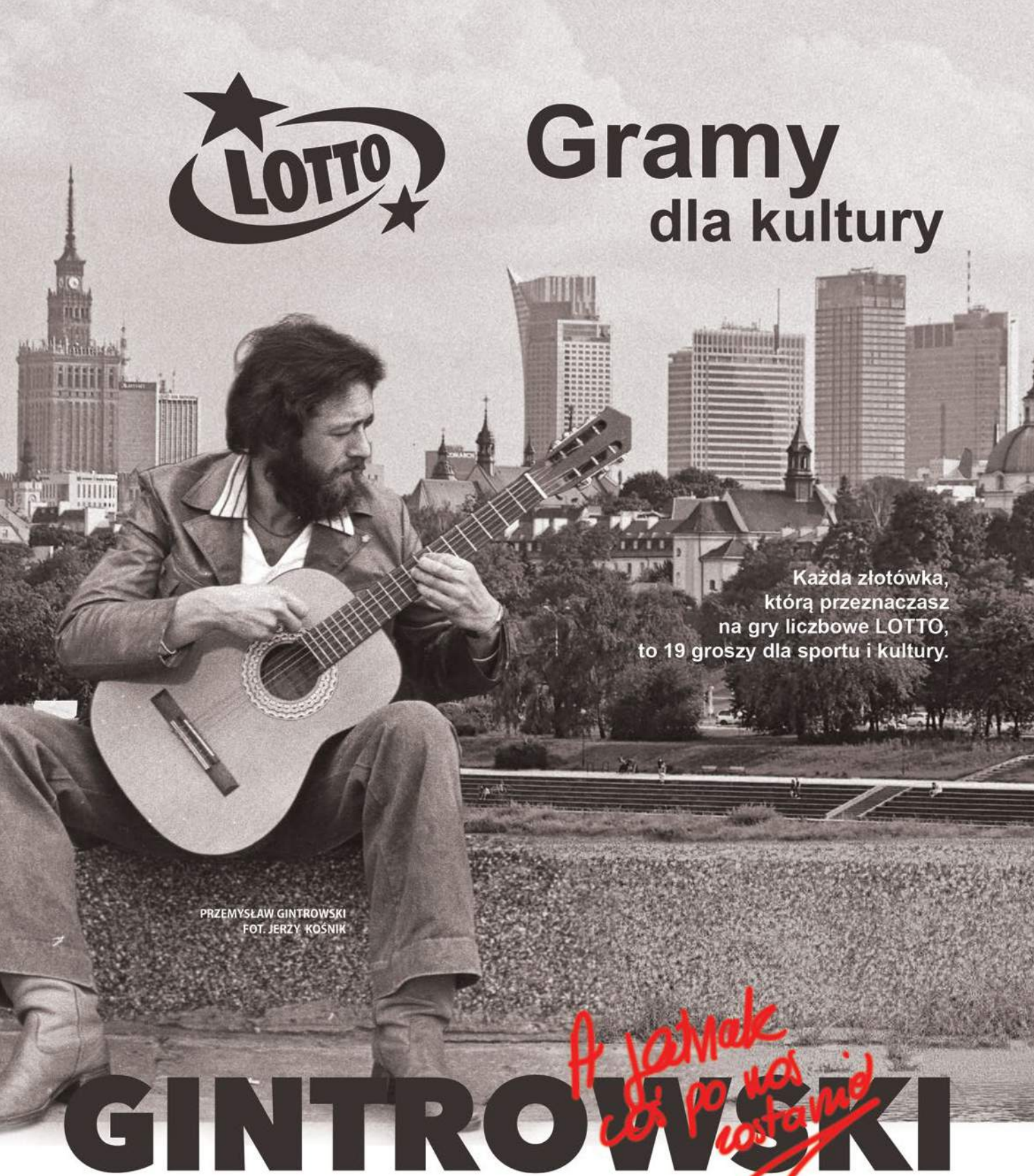

eprasa.pl e955a3d6d7

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Pasjonaci kontra krawaciarze

Kierowca rajdowy jest jak saper albo himalaista: myli się tylko raz. A nawet, jeśli jakimś cudem uda mu się przeżyć, to i tak ma przechlapane. W sławnym swego czasu melodramacie „Kobieta i mężczyzna" Jean-Louis Trintignant grał mistrza kierownicy, którego żona popełniła samobójstwo, sądząc, że ukochany zginął w karambolu. Kilka lat później amerykański twardziel Steve McQueen wcielił się w gwiazdora Formuły 1, obwinianego o śmierć rywala na torze Le Mans.

Panowie, którzy zaprzedali duszę demonowi prędkości, byli, są i pozostaną wdzięcznymi obiektami wiwisekcji. Nie tak dawno na ekranach kin gościł „Wyścig" – z lekka tylko sfabularyzowana historia zmagań zimnokrwistego Niki Laudy z imprezowiczem Jamesem Huntem. Teraz przyszła pora na pojedynek dwóch stajni wyścigowych: oryginalny tytuł filmu brzmi bowiem „Ford konta Ferrari".

Działo się to pół wieku temu z hakiem. Polską rządził łysy Gomułka, Wielką Brytanią – kudłaci Beatlesi, zaś dumą Włoch był konstruktor najszybszych samochodów świata. Enzo Ferrari propozycję fuzji z Fordem odrzucił ze wzgardą, oceniając z pozycji estety, że jankesi produkują brzydkie samochody w brzydkich fabrykach. Na takie dictum niedoszły wspólnik mógł odpowiedzieć tylko w jeden sposób: podejmując rzuconą przez nadętego makaroniarza rękawicę.

Do tego momentu sprawa wydaje się prosta: Amerykanie nakręcili kolejny film ku pokrzepieniu serc. Jak wiadomo, przemysł motoryzacyjny przestał być chlubą USA, zaś jego stolica – Detroit – zbankrutowała i zamieniła się w miasto duchów. Skoro rzeczywistość skrzeczy, to wróćmy do wspaniałej przeszłości. Zlecenie na zbudowanie wyścigówki, zdolnej przełamać hegemonię Italiańców, otrzymuje teksański kowboj Carrol Shelby, który wciąga do współpracy swego znajomka, kierowcę Kena Milesa.

Zatrudnienie hulajgęby, który śmiał nazwać Forda Mustanga „wozem dla sekretarek", bardzo nie podoba się ważniakom z Detroit. Wojna podjazdowa tandemu weteranów II wojny światowej z korporacyjnymi szczurami jest równie ekscytująca jak owiany złą sławą 24-godzinny wyścig w Le Mans, choć nie towarzyszą jej wycie silników, pisk opon, smród spalonej gumy i rozgrzanego asfaltu.

Film jest apoteozą indywidualizmu. Ludzie z pasją pchają nasz świat do przodu, choć należne im laury często zdobią inne, miedziane czoła. Dwie i pół godziny seansu mijają jak z bicza strzelił. Christian Bale sprawdza się w rolach obsesjonatów, bo sam jest jednym z nich. Nawiasem mówiąc, prawdziwy Miles był Brytyjczykiem, a w barwach Forda oprócz niego ścigało się w Le Mans trzech Nowozelandczyków. ©℗

★★★★☆☆

REŻ. JAMES MANGOLD
„LE MANS '66" („FORD VS FERRARI")
USA 2019

wyst. Matt Damon, Christian Bale, Caitriona Balfe

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „NA NOŻE"

„Looper" dał Rianowi Johnsonowi pracę w postaci kręcenia filmu „Gwiezdne wojny: Ostatni Jedi", sukces komercyjny tego ostatniego dał mu z kolei dużą swobodę przy następnym projekcie. Efektem jest kryminał w duchu Agathy Christie, do którego Johnson sam napisał scenariusz i do którego zaprosił gwiazdorską obsadę. Bogaty autor powieści detektywistycznych pada trupem w swej posiadłości. Śledztwo wśród członków dysfunkcyjnej rodziny poprowadzi Daniel Craig. ©℗

Piotr Gociek

- ***„Na noże" („Knives Out"), reż. Rian Johnson, wyst. Ana de Armas, Don Johnson, Jamie Lee Curtis, USA 2019***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„The Lighthouse", reż. Robert Eggers, USA 2019***
- ***„Solid Gold", reż. Jacek Bromski, Polska 2019***
- ***„Last Christmas", reż. Paul Feig, USA/Wielka Brytania 2019***
- ***„Angelo", reż. Markus Schleinzer, Austria/Luksemburg 2018***

eprasa.pl e955a3d6d7

Skok przez konia

Leniwy, niedzielny poranek. Mało uczęszczana droga, przecinająca wieś, jakich tysiące. Koguty pieją, krowy muczą, psy szczekają, młoda kobieta szarpie się z mężem – pijakiem. Grozi, że odejdzie, zabierając ze sobą dwoje małych dzieci.

Autem na rządowych blachach nadjeżdża przybysz z innego świata: wygarniturowany i nadmiernie pewny siebie. Wkrótce galerię bohaterów powiększą policjant w przededniu awansu, jego podwładny – „złota rączka", dziewczyna zaczynająca służbę w mundurze, załoga karetki pogotowia, strażacy i tłum gapiów. Będzie co oglądać i czego posłuchać, ponieważ wszyscy znaleźli się w złym czasie w złym miejscu.

Fatalizm, połączony z ogrywaniem skrajnych emocji i wywlekaniem brudów, których raczej nie pierze się publicznie, każe widzieć w Kruhliku pojętnego ucznia Smarzowskiego.

Reżyser debiutant mocno trzyma lejce w garści, aktorzy nadążają za scenariuszem, widz coraz głębiej zapada się w fotel, lecz zamiast spodziewanego katharsis lub coup de grâce następuje swojska siurpryza. Przypomina się anegdota o szlachcicu, który próbując dosiąść konia, wziął zamach tak wielki, że chabetę przeskoczył. Kruhlik ten błąd powtarza kilka razy. Porównania ludzi do gwiazd, eksplodujących, gdy kończy im się paliwo, nie kupi nawet początkujący astrolog. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. BARTOSZ KRUHLIK „SUPERNOVA" POLSKA 2019

wyst. Marek Braun, Marcin Hycnar, Marcin Zarzeczny

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ELTONA HISTORIA SZALONA

Zanim opowiedział o Eltonie Johnie, reżyser Dexter Fletcher ukończył zamiast Bryana Singera film o Freddiem Mercurym. Obie produkcje sporo łączy, ale „Rocketman" jest lepszy od „Bohemian Rhapsody", bo ciekawiej opowiedziany. Musicalowe wstawki układające się w dzieje życia autora „I'm Still Standing" są świetne, a Taron Egerton w roli Eltona Johna – znakomity. Na drugim planie mamy m.in. Jamiego Bella jako Berniego Taupina (chłopak z „Billy'ego Elliota" wyrósł na ciekawego aktora). Najsłabiej w tym zgrabnym zestawieniu „the best of" w śpiewaniu i „the worst of" w codziennym życiu wypadają sceny na terapii, stanowiące klamrę opowieści. Trącą banałem i spowalniają całość, a ostatnia z nich jest najgorszym fragmentem całego, całkiem udanego filmu. Oczywiście pamiętajmy, że wszystko i tak jest tu stosownie uładzone, bo Elton John był konsultantem własnej biografii, tak jak panowie z Queen zadbali, by „Bohemian Rhapsody" był odpowiednio grzeczny i konwencjonalny.

★★★★☆☆

REŻ. DEXTER FLETCHER „ROCKETMAN" USA 2019, DYSTR. IMPERIAL

wyst. Taron Egerton, Jamie Bell, Richard Madden

FRANCUSKI PACJENT

Uczciwy oszukać się nie da, w dodatku faceci na widok kobiety w potrzebie wyłączają mózgi. Żerują na tym bohaterki „Oszustek": wyrafinowana (Anne Hathaway) i grubiańska (Rebel Wilson). Problem w tym, że żadna z nich nie chce konkurencji. Film, którego akcja rozgrywa się na francuskiej Riwierze, to luźny remake „Parszywych drani" (1988). Chociaż odtwórczynie głównych ról szarżują, ile mogą, to zmarnowana szansa. Zamiast inteligentnej feministycznej satyry na męskie ułomności i opowieści o kobiecych przewagach dostajemy skleconą byle jak listę idiotycznych komediowych numerów. Jedne żarty są przeciągnięte, inne wrzucone migawkowo tylko po to, by coś się działo, za to bez związku z fabułą. W kategorii „wakacyjne głupotki" startował niedawno „Zabójczy rejs" Netflixa z Jennifer Aniston i Adamem Sandlerem. Był o wiele zabawniejszy. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

★★☆☆☆☆

REŻ. CHRIS ADDISON „OSZUSTKI" („THE HUSTLE") USA 2019, DYSTR. FILMOSTRADA

wyst. Anne Hathaway, Rebel Wilson, Alex Sharp

GRA TYGODNIA: „DEATH STRANDING"

★★★★★☆

Przez długie miesiące to, czym będzie nowe dzieło legendarnego Hideo Kojimy, samo owiane było legendą. Ostrożnie dawkowane informacje, filmowe trailery ze znanymi aktorami, skomplikowana, postapokaliptyczna i futurystyczna fabuła. Czas domysłów dobiegł jednak końca, gracze otrzymali „Death Stranding" do rąk i... zatopili się w jednym z najdziwniejszych światów i produkcji 2019 r. W skrócie – jesteś kurierem, który dostarcza do ostatnich kolonii ludzkości przesyłki, odbudowując kraj, który kiedyś był Stanami Zjednoczonymi. Klimatyczna grafika, wątki metafizyczne, dużo zaskoczeń. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *TPP/RPG*
- ***Platforma:*** *PS4/PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Kojima Productions/Sony*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *18+*

eprasa.pl e955a3d6d7

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

W poszukiwaniu dobrego człowieka

Może się ta książka wydać niedzisiejsza, przegadana, nazbyt swobodnie przechodząca od powieści do rozprawki, od opowiadania do gawędy, od osobistego wspomnienia do nauki dziejów najnowszych. A jednak ujmuje czytelnika i wzrusza go.

Historie podobne jak ta opowiedziana przez Zuzannę Śliwę mogły się zdarzać w okupowanej przez Niemców Polsce. I zdarzały się. W kwietniu roku 1944 16-letnia Agnieszka wraca z lasu obok torów i dostrzega, jak z przejeżdżającego pociągu ktoś wyrzuca pakunek, którym okazuje się owinięte w poduszkę niemowlę. Nie ma przy nim żadnych informacji. Nie wiadomo, czy z transportu wyrzuciła je ręka matki (prawdopodobnie) cygańskiej, żydowskiej, a może polskiej?

Agnieszka, jak na 16-letnią łączniczkę Armii Krajowej przystało, nie tracąc zimnej krwi, idzie z dzieckiem do domu. Podejmuje też decyzję, że weźmie na siebie obowiązek opieki nad dziewczynką. Jednak sama nie jest jeszcze przecież dorosła. Znajduje na szczęście pomoc, przede wszystkim w osobie dziadka, ale i miejscowego księdza i paru jeszcze osób zaangażowanych w ratowanie zagrożonego życia. Tajemnicę prawdziwego pochodzenia dziecka zachowają dla siebie. Czy po wojnie, w wolnym kraju, nie powinno się mówić pełnym głosem o tym, co skrywano w obawie przed represjami okupanta?

Niby tak, a jednak „oswobodzenie" Polski nie oznaczało wolności, a już na pewno nie dla wszystkich. Szczęśliwie dziadek bohaterki opowieści, prawdziwy duch opiekuńczy

FOT. WIKIPEDIA

sprawujący pieczę nad rodzinnym gniazdem Klonowskich, dbał nie tylko o swą familię. Na niejakiego Skota, tamtejszego domownika, natrafił, zdawałoby się, przypadkiem, w roku 1954, w miasteczku: „Dziaduś za czymś tam jechał, miał już wtedy motocykl – opowiadała Agnieszka. – Zabierał się z powrotem, kiedy zauważył młodego, strasznie wychudzonego mężczyznę […]". Zagadnął go, od słowa do słowa dowiedział się, że chudzielec niedawno opuścił więzienie, gdzie odsiadywał ośmioletni wyrok – „za AK". Nie miał gdzie się udać, „nikt na niego nie czekał. Żonę zastrzelili Niemcy, kiedy z paromiesięczną córką uciekała przed uliczną łapanką. Dziecko także zginęło. Stach poszedł do partyzantki. Zgłaszał się na najbardziej ryzykowne akcje, pragnął zginąć w walce z mordercami rodziny. Jednak miał nieszczęście, tak o tym mówił, przeżyć. Rok po wojnie został aresztowany i skazany".

Dziadek Klonowski nakarmił Stacha, usadził na motorze i przywiózł do domu. Jak miało się okazać, na zawsze: „Od tamtej pory stał się członkiem rodziny. Nigdy nie słyszano z jego ust słowa skargi, dziadzia wręcz czcił".

Inna bohaterka „Tajemnicy alei klonowej" przez zieloną granicę przedostaje się na Zachód. Jest młoda, urządzi tam sobie życie. Jednak czy „musiała uciekać z kraju? Odpowiedzią były niepozostawiające złudzeń statystyki. W latach powojennych za udział w »zbrojnych bandach« do więzień trafiło trzysta tysięcy kobiet i mężczyzn, znakomitą większość stanowili żołnierze Armii Krajowej. Około dwudziestu pięciu tysięcy skończyło życie w kazamatach Urzędów Bezpieczeństwa, osiem tysięcy skazano na śmierć, cztery i pół tysiąca wyroków wykonano. Zło. Nierozliczone".

Po otrząśnięciu się z tragedii życie jednak popędziło dalej. Ale opowieść Zuzanny Śliwy o latach powojennych nie ma w sobie wcześniejszej dynamiki, nie niesie równych emocji, co nie znaczy, że odgrywa rolę drugorzędną. A podstawowy jej sens wyznacza pytanie o granice zła i dobra. „Zadawanie go – czytamy – jest naszą powinnością wobec przeszłości i przyszłości. Inaczej możemy dojść do chwili, kiedy trzeba będzie przemierzyć setki kilometrów, aby odnaleźć dobrego człowieka".

Ale zanim dojdziemy do takiego punktu, warto obejrzeć jakieś fotografie w starym albumie, odkurzając je przy okazji, powspominać przy rodzinnym stole tych, którzy – niestety – odeszli, a może i wymienić się uwagami o ostatnio przeczytanej książce. Dajmy na to, o „Tajemnicy alei klonowej". ©℗

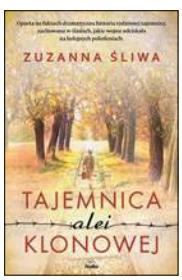

★★★★☆
ZUZANNA ŚLIWA „TAJEMNICA ALEI KLONOWEJ"
REPLIKA 2019

eprasa.pl e955a3d6d7

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Towarzysze niedoli

O przedwojennej Warszawie mniej nostalgicznie niż zwykle. „Margines", „Nocne życie miasta", „Warszawa, miasto zbrodni" – tytuły poszczególnych części mówią wiele. Kilka lat temu ten sam autor wydał w wersji e-book pracę „Warszawa – miasto grzechu. Prostytucja w II RP". Teraz rozszerza pole swych badań, opowiadając o złodziejach, żebrakach, zbrojnych bandach, o wielkiej biedzie, która jak zwykle w metropoliach leżała u podstaw kłopotów z przestępczością. Inny to obraz od tego, który przypominamy sobie dzięki odkrywanym wciąż kronikom filmowym, ukazującym przedwojenną Warszawę pełną eleganckich kamienic, luksusowych restauracji, dżentelmenów prowadzących pod rękę swe damy na spacerach, imponujących nowych gmachów administracji rządowej.

Paweł Rzewuski zaznacza jednocześnie, że nie czyni tego, by zdekonstruować wizję stolicy II RP, lecz by pokazać kawałek świata nieprzedstawionego, by opowiedzieć, co działo się równolegle, obok, za rogiem. Mapę biedy i przestępczości uzupełnia unikatowymi zdjęciami (spójrzcie na niezwykły obraz Kercelaka, z kamienicą na rogu Leszna i Okopowej w tle). Niektóre dane są mocno zaskakujące: oto problem żebractwa był jednocześnie problemem wojennych weteranów. Na ulicach o wsparcie błagali także ci, którzy oddali zdrowie za ojczyznę w okopach wielkiej wojny, podczas walk z bolszewikami, czasem nawet jeszcze w czasach powstania styczniowego. Obraz miejskiego grasanta, który by rabować i zabijać, skrzyknął swych dawnych kumpli z oddziałów frontowych, także nie pasuje do typowego wyobrażenia o polskim żołnierzu. I tak dalej.

Byłaby to jednak tylko jeszcze jedna książka pełna krwawych i sensacyjnych ciekawostek, gdyby nie druga część opowieści Rzewuskiego. Opisując szczerze mroczne strony życia dawnej Warszawy, jednocześnie przypomina wysiłek tych, którzy niewesoły stan rzeczy chcieli zmienić. Od policji (w tym rzadkość – kobiecej) po Kościół, ale przede wszystkim z wielkim naciskiem na samoorganizujących się obywateli.

Ubogiej II RP nie stać było na nowoczesny system opieki społecznej, ale bogata była sercami swych obywateli, którzy tworzyli inicjatywy antyżebracze i antyalkoholowe, lobbowali na rzecz budowy osiedli dla potrzebujących, sami zbierali pieniądze na ich rzecz, troszczyli się o edukację. Polska może być wolna i silna tylko wtedy, gdy nie pozostawi samym sobie swych skrzywdzonych i poniżonych. Tak rozumiano wtedy obowiązek świadomego obywatela. Wypadałoby zapytać: A dziś? ©℗

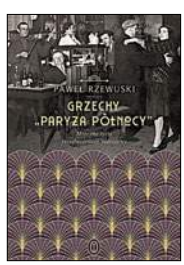

★★★★☆☆

PAWEŁ RZEWUSKI „GRZECHY PARYŻA PÓŁNOCY" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Amerykańska dziennikarka podróżuje po świecie, opisując fatalny stan powietrza, które wdychamy. Bez ideologicznego zacietrzewienia, choć polski rozdział (odwiedziła Śląsk i Kraków) dowodzi, że jednak powierzchownie.

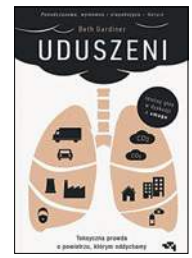

BETH GARDINER „UDUSZENI" GRUPA WYDAWNICZA RELACJA

Gratka dla miłośników hard SF. Powieść „Proxima" (recenzowałem ją rok temu) zdawała się jedynie bardzo oryginalną historią wyprawy ku gwiazdom. Jej ciąg dalszy oszałamiająco otwiera się w innych kierunkach.

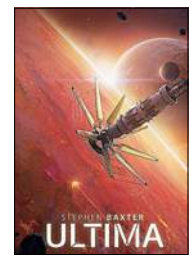

STEPHEN BAXTER „ULTIMA" ZYSK I S-KA

Tytuł nie do końca precyzyjny, gdyż królowie i książęta są tu nie tylko w wierszykach (lecz także w notach biograficznych). Do tego cudowne ilustracje Małgorzaty Flis. Zgrabna lekcja historii Polski – z niewymuszonymi rymami i ciepłym humorem.

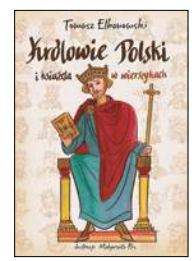

TOMASZ ELBANOWSKI „KRÓLOWIE POLSKI I KSIĄŻĘTA W WIERSZYKACH" TABULA RASA

Od spostrzeżeń w pismach starożytnych po współczesne spory o to, czy brytyjski sport narodowy, polowanie na lisy, powinien być dozwolony. Ciepła książka o tym, jak przez wieki zmieniał się wizerunek rudego spryciarza. ©℗

poleca Piotr Gociek

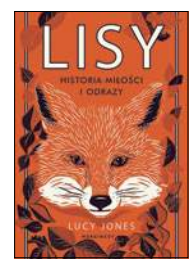

LUCY JONES „LISY. HISTORIA MIŁOŚCI I ODRAZY" MARGINESY

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Olga Tokarczuk „Bieguni" (Wydawnictwo Literackie) – literacki Nobel sprawił, że na listy bestsellerów wróciła powieść sprzed 12 lat.***
2. ***Elżbieta Cherezińska „Wojenna korona" (Zysk i S-ka) – czwarty tom bestsellerowego cyklu „Odrodzone królestwo".***
3. ***Iwona Koszewska „O depresji w ciąży i po porodzie" (PZWL) – objawy i metody leczenia. Podpowiada autorka z Instytutu Psychiatrii i Neurologii.***
4. ***Olga Tokarczuk „Księgi Jakubowe" (Wydawnictwo Literackie) – kolejna reaktywacja ponoblowska, powieść tyleż obszerna, co kontrowersyjna.***
5. ***Ewa i Paweł Pawlakowie „Mały atlas ptaków" (Nasza Księgarnia) – uroczy przewodnik po świecie ptaków autorstwa znakomitych ilustratorów.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci księgarskiej BookBook)

eprasa.pl e955a3d6d7

Dagadana i muzyczne mosty

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Kiedy zadzwonił telefon, serce aż mocniej zabiło. Kolejne marzenie muzyczne się spełnia" – pisze o zaproszeniu do wspólnego występu z Leszkiem Możdżerem Daga Gregorowicz, wokalistka i menedżer grupy Dagadana. Artyści pojawili się ostatnio na scenie Enter Enea Festival 2019, wykonując kurpiowski utwór „Grajo gracyki". Jest to weselna pieśń, do dziś lokalnie wykonywana w domach panien młodych. Jest ona częścią całego rytuału, który rozgrywa się przed wyjściem młodej do kościoła.

Pieśń ta otwierała ostatnią płytę zespołu (z 2016 r., Dagadana nie rozpieszcza słuchaczy częstymi premierami płytowymi) – „Meridian 68". To czwarty, najbardziej folkowy i orientalny album w dorobku zespołu, który tworzy muzykę inspirowaną polską oraz ukraińską tradycją i kulturą. Album „Meridian 68" sięga znacznie dalej, bo aż do Chin. Stąd zresztą nazwa płyty. Meridian (z ang. południk) 68, jak wyjaśnia zespół, „to dokładny środek między Częstochową i Pekinem, czyli między miejscami, w których nagrywaliśmy piosenki". Na płycie goszczą muzycy z Mongolii i z Chin, jest też utwór nagrany w języku chińskim, ale przeważają tradycyjne piosenki z różnych regionów Polski, ludowe pieśni łemkowskie i ukraińskie.

Dagadana działa od 2008 r. Muzycy poznali się na warsztatach jazzowych w Krakowie. Pierwszą epkę wydali w 2008 r., a pierwszy „duży" album dwa lata później (w 2011 r. nagrodzony Fryderykiem w kategorii album roku folk/muzyka świata). Zespół podkreśla, że uwielbia kameralne koncerty, zdarzały mu się występy w nietypowych miejscach (na pustyni, w kopalni węgla, na tratwie), ale z przyjemnością wychodzi na sceny dużych festiwali. Jednak najważniejsze dla nich w muzyce jest „spotykanie, dzielenie się muzyką i sztuką z artystami z różnych zakątków globu oraz bycie ambasadorami polskiej i ukraińskiej kultury" oraz „zacieranie granic i budowanie mostów w obu tych narodach". ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Powrót chuliganów jazzu

Tie Break na długo przed pojawieniem się sceny yassowej chciał wywrócić do góry nogami polski jazzowy grajdołek. Było za wcześnie i byli za młodzi. Album „Koniec" wieńczy jubileusz 40-lecia powstania grupy.

Spośród członków założycieli w dzisiejszym składzie są: Janusz „Yanina" Iwański (gitara) i Antoni „Ziut" Gralak (trąbka). Na początku lat 80. do Tie Break dołączyli kolejni częstochowianie: bracia Mateusz (saksofon) i Marcin (bas) Pospieszalscy oraz Kuba Majerczyk (perkusja). Wywrotowa muzyka, oparta na fuzji jazzu, funku i free, sprawiła, że pierwsza płyta zespołu ukazała się dopiero w 1989 r. Równolegle członkowie „plemienia jasnogórskiego" pojawiali się w dziesiątkach formacji, które wytyczały bieg krajowego jazzu, rocka i popu (od Voo Voo przez grupę Stanisława Soyki do Maanamu).

Album „The End", nagrany po 24 latach od ostatniej płyty grupy, posiada wyraźny elegijny charakter. Trzy utwory poświęcone są pamięci zmarłych tajbrekowców: trębaczowi Andrzejowi Przybielskiemu i perkusistom Czesławowi Łękowi (współzałożycielowi grupy) i Grekowi Sarandisowi Juwanudisowi. Płyta, która powstawała na przestrzeni pięciu lat, przynosi pulsującą muzykę improwizowaną do wierszy Dariusza Brzóskiewicza i Jerzego Bieleńskiego. Utwory nie są tak nowatorskie jak te z lat 80. i 90., ale wciąż niosą ducha niepokornych, muzycznych wolnomyślicieli. Dodajmy, że na perkusji zagrał Amerykanin Frank Parker. ©℗

★★★★★☆
TIE BREAK
„THE END"
AGORA

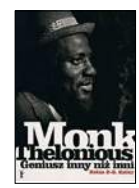

★★★★★☆
ROBIN D.G. KELLY
„THELONIOUS MONK – GENIUSZ INNY NIŻ INNI"
KOSMOS KOSMOS

Świetna, ponad 700-stronnicowa biografia jednego z największych innowatorów jazzu. Pioniera bebopu, autora standardu „Round Midnight", geniusza fortepianu. Opowieść o wolności artystycznej na tle przemian społecznych w USA w XX w.

★★★★★☆
CÉLINE DION
„COURAGE"
SONY

Pierwsza anglojęzyczna płyta wokalistki nagrana po śmierci męża i brata. Przez 16 piosenek Kanadyjka śpiewa o żałobie i powolnym powrocie do życia. Dion jest w znakomitej formie wokalnej, a „Odwaga" jest triumfem jej ducha i determinacji. ©℗

eprasa.pl e955a3d6d7

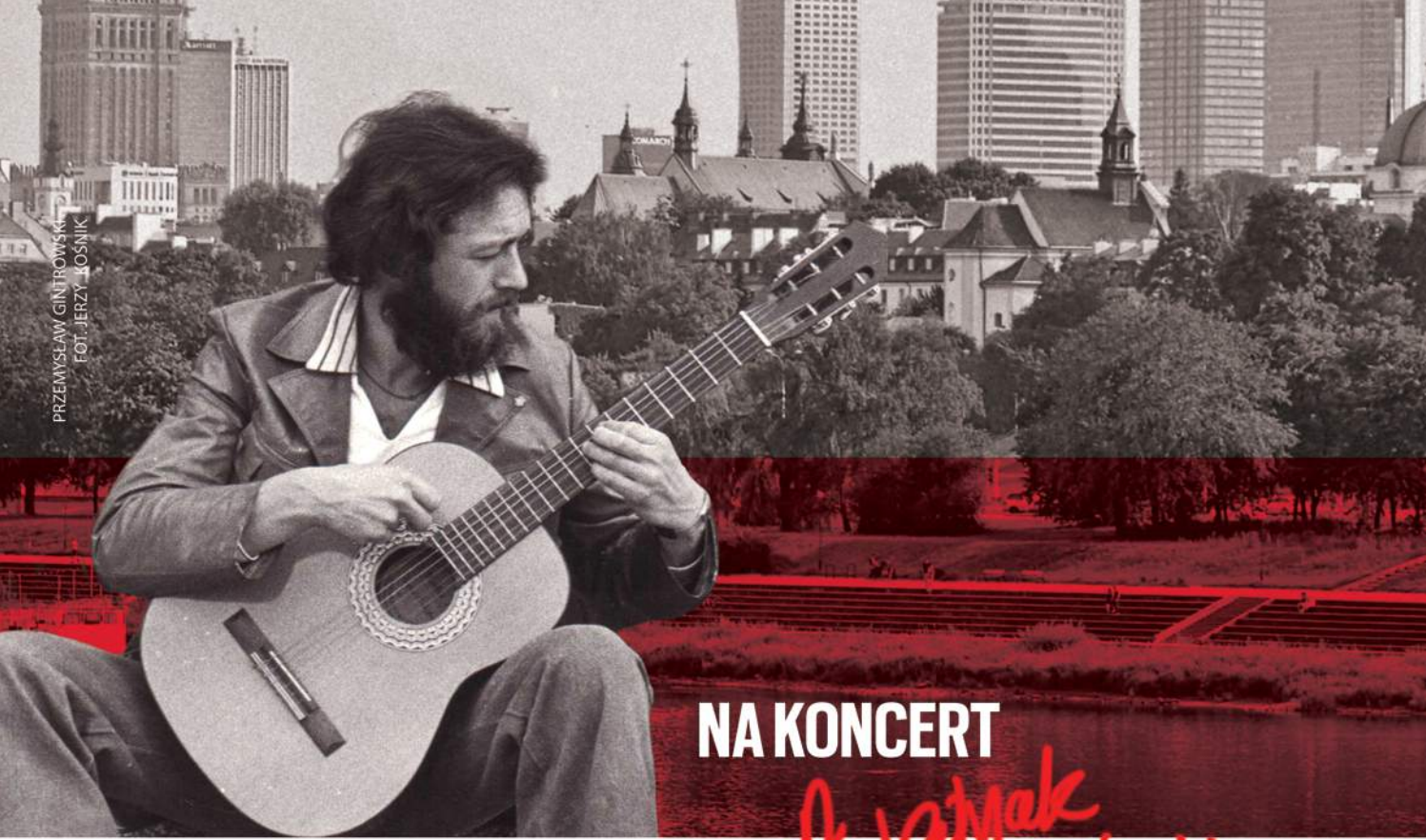

NA KONCERT

GINTROWSKI

A jemek coś po nas zostanie

ZAPRASZA MECENAS

ORLEN

WARSZAWA 9 GRUDNIA 2019 r.

TEATR POLSKI IM. ARNOLDA SZYFMANA

eprasa.pl e955a3d6d7

FOT. ADOBE STOCK/12 KREDEK

Z Krzysztofem Karoniem, publicystą i autorem książki „Historia antykultury”
rozmawia Maciej Pieczyński

Marksiści mordują na różne sposoby

eprasa.pl.e955a3d6d7

MACIEJ PIECZYŃSKI: Według pańskiej definicji antykultura to nurt ideologiczny, którego celem jest pozbawienie ludzi etosu pracy, tożsamości, więzi społecznych i cofnięcie ludzkości do poziomu przedkulturowej wspólnoty pierwotnej. Podstawą tego nurtu jest marksizm. Ale przecież Marks i Engels propagowali świadomość „ludzi pracy", czyli klasy robotniczej.

KRZYSZTOF KAROŃ: Nieprawda. Marksistom nigdy nie zależało na walce o prawa robotników. To propagandowy mit.

Postulowali jednak dojście do władzy proletariatu. Lenin ubolewał, że rewolucja wydarzyła się w państwie chłopskim, a nie robotniczym.

Marksizm to ideologia, której celem jest zdobycie władzy metodą krwawej walki.

W jakim celu?

Po to, by móc eksploatować innych ludzi. W Związku Sowieckim Stalin podjął próbę odtworzenia zniszczonego przez rewolucję etosu pracy, ale to nastąpiło, gdy komuniści zdobyli już władzę polityczną, i chodziło o zapewnienie sprawnego funkcjonowania imperialnego państwa. Temu miały służyć industrializacja, wieloletnie plany gospodarcze, kolektywizacja, a przede wszystkim stachanowszczyzna, współzawodnictwo pracy, przekraczanie planów – to wszystko jednak nie miało nic wspólnego z marksizmem jako ideologią zdobywania władzy.

Z czego wynikała ta demoralizacja?

Z dwóch czynników. Po pierwsze, ówczesna Rosja była bardzo zacofana i przed rewolucją społeczeństwo nie miało nowoczesnego etosu pracy, potrzebnego społeczeństwu przemysłowemu. Po drugie, już po zdobyciu władzy bolszewicy zrobili wiele, żeby zniszczyć tradycyjne wartości, w tym szacunek dla pracy jako takiej z pomocą awangardy artystycznej i obyczajowej…

… którą to awangardę później Stalin – sam będąc jak na marksistę purytaninem – wyniszczył.

Ówczesna antykultura spełniła swoją rolę tarana rozbijającego tradycyjne wartości, więc musiała odejść, by Stalin mógł zbudować potęgę totalitarnego, agresywnego państwa.

Zostawmy już Związek Sowiecki. Marksizm ma wiele wcieleń: od XIX-wiecznych teorii przez krwawą praktykę polityczną m.in. Lenina i Stalina, „szkołę frankfurcką", rewolucję obyczajową do zjawiska, które dziś nazywamy marksizmem kulturowym, skrajną lewicą światopoglądową…

To wszystko kolejne mutacje jednej i tej samej ideologii. Nic nie różni Lenina czy Stalina od współczesnych marksistów. Na marginesie – ja używam terminu marksizm antykulturowy.

Jednak przecież marksiści kulturowi nie mordują. Walczą z rodziną, ale nie mordują.

Mordować można na różne sposoby – fizycznie i psychicznie. Mordowanie psychiczne już trwa, a według wszelkiego prawdopodobieństwa mordowanie fizyczne (na początek wsadzanie do więzień, wyrzucanie z pracy…) dopiero się zacznie. Jednak największe zagrożenie jest innego rodzaju. Według ideologii Marksa człowiek powinien pracować nie po to, by produkować potrzebne ludziom dobra, lecz celem samorealizacji, twórczego wypełniania wolnego czasu. Jak wiadomo, dziś ten pogląd jest coraz bardziej rozpowszechniony. W efekcie praca człowieka ma zostać zastąpiona pracą robotów. Urojenia związane z automatyzacją są bardzo niebezpieczne.

Automatyzacja to kwestia rozwoju technologicznego, cywilizacyjnego, który niekoniecznie musi mieć czerwony czy tęczowy odcień.

Nie twierdzę, że postęp techniczny ma jakieś zabarwienie lewicowe. Od wielu dekad żyjemy w epoce kapitalizmu finansowego. Kapitalizmu, w którym nie produkuje się dóbr, lecz produkuje się puste pieniądze za pomocą różnych technik spekulacyjnych. Świat białego człowieka utracił etos pracy, ponieważ żyje z postkolonialnego wyzysku Azjatów, zatrudnianych przez międzynarodowe koncerny. To nie ma nic wspólnego z postępem.

Zostawmy już temat etosu pracy i przejdźmy do kwestii światopoglądowych. Samorządy coraz chętniej wprowadzają rozwiązania ideologiczne wspierające postulaty społeczności LGBT, głośno dyskutowana jest kwestia edukacji seksualnej, do Sejmu wróciła radykalna lewica… Czy właśnie tak wygląda twarz marksizmu kulturowego dziś w Polsce? Jakie są jej rysy?

W tej chwili taktycznym celem antykultury jest realizacja idei rewolucji seksualnej. Ideolodzy gender chcą rozbić tradycyjny system edukacji, wychowania. Jednak ten światopoglądowy wymiar to tylko forma, podczas gdy treścią całej tej marksistowskiej rewolucji jest pozbawienie ludzi zdolności do pracy, a raczej uniemożliwienie im zdobycia kwalifikacji psychicznych i merytorycznych do tego, aby móc produkować cokolwiek pożytecznego dla innych ludzi. Niestety, widać już bardzo negatywny wpływ tej ideologii na kolejne pokolenia młodzieży, które wychodzą ze szkół mentalnie okaleczone. Wmawia się im, że jedynym celem człowieka jest indywidualna samorealizacja, poszerzanie mitycznej sfery wolności osobistej. Tak wychowani ludzie nie są zdolni do podejmowania pożytecznej pracy. To bardzo demoralizujące. Według najnowszych badań na Zachodzie 75 proc. osób w wieku 18–22 lata w ciągu ostatniego roku porzuciło lub straciło pracę z powodu dolegliwości psychicznych. U nas jest podobnie.

Czy ekspansja marksizmu kulturowego to jest jakaś starannie zorganizowana i świadomie promowana akcja rozbicia tradycji, czy może po prostu modny trend, spontanicznie przyswajany?

Głównym beneficjentem tych procesów jest międzynarodowy system finansowy – banki i wielkie korporacje, które finansują organizacje pozarządowe, a te z kolei wspierają lewackie inicjatywy. Wystarczy przyjrzeć się, jakie firmy i instytucje były reprezentowane na ubiegłorocznym marszu równości…

Ale w jakim celu międzynarodowy system finansowy wspiera te inicjatywy?

Ponieważ taka sytuacja umożliwia zdobywanie i utrzymywanie władzy dzięki poparciu społeczeństwa, które musi kraść. Na rynku jest kilka milionów młodych ludzi, którzy chcą wolności i chcą się realizować w wolności, ale jednocześnie muszą zaspokajać swoje konsumpcjonistyczne potrzeby i fanaberie, a przy tym nie potrafią sami żadnej potrzebnej im rzeczy wyprodukować. To są ludzie okaleczeni. Jeżeli chcą funkcjonować w społeczeństwie zgodnie ze swoimi zasadami, muszą poprzeć taką władzę, która im takie lekkie, łatwe i przyjemne życie na koszt innych zagwarantuje.

Modne jest dziś preferowanie usług kosztem przemysłu, który kojarzy się coraz bardziej negatywnie. Jednocześnie świat realny wypierany jest przez świat wirtualny, do którego przenosi się nasza cywilizacyjna aktywność. Jak rozumiem, to są pańskim zdaniem konsekwencje marksizmu kulturowego?

Są to konsekwencje wychowania antykulturowego. W jego wyniku postępuje patologizacja społeczeństwa. Jedynym celem życiowym dzisiejszej młodzieży, wmawianym na poziomie szkoły i uczelni, jest realizacja idei: „Jak zarobić, żeby się nie narobić".

eprasa.pl e955a3d6d7

Wydaje się, że prawica od dawna przegrywa walkę o rząd dusz z lewicą światopoglądową. Dlaczego?

Niestety, prawica jest pozbawiona elit intelektualnych zdolnych taką walkę podjąć. A jeśli już jest jakaś prawicowa elita, to z reguły prawicowa jest jedynie z nazwy, w praktyce realizując lewicową agendę.

Jak zatem można walczyć z marksizmem kulturowym?

Na pewno nie da się niczego zmienić za pomocą sztywnych zakazów. Należy natomiast bezwarunkowo wstrzymać finansowanie lewicowej agendy ze środków publicznych. Nie chodzi o zakazywanie głoszenia szkodliwych idei, ale o to, by państwo nie dokładało się do ich rozpowszechniania. To jest absolutnie minimum.

Czy taki kierunek jak gender studies powinien być nauczany na państwowych uczelniach?

Nie. Tego typu kierunki nie powinny być w żaden sposób wspierane przez państwo.

W szkołach prywatnych mogą?

Mogą, z jednym zastrzeżeniem. Nie możemy poddawać się ideologiczno-ekonomicznemu imperializmowi, jakim jest finansowanie marksistowskiej agendy za pieniądze z zagranicy. Antykultura ma potężne zaplecze finansowe i trzeba to jakoś uregulować. Jednak najważniejsze to uzdrowić szkolnictwo publiczne, które dziś, niestety, w dużej mierze realizuje model marksistowskiego wychowania krytycznego, a więc de facto – patologizacji młodych ludzi.

Na ile ta marksistowska rewolucja kulturowa odbywa się w języku, który przecież do pewnego stopnia określa świadomość? Czy dostrzega pan niebezpieczeństwo w tzw. żeńskich końcówkach, które ostatnio tak mocno próbują promować w debacie publicznej politycy Lewicy?

Istnieją różne poziomy zagrożenia. To jest taki poziom, który jeśli się upowszechnia, to zaczyna infekować coraz szersze kręgi. Ponieważ dotyczy to języka funkcjonującego w przestrzeni publicznej, przekształcanie języka działa tak, jak dodawanie trucizny do sieci wodociągowej. W krótkim czasie mamy zatrute wszystkie kanały komunikacji. Pod tym względem oczywiście to powinno być uregulowane na poziomie prawnym, ze wsparciem środowisk naukowych. W tych sprawach powinni wypowiedzieć się zarówno psychologowie, jak i lingwiści. Niestety, ale ośrodki akademickie są rozsadnikiem tej gangreny. Tutaj nie ma co liczyć na rząd – jeżeli minister odpowiedzialny za naukę i szkolnictwo wyższe mówi o tym, że będzie się Rejtanem rzucał w obronie gender studies, to znaczy, że albo to jest człowiek, który nic nie rozumie, albo działa całkowicie świadomie i jest po antykulturowej stronie barykady.

Sam pan jednak mówi, że zakazy nie wystarczą. A Jarosław Gowin miał na myśli właśnie sprzeciw wobec zakazów, niezgodę na ograniczenie wolności słowa.

Czym innym jest wolność słowa, a czym innym wspierana przez państwo promocja niewiedzy i semantycznego bełkotu. Jedyną skuteczną metodą walki może być stworzenie alternatywnego programu wychowania i edukacji, który może stopniowo przenikać do systemu państwowego, będącego obecnie systemem antykulturowym.

> **Najważniejsze to uzdrowić szkolnictwo publiczne, które dziś, niestety, w dużej mierze realizuje model marksistowskiego wychowania krytycznego**

Mówi pan, że rząd nie jest przedmurzem tych tradycyjnych wartości. Czy PiS w jakiś sposób jest uległy wobec marksizmu, w jakiś sposób realizuje jego idee?

W Polsce nie rządzi PiS, lecz koalicja sił politycznych mających różne cele. Nie wiem nic na temat motywacji tych ludzi. Liczą się skutki działań, które można przewidzieć.

A owoce, po których można poznać rządzących, nie przekonują pana?

Nawet zakładając, że obecna władza ma dobre intencje, znajduje się ona w takim otoczeniu, że nie ma absolutnie żadnych szans, żeby mogła się temu trendowi przeciwstawić. Z bardzo prostego powodu – dlatego że gdyby podjęła jakiekolwiek próby przeciwstawienia się ofensywie antykultury, to utraci poparcie zdemoralizowanego, zainfekowanego wirusem marksizmu, spatologizowanego społeczeństwa.

Mówił pan, że ta patologia polega na niechęci do pracy i zgubnej idei samorealizacji „ponad wszystko". Na czym jeszcze?

Coraz większa część ludzi pozostających na rynku pracy to pokolenia wychowane przez Jerzego Owsiaka zgodnie z zasadą „Róbta, co chceta". To jest głęboka demoralizacja społeczeństwa, przeprowadzona zgodnie z zasadami wychowania krytycznego. To są okaleczone psychicznie pokolenia onanizujących się pasożytów.

Jednak PiS nie promuje ideałów Owsiaka. Wręcz przeciwnie – pokolenie „Róbta, co chceta" i obóz Zjednoczonej Prawicy to dwa różne, wręcz wrogie sobie pod względem aksjologicznym światy.

Koalicja wokół PiS głosi hasła, ale nie ma pod względem wartości absolutnie żadnego programu. A wiecowe deklaracje polityków, jakkolwiek by były konserwatywne w swojej treści, kompletnie mnie nie interesują.

Czy Konfederacja jest dla pana nadzieją polityczną?

Konfederacja ma szansę odegrania ważnej i pozytywnej roli, o ile stworzy realistyczny program. W tej chwili takiego programu nie ma.

Przecież jednak obie partie deklarują obronę rodziny, tradycyjnych wartości, walkę z marksizmem. Jakich konkretnie założeń programowych oczekiwałby pan od prawicy?

Potrzebny jest program społecznej reedukacji i program zmiany systemu. Najpierw jednak trzeba powstrzymać proces patologizacji społeczeństwa. Jeśli nie zmieni się sposobu wychowania młodzieży, to żadne pozytywne rozwiązania ekonomiczne nie spełnią swojej roli, ponieważ nikt nie będzie chciał ich realizować. Społeczeństwo jest dziś skupione na konsumpcji. Trzeba je uczyć, wychowywać i przekonywać, że warunkiem konsumpcji jest produkcja, że zamiast hołdować zasadzie „Róbta, co chceta", trzeba odwrócić to toksyczne hasło. Jeśli chceta, to se zróbta.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Krzysztof Karoń – pisarz, publicysta, historyk sztuki, specjalista w dziedzinie wiedzy społecznej, znawca i krytyk marksizmu kulturowego, autor książki pt. „Historia antykultury", twórca portalu historiasztuki.com.pl.

eprasa.pl e955a3d6d7

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

IV EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

JUŻ 27.XI.2019
GALA WRĘCZENIA NAGRÓD

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PATRONAT HONOROWY:

MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII
MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU
MINISTERSTWO INFRASTRUKTURY
Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

PARTNER GŁÓWNY

KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER GALI

arp Agencja Rozwoju Przemysłowego S.A.

PARTNERZY:

Poczta Polska
Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa
PRODUKT POLSKI

eprasa.pl e955[illegible]6d7

Fundacja Życie i Rodzina, którą reprezentuje Kaja Godek, pod projektem „Zatrzymaj Aborcję" zebrała 830 tys. podpisów

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Wyznawcy kompromisu

Krystian Kratiuk

„W kolejnych latach zabijane będą setki dzieci tylko dlatego, że są bezbronne i poszkodowane przez los" – napisał abp Stanisław Gądecki, komentując niepodjęcie sprawy przez Trybunał Konstytucyjny. Chwilę po rozpoczęciu obrad nowego Sejmu okazało się, że o losach obywatelskiego projektu ustawy decydować będzie ultralewaczka

Od czasu przejęcia władzy przez PiS w polskich szpitalach zabito już ponad 4 tys. nienarodzonych dzieci. Stało się tak mimo ogromnej mobilizacji prawicowej części elektoratu, która w przeciągu czterech lat złożyła w Sejmie dwa obywatelskie projekty ustaw, petycję, a w końcu łudziła się, że PiS nie zakpi z nich, zezwalając ponad setce posłów złożyć wniosek do Trybunału Konstytucyjnego. Partia rządząca postanowiła jednak nie zmieniać obowiązującego w Polsce prawa i wciąż obowiązuje krwawy kompromis.

Jak doszło do tego, że po czterech latach rządów „prawicy", dzień po zaprzysiężeniu nowo wybranych parlamentarzystów, z których większość od lat powołuje się niezmiennie na „chrześcijańskie wartości", przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski publikuje pełne goryczy oświadczenie zawierające „rozczarowanie z powodu niedotrzymania jak dotąd obietnicy wyborczej złożonej kiedyś przez partię rządzącą o ochronie życia od poczęcia"?

PIERWSZY PROJEKT OBYWATELSKI

Przypomnijmy pokrótce bieg wydarzeń. Oto posłowie Prawa i Sprawiedliwości – gdy jeszcze partia ta pozostawała w opozycji – za każdym razem głosowali za zakazem aborcji proponowanym przez obywateli w ich projektach ustaw. Gdy w roku 2012 projekt złożyli politycy Solidarnej Polski – posłowie PiS również go poparli. Dlaczego? Ano zapewne dlatego, że mieli pewność, iż projekt nie uzyska większości w zdominowanym przez PO i PSL Sejmie. Dodatkowo politycy PiS wielokrotnie wypowiadali się z uznaniem dla obywateli pragnących zakazać zabijania nienarodzonych, a ci mogli odnieść wrażenie, że Prawo i Sprawiedliwość poprze ich postulaty, gdy tylko przejmie władzę.

Okazało się to jednak wyłącznie marzeniem. Jarosław Kaczyński potraktował bowiem dużą część katolickiej i proliferskiej opinii publicznej wyłącznie jako narzędzie do wygrania wyborów, któremu to (już po wyborach) oprócz kilku okrągłych słów niewiele się należy.

Tuż po wygranych wyborach PiS czekał bowiem pierwszy sprawdzian prawdomówności. Został oblany w zupełnie haniebny sposób. W roku 2016 powstał projekt ustawy „Stop Aborcji", przygotowany przez szeroką koalicję środowisk walczących o całkowity zakaz zabijania

eprasa.pl e955a3d6d7

nienarodzonych. To właśnie zapowiedź procedowania tego projektu – pod którym podpisało się 450 tys. Polaków – sprawiła, że wściekłe środowiska feministyczne rozpoczęły kłamliwą kampanię nienawiści wobec projektodawców z Ordo Iuris i szerzej – Kościoła katolickiego. Kierownictwo PiS, przestraszone owymi społecznymi niepokojami, mimo początkowych deklaracji i przyjęcia projektu pod obrady, nagle zmieniło front. W zupełnie skandalicznych okolicznościach (szeroko opisanych w książce „Wyznawcy kompromisów", wyd. SKCh im. ks. Piotra Skargi, 2017) i ku zdumieniu projektodawców oraz setek tysięcy swych wyborców Prawo i Sprawiedliwość odrzuciło projekt. Jako pretekst dla tej decyzji wykorzystano zapis o „karaniu kobiet" za zlecenie zamordowania swego nienarodzonego dziecka (zapis, który – warto to nieustannie przypominać – mógł być podczas prac posłów zmieniony lub zniesiony w piętnaście minut). Jako uzasadnienie zaś wykorzystano… oświadczenie Episkopatu! Oto jego zasadnicza treść: „Biskupi podkreślają, że instytucje Kościoła nie zajmują się przygotowywaniem projektów ustaw cywilnych, ale korzystają z prawa do wyrażania swoich opinii na temat proponowanych regulacji prawnych. W tym kontekście Konferencja Episkopatu Polski zaznacza, że życie każdego człowieka jest wartością podstawową i nienaruszalną. Biskupi polscy przypominają, że nie popierają projektów zapisów prawnych, które przewidują karanie kobiet, które dopuściły się aborcji".

Tej samej nocy, podczas której odrzucano projekt, posłanka Krystyna Pawłowicz napisała na Facebooku: „Ponieważ PiS, popierając ideę możliwie pełnej ochrony życia, nie popierał karania kobiet, oraz biorąc pod uwagę dezorientację wielu co do treści OBYWATELSKIEGO projektu antyaborcyjnego, podtrzymywaną i rozdmuchiwaną przez środowiska lewackie, dla organizowania politycznych, antyrządowych akcji, jak też uwzględniając dzisiejszy, popołudniowy komunikat Episkopatu dystansujący się od projektu ustawy przewidującego karanie kobiet – PiS odrzucił w Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka projekt społeczny wywołujący zamieszanie. PiS wkrótce przedstawi WŁASNY projekt ustawy wyłączający 90 proc. obecnych aborcji i karanie kobiet oraz przewidujący osłony dla kobiet w trudnych sytuacjach". A w jednym z komentarzy, w którym posłanka odpowiadała na opinie facebookowych znajomych, oznajmiła, że „to Episkopat upoważnił PiS" do odrzucenia projektu ustawy w całości.

Ci, którzy uwierzyli w komunikat Pawłowicz, nie doczekali się jednak obiecanego przez nią „własnego" projektu PiS. Doczekali się za to kolejnych rozczarowań, choć może już nie tak spektakularnych jak haniebna październikowa noc roku 2016.

PETYCJA I DRUGI PROJEKT

Oto do sejmowej komisji petycji trafiła petycja Polskiej Federacji Ruchów Obrony Życia. Federacja zgłosiła projekt niejako w opozycji do inicjatywy „Stop Aborcji", licząc, że rządzący spojrzą przychylnie na zawartą w nim klauzulę automatycznej abolicji dla matek-dzieciobójczyń. Jednak posiadający sejmową większość PiS grał na zwłokę, a projekt krążył pomiędzy różnymi organami władzy.

Do boju przystąpiła więc Fundacja Życie i Rodzina z Kają Godek na czele. Tym razem zebrano aż 830 tys. podpisów, a w promowanie projektu „Zatrzymaj Aborcję" dużo bardziej ochoczo włączył się Kościół instytucjonalny, zapewne ze względu na brak wspomnianych wcześniej zapisów o „karaniu kobiet". Projekt trafił do Sejmu w listopadzie 2017 r. I – podobnie jak petycja – do dziś nie został rozpatrzony.

Dlaczego? Ano dlatego, że posłowie PiS znaleźli kolejny fortel – uznali, że lepiej nie zajmować się „kontrowersyjnym tematem", skoro może za nich to zrobić Trybunał Konstytucyjny. Ponad stu posłów PiS skierowało więc do TK wniosek o zbadanie obecnie obowiązującej ustawy z konstytucją – politycy partii rządzącej prześcigali się w zapewnieniach, że teraz już sprawa zostanie rozstrzygnięta na dobre, bo przecież niemożliwe, by sędziowie Trybunału zdecydowali, iż zgodne z konstytucją jest zabijanie dziecka w łonie matki. Inicjatorów projektu „Zatrzymaj Aborcję" uspokajano, obiecując, że sprawa za chwilę się rozstrzygnie. Fani tego rozwiązania publikowali artykuły zachwalające zmysł strategiczny Jarosława Kaczyńskiego, który umyje ręce od wprowadzania kontrowersyjnych rozwiązań, a zrobi to za niego kto inny.

Trybunał przez dwa lata wniosku nie rozpatrzył. Kadencja Sejmu się skończyła, a co za tym idzie – wniosek nie będzie już rozpatrywany. To właśnie dzień po zakończeniu kadencji Sejmu abp Gądecki opublikował oświadczenie, w którym „ze smutkiem przyjął odmowę rozpatrzenia wniosku poselskiego odnoszącego się do kwestii konstytucyjności tzw. aborcji eugenicznej przez Trybunał Konstytucyjny". Wydaje się bowiem, że część Kościoła – tak duchownych, jak wiernych – mimo trwających całą kadencję wygibasów PiS naprawdę uwierzyła, że TK wnioskiem się zajmie.

Tuż po trudnym dla PiS komunikacie abp. Gądeckiego politycy tej partii zdecydowali się na kolejny krok mogący poważnie utrudnić zakazanie w Polsce aborcji. Otóż na szefowanie sejmowej Komisji Polityki Społecznej i Rodziny, rozpatrującej projekt „Zatrzymaj Aborcję", została wybrana (głosami posłów PiS) skrajnie lewicowa polityk Magdalena Biejat, słynąca z wulgarnych antykatolickich wpisów w mediach społecznościowych, zwolenniczka dostępności aborcji na życzenie. Obrońcy PiS twierdzą, że w komisji większość i tak mają członkowie partii rządzącej – może i tak, ale w jej prezydium (decydującym o tym, jaką sprawą i kiedy zajmą się posłowie) już nie. Przewodniczącą komisji jest posłanka Lewicy, dwiema wiceprzewodniczącymi – posłanki PiS, ale dwiema kolejnymi wiceprzewodniczącymi – posłanki opozycji. Tę personalną decyzję skrytykowały zgodnie niemal wszystkie media katolickie. PiS jednak zasłaniał się „parytetem" i koniecznością przyznania foteli szefów komisji politykom lewicy.

ZAWSZE NIE TEN CZAS

Jak tłumaczą swym wyborcom te decyzje politycy PiS i publicyści żyrujący każdą decyzję tej partii? Wyjaśnienie zawsze jest to samo – to po prostu „nie jest dobry czas". Słyszeliśmy to w 2016 r., kiedy uznano, że czas jest zły, bo Unia Europejska atakuje Polskę za reformy TK i sądownictwa (które, swoją drogą, wzbudziły podobny odzew antypisowskiej opozycji, ale nie przestraszyły kierownictwa partii). Potem słyszeliśmy, że czas jest zły, bo zbliżają się wybory samorządowe, potem europejskie, wreszcie parlamentarne. A teraz słyszymy, że idą wybory prezydenckie, sprawa aborcji zaszkodzi reelekcji Andrzeja Dudy, więc czas też jest zły.

Tylko co potem? Przecież zawsze są jakieś wybory. A w tym czasie kolejne dzieci rozszarpywane są na strzępy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl

eprasa.pl e955a3d6d7

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Jak zostałem konserwatystą

W piątej księdze przygód Tytusa, Romka i A'Tomka chłopcy latają po świecie wannolotem. I podczas jednego z przelotów wykonują bardzo ekologiczny manewr. Zatrzymują się w powietrzu i czekają, aż Ziemia pod nimi przesunie się tak, by mogli wylądować tam, gdzie zamierzali.

Ciekawe, że mnie się przydarzyło coś podobnego. Otóż jakiś czas temu byłem liberałem. I choć nie zmieniłem swoich poglądów albo zmieniłem je w niewielkim stopniu, to nagle zostałem konserwatystą. Po prostu Ziemia się tak przesunęła, że jestem teraz zupełnie innym człowiekiem, chociaż zupełnie takim samym.

Dziwny ze mnie konserwatysta. Bo raz, że ateista. Dwa, że rozwodnik. Kiedyś koledzy z prawicowych mediów wytykali mi, że żaden ze mnie prawicowiec, a co najwyżej antykomunista. Bez wątpienia mieli rację. Zawsze byłem ideologicznie dość bezpłciowy, czyli centrowy. Albo raczej eklektyczny, tu trochę postępowy, ówdzie nieco konserwatywny. Taki łaciaty, bez większego ładu, składu czy konsekwencji.

W tak zwanym międzyczasie świat jednak wystrzelił do przodu jak z procy, a ja nie bardzo mogę za nim nadążyć, w związku z tym zostałem chyba prawicowcem, co jest niejakim zaskoczeniem dla mnie samego. Nie miałem bowiem takich planów.

Ale cóż, skoro wydaje mi się dziwactwem, że w londyńskich teatrach nie będzie się już mówiło „ladies and gentlemen", żeby nie urazić innych płci, to niestety jestem rozpaczliwie konserwatywny. Jeśli smuci mnie, a nawet przeraża, że tu i ówdzie na świecie dopuszcza się aborcję do dziewiątego miesiąca ciąży, to nie ulega wątpliwości, że jestem skrajnym prawicowcem zalatującym naftaliną.

Jeżeli noszenie dredów przez Olgę Tokarczuk zostaje uznane przez kanadyjską pisarkę za rasistowskie, bo noblistka jest biała, to ja mam politycznej poprawności po dziurki w nosie. Jeżeli premier Kanady musi przepraszać za to, że jako nastolatek przebrał się za Sindbada, a może Ali Babę, i przyciemnił twarz, to zdecydowanie nie jest mi po drodze z postępem. Jeżeli światowe organizacje przekonują, że sprawą wielkiej wagi jest nauczanie kilkuletnich dzieci o kwestiach seksu, to zaiste muszę być obskurantem, skoro budzi to moje wątpliwości.

Podobne wątpliwości pojawiają się w mojej tradycjonalnej głowie, gdy słyszę, że pewna mama przekonuje sąd w USA, że jej synek powinien zostać córeczką.

Co tu dużo gadać, nie nadążam, i jak przystało na fanatyka – chowam się w dziurze, którą dobrze znam i nie bardzo mam ochotę z niej wyłazić. Zaścianek, typowy zaścianek.

Bardzo mnie ciekawi, jak wielu postępowych postępowców poczuje w przyszłości to samo co ja, kiedy dostaną zadyszki w wyścigu do lepszego świata. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Tylko katastrofa nas uratuje?

Podobno, jeśli wierzyć glinianym tabliczkom z Sumeru, ludzkość psuje się od 5 tys. lat. Inna sprawa, że w prawdziwe tarapaty popada dopiero teraz. Żeby było jasne, nie próbuję nawet przewidzieć rodzaju armagedonu, który nas czeka – zawał ekologiczny czy demograficzny, pandemia czy wojna? Możliwości nie wyczerpuje czterech jeźdźców apokalipsy.

Istotne jest, że nasz gatunek wyłączył dwa główne regulatory umożliwiające jego trwanie. Pierwszym było przekonanie, że człowiek jest miarą wszechrzeczy – bytem wyjątkowym, który miał wedle Biblii czynić sobie ziemię poddaną. Niestety, za naszych czasów doszło do drugiego przewrotu (można by powiedzieć – kopernikańskiego, ale nie chcę obrażać kanonika z Fromborka) – dokonano detronizacji człowieka. Sprowadzono go do cząstki świata przyrodniczego, w którym musi liczyć się z prawami innych – od wielorybów do ryjówki malutkiej. Jednocześnie wyłączono podstawową zasadę rządzącą w tym świecie, którą jest bezpardonowa walka o byt.

Dotąd samoograniczanie człowieka wynikało z cnót szerzonych przez chrześcijaństwo – empatii, podziwu dla dzieł Boga i miłości dla przyszłych pokoleń, dla których warto zachować rozmaite cuda przyrody… Obecnie religia ekologistyczna, nakazująca chronić np. słonie dla słoni, w efekcie prowadzi do ich zagłady – bez dochodów, które zapewniają dziś „ośrodki uciemiężenia" – cyrki, zoologi czy rezerwaty – gatunki te wymrą, podobnie jak zwierzęta futerkowe, gdy przestanie się je hodować.

Prawa przyrody dotyczyły również człowieka – dotąd rywalizacja wpisana była w jego historię. Konflikty i wojny regulowały demografię, stymulowały postęp techniczny. Wygrywali lepsi, pracowitsi, bardziej bezwzględni czy pomysłowi.

Przepraszanie Azteków, że to my podbiliśmy ich, a nie oni nas, jest czystym idiotyzmem (nie mówiąc już o tym, jak taka globalna cywilizacja „wyrywaczy serc" mogłaby wyglądać?).

Miłosierdzie i pomoc biednym należą do cnót chrześcijańskich, jednak pomysł, że Cywilizacja Białego Człowieka musi wziąć sobie na głowę parę miliardów głodomorów tylko dlatego, że przez parę tysięcy lat była pracowitsza i bardziej przedsiębiorcza, jest koszmarnym odwróceniem bajki o koniku polnym i mrówce. A świat to robi – wyrzeka się dumy, tradycji, a w następnej kolejności prawa do obrony. Czy jest to przygotowanie do sytuacji, w której homo sapiens straci tyle na wartości, że bez trudu zastąpi go sztuczna inteligencja? Chyba że może wcześniej dojdzie do jakiejś globalnej katastrofy, która jako jedyna jest zdolna przywrócić hierarchię, wartości i zdrowy rozsądek. ©℗

eprasa.pl e955a3d6d7

GINTROWSKI

X

JUBILEUSZOWY KONCERT

TEATR POLSKI

im. ARNOLDA SZYFMANA W WARSZAWIE

BILETY DOSTĘPNE W KASIE TEATRU

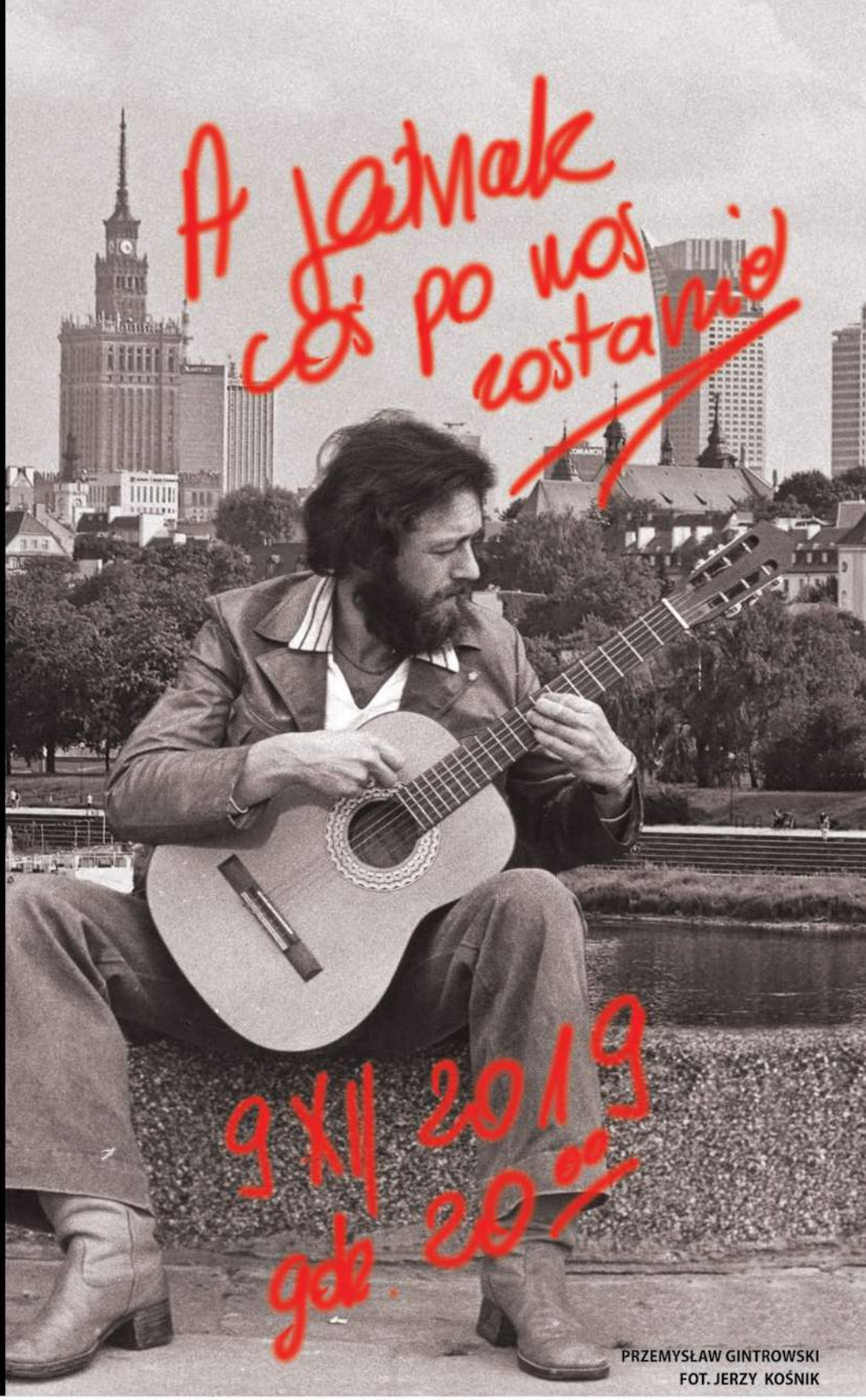

PRZEMYSŁAW GINTROWSKI
FOT. JERZY KOŚNIK

MECENASI KONCERTU:

PGNiG, ORLEN, Enea

PATRONAT MEDIALNY:

TVP 1, Jedynka Polskie Radio, Do Rzeczy, wprost

PARTNERZY:

Lotto, fundacja arp, Poczta Polska, żabka, Lotnisko Chopina Warszawa 85 lat

eprasa.pl e955a3d6d7

Władimir Bukowski FOT. ULLSTEIN\BE&W

Kornel Morawiecki FOT. RADEK JAWORSKI/FORUM

Wołodia i Kornel

Mikołaj Iwanow

Kornel Morawiecki i Władimir Bukowski współpracowali przy obalaniu komunizmu

Zmarł Władimir Bukowski, jeden z filarów rosyjskiej opozycji antykomunistycznej, znany na całym świecie obrońca praw człowieka, pisarz. Był wielkim przyjacielem Polski, świadomym swego polskiego pochodzenia, i zagranicznym członkiem Solidarności Walczącej, odznaczonym Złotym Krzyżem SW. Bliskie przyjacielskie stosunki łączyły go z założycielem SW i jej przywódcą Kornelem Morawieckim. Urodzili się prawie w tym samym czasie: jeden w Warszawie, drugi w Baszkirii w ZSRS i zmarli prawie jednocześnie. Obaj wyprzedzili swój czas, byli wizjonerami w polityce. Wołodia, mimo swych polskich korzeni, po polsku nie mówił, dlatego czasem pomagałem im znaleźć wspólny język w długich nocnych rozmowach. Kornel, mimo dobrej znajomości rosyjskiego, niekiedy również potrzebował pomocy tłumacza.

Bukowski w swej ojczyźnie był niezwykle popularny, wbrew wysiłkom setek tysięcy komunistycznych propagandystów oczerniających go na różne sposoby. Kiedy w 1976 r. władze zdecydowały wymienić skazanego na długoletnie więzienie Władimira na generalnego sekretarza Komunistycznej Partii Chile Luisa Corvalána, więzionego przez reżim gen. Pinocheta, cały Związek Sowiecki śpiewał czastuszkę autorstwa Wadima Delaunay: „Pomieniali chuligana na Luisa Corvalána, gdzie najti takuju bla…, chto b na Breżnewa smienac" (Wymienili chuligana na Luisa Corvalána, gdzie by znaleźć taką bla…, aby na Breżniewa wymienić).

WOLNOŚĆ I UZNANIE

Znaczenia Bukowskiego dla rosyjskiej demokracji nie można jednak sprowadzać tylko do folkloru. Wyrzucenie z kraju dało mu zarówno wolność, jak i uznanie na całym świecie jego zasług w sprawie obrony praw człowieka w Związku Sowieckim. Intrygujące było, w jaki sposób w tym człowieku mieszczą się dwie odmienne postawy: niezwykła wytrwałość i nieustępliwość w obronie swych przekonań i jednocześnie miękkość i dobroć w stosunkach międzyludzkich. Właśnie te rysy charakteru Bukowskiego zbliżyły go bardzo do przywódcy polskiej Solidarności Walczącej. W wielu kwestiach dotyczących walki przeciwko totalitaryzmowi komunistycznemu mieli podobne poglądy. Uważali,

eprasa.pl e955a3d6d7

że zwycięstwo Solidarności w Polsce nie jest możliwe dopóty, dopóki istnieje reżim totalitarny w Związku Sowieckim. Również Polska, jak twierdził Bukowski i powtarzał za nim Kornel Morawiecki, nie może być do końca bezpieczna tak długo, jak długo w Rosji istnieje reżim Putina. Obaj stanowczo i nerwowo reagowali na argumentację tych, którzy twierdzili (i nadal twierdzą), że można dogadać się z Putinem i rozwijać współpracę z Rosją, bez względu na jej politykę wobec Ukrainy i w innych gorących kwestiach. „Po raz pierwszy – stwierdzał Wołodia – w całej historii konfliktu Wschód – Zachód ten Zachód nareszcie pokazał kły. Mnie się nawet wcześniej nie śniło, że będzie bojkot, że będą sankcje. Nigdy podobne rzeczy nie wyglądały dla mnie realnie. Zachód zawsze dążył do pogodzenia się z Rosją, przyjmował politykę Chamberlaina, politykę ukojenia agresora. Teraz po raz pierwszy Zachód wykazuje twardość".

PIERWSZE SPOTKANIE

Kornel Morawiecki i Władimir Bukowski spotkali się po raz pierwszy podczas przymusowej wędrówki Kornela po świecie, kiedy w 1988 r. władze PRL wyrzuciły go z kraju. Polska emigracja polityczna przyjmowała Kornela w Londynie jak bohatera narodowego. Prezydent RP na uchodźstwie Kazimierz Sabbat odznaczył go Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Jednak Kornel był po prostu opętany ideą spotkania ze swym duchowym guru Władimirem Bukowskim, którego książki SW drukowała w drugim obiegu w Polsce. Jak wspominał stały przedstawiciel SW w Wielkiej Brytanii, Tadeusz Warsza, Kornel w wielkim podnieceniu udawał się do Cambridge – do Wołodii w gości.

Trudno powiedzieć, kto z nich z większą niecierpliwością czekał na to spotkanie. Dla Kornela to było spotkanie z legendą, człowiekiem, który ukształtował go jako antykomunistę, który znał receptę na zwalczenie tego ustroju. Bukowski od lat współpracował z Tadeuszem Warszą i doskonale znał założenia programowe i osiągnięcia Solidarności Walczącej. Był przekonany, że polskie doświadczenia walki z komuną, a zwłaszcza doświadczenia SW w tej materii mogą pomóc sowieckiej i rosyjskiej opozycji stworzyć masowy ruch demokratyczny na kształt polskiej Solidarności, zdolny przybliżyć krach komunizmu. Wspominał później: „Muszę przyznać się, że liczyłem, że Związek Sowiecki padnie z końcem XX w., ale on upadł o 10 lat wcześniej. Pomyliłem się. Ale takie rzeczy zdarzają się często niespodziewanie i szybko. Jest to proces niezwykły. Z początku wszystko odbywa się powoli i raptem wybuch".

Na tym historycznym spotkaniu Kornel zaproponował Wołodii bycie zagranicznym członkiem SW i reprezentowanie organizacji w międzynarodowych strukturach antykomunistycznych. Bukowski przyjął tę propozycję.

Wołodia zwrócił się z kolei do Kornela z propozycją stworzenia na bazie Solidarności Walczącej nielegalnej szkółki dla sowieckich dysydentów. W jej ramach planowano uczyć przybyszów ze wschodu zasad konspiracji, zakładania nielegalnych drukarń, tworzenia podziemnych radiostacji i innych metod walki z komunizmem. Kornel przyjął tę propozycję z radością, uważał, że w ten sposób narodzi się wkrótce polsko-sowiecki internacjonał antykomunistyczny. Zaproponował, aby ta szkoła powstała na bazie niedawno założonego Wydziału Wschodniego SW, którym kierowali Jadwiga Chmielewska i Piotr Hlebowicz. Wołodia zobowiązał się zdobyć fundusze na to przedsięwzięcie. SW otrzymała na ten cel najpierw 10 tys. dol., a wkrótce drugą podobną kwotę. Pieniądze pochodziły od braci Tengiza i Edwarda Gudawów, którzy w Nowym Jorku kierowali fundacją Democracy and Independence (Demokracja i Niepodległość). Wkrótce we Wrocławiu pojawili się sowieccy goście. Był to już okres późnej pieriestrojki i żelazna zasłona na granicach Związku Sowieckiego została częściowo podniesiona.

W 1990 r. z inicjatywy Kornela Morawieckiego i Władimira Bukowskiego w Warszawie powstało Centrum Koordynacyjne Warszawa '90, zrzeszające organizacje opozycyjne i antykomunistyczne z republik ZSRS i krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Celem było nawiązanie współpracy międzynarodowej na rzecz demokracji i niepodległości narodów bloku wschodniego.

Bukowski był człowiekiem do bólu prawdziwym, który swą bezkompromisową szczerością wręcz drażnił niektórych kolegów z ruchu dysydenckiego. Uważał, że obecną Rosję może wyleczyć z „choroby postimperialnej" jedynie otwarty sąd nad komunizmem.

ŻYCIE LEGENDY

Antykomunizm Bukowskiego przejawił się jeszcze w szkole. Gdy miał 17 lat, wyrzucono go ze szkoły za druk i rozpowszechnianie podziemnej gazetki. Został zmuszony do kontynuacji nauki w szkole wieczorowej. Z wydziału biologicznego Uniwersytetu Moskiewskiego także go wyrzucono, zaledwie po roku studiów. Pierwszy raz aresztowano go w 1963 r., za próbę rozpowszechnienia książki Milovana Djilasa „Nowa klasa". Łącznie Wołodia w tzw. psychuszkach, więzieniach i łagrach spędził ponad 12 lat i na pewno byłby tam dłużej, gdyby nie wymiana na Luisa Corvalána.

Dopiero w Wielkiej Brytanii Bukowski ukończył studia neurofizjologiczne na uniwersytecie w Cambridge i pracował jako naukowiec na uczelni. Był jednym z organizatorów bojkotu olimpiady z 1980 r. w Moskwie. A w 1983 r. z Władimirem Maksimowem i Eduardem Kuzniecowem stworzyli międzynarodową organizację Résistance International. Bukowski został jej przewodniczącym.

W kwietniu 1991 r. Władimir Bukowski po raz pierwszy od wygnania odwiedził Moskwę, która przeżywała ostatnie miesiące istnienia Związku Sowieckiego. Są świadectwa, że Borys Jelcyn planował wystawić kandydaturę Bukowskiego na posadę wiceprezydenta Federacji Rosyjskiej. Zrezygnowano z tego pomysłu, kiedy Jelcyn porzucił plany organizowania w nowej Rosji procesu sądowego nad partią komunistyczną.

Po objęciu władzy w kraju przez Władimira Putina Bukowski znów znalazł się w obozie dysydentów. W 2007 r. rosyjska Centralna Komisja Wyborcza Federacji Rosyjskiej odmówiła zarejestrowania go jako kandydata w wyborach prezydenckich w Rosji.

W ostatnich latach Bukowski ciężko chorował. Dawały się we znaki lata spędzone w więzieniach i specjalnych zakładach psychiatrycznych, a także kolejne prowokacje KGB (FSB) przeciwko niemu.

Władze na pewno rozzłościło, że w ostatnich latach życia Władimir Bukowski zwrócił się z odezwą do narodu rosyjskiego pt. „Putin powinien odejść".

Wołodia Bukowski za życia kilkakrotnie był nominowany do Pokojowej Nagrody Nobla. Nie dostał jej. Dostał natomiast już za życia prawo do statusu legendy niezłomności i bezkompromisowości wobec komunizmu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest rosyjskim dysydentem, historykiem, wykładowcą związanym z Uniwersytetem Opolskim.

eprasa.pl e955a3d6d7

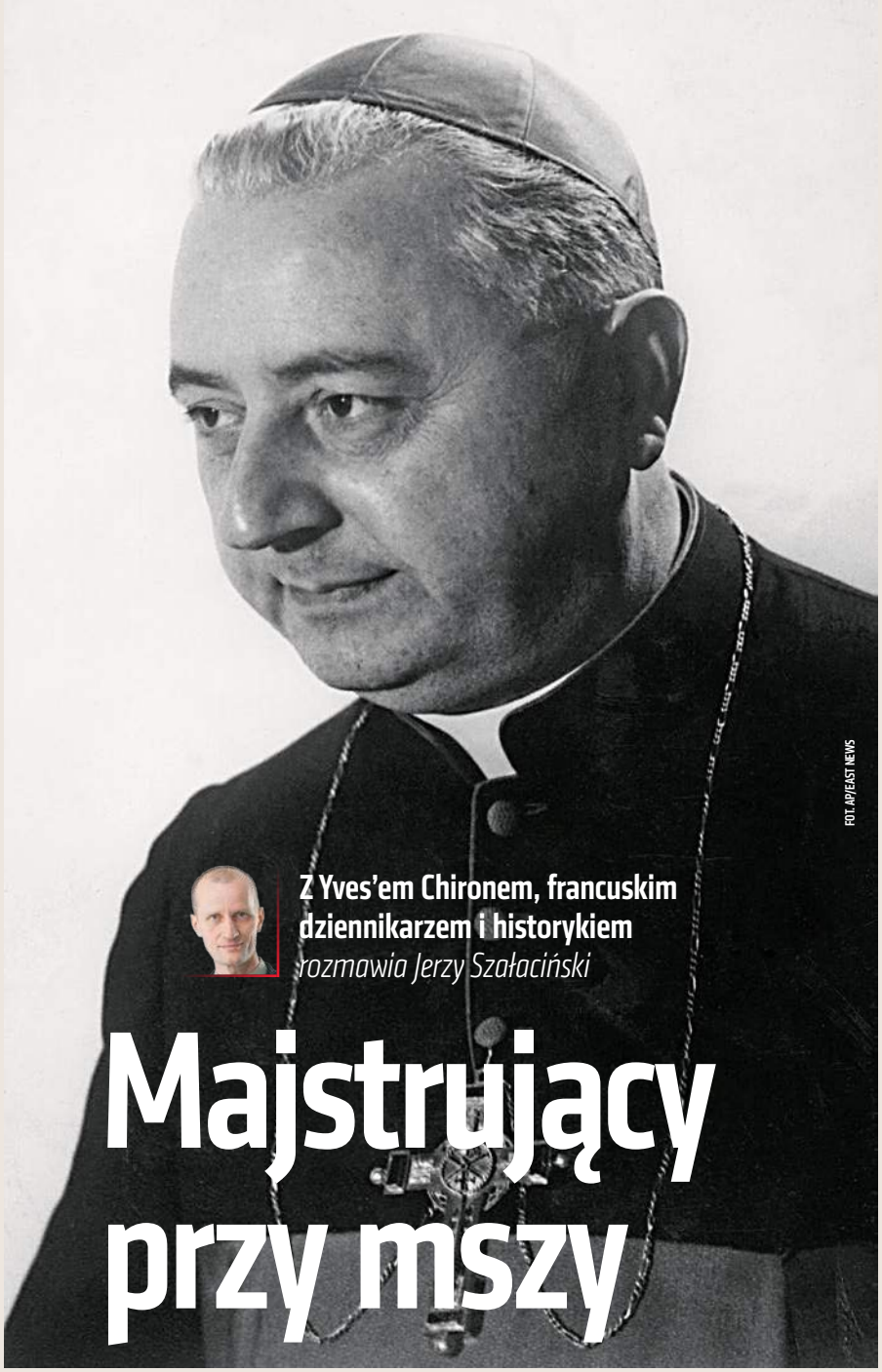

FOT. AP/EAST NEWS

Z Yves'em Chironem, francuskim dziennikarzem i historykiem
rozmawia Jerzy Szałaciński

Majstrujący przy mszy

JERZY SZAŁACIŃSKI: Po polsku ukazała się właśnie pańska książka poświęcona abp. Annibale Bugniniemu. Dlaczego ten duchowny jest postacią tak ważną dla najnowszych dziejów Kościoła, że zasługuje na osobną biografię?

YVES CHIRON: Ksiądz – a później arcybiskup – Bugnini zawsze pełnił drugorzędne funkcje. Nigdy nie był prefektem kongregacji ani przewodniczącym komisji, zawsze sekretarzem – sekretarzem Commissio Piana, sekretarzem komisji przygotowawczej liturgii przed rozpoczęciem II Soboru Watykańskiego, sekretarzem Consilium, odpowiedzialnym za ułożenie nowych obrządków.

Jednakże ta pozornie drugoplanowa postać za czasów Pawła VI była prawdziwym deus ex machina reformy liturgicznej. Bugnini nie odgrywał żadnej sekretnej roli, ponieważ jego nazwisko było powszechnie znane, a wszystko oficjalnie przechodziło przez jego ręce. Co ciekawe, dotychczas nie poświęcono mu żadnej biografii – ani po włosku, ani po francusku, ani po angielsku. Chciałem więc prześledzić jego karierę i ukazać jego rolę w historii Kościoła.

We francuskim tytule książki jest mowa o „reformie liturgii", podczas gdy przeciwnicy zmian posoborowych – do których i pan się przecież zalicza – mówią raczej o „rewolucji liturgicznej". Dlaczego zatem użył pan słowa „reforma"?

Słowa „reforma" używał abp Bugnini. To również słowo, którego używali wszyscy papieże, począwszy od Piusa XII. Słowo „reforma" wskazuje na intencję, słowo „rewolucja" opisuje skutek. Istnieje termin heterotelia (gr. heteros – „inny, odmienny", telos – „cel"), który obrazuje zjawisko tego typu – osiągnięty cel różni się od celu zamierzonego. Pius XII chciał reformować liturgię stopniowo, krok po kroku – i zaczął to robić (szczególnie chodzi tu o reformę Wielkiego Tygodnia). Z kolei Paweł VI chciał dokonać reformy liturgii, opierając się na „Konstytucji o liturgii świętej" (Sacrosanctum concilium), uchwalonej przez II Sobór Watykański, jak również na własnych przekonaniach.

W rzeczywistości kolejni kardynałowie, którym Paweł VI powierzył zadanie przeprowadzenia reformy liturgii – Lercaro, a potem Gut – pozwolili abp. Bugniniemu zostać głównym twórcą tej reformy. Arcybiskup Bugnini ze swej strony oparł się na „ekspertach" z różnych krajów, żeby doprowadzić do końca swoje zamiary.

Z pańskiej książki wyłania się postać szarej eminencji, mającej tylko jeden cel i dążącej do jego realizacji zakulisowymi manipulacjami. Jakie są najważniejsze cechy jego osobowości?

Uwaga historyków skupia się bardziej na historii reformy liturgicznej niż na osobowości abp. Bugniniego. On sam poświęcił obszerną książkę na temat pracy nad „Konstytucją o liturgii" i wcielania tego dokumentu w życie („La Riforma liturgica", wydana po włosku w 1983 r., następnie przetłumaczona na angielski i francuski). Ale ci, którzy go dobrze znali, którzy z nim pracowali, mało o nim mówili w swoich wspomnieniach czy pismach.

Arcybiskup Bugnini napisał autobiografię, która została opublikowana dopiero w 2012 r., 30 lat po jego śmierci.

Ta autobiografia oraz inne informacje, które udało mi się zgromadzić, ukazują kapłana z pewnością pobożnego, który od lat 40. XX w. interesuje się liturgią, ale interesuje się nią bardziej jako pasterz niż teolog czy historyk. Jest oczywiste, że doktrynalny wymiar liturgii wydaje mu się drugorzędny – skąd poważne braki,

eprasa.pl e955a3d6d7

które zaobserwujemy w niektórych tekstach, zwłaszcza w „Ogólnym wprowadzeniu" (Institutio generalis) nowej mszy z 1969 r.

Z drugiej strony, kolejną cechą jego charakteru jest determinacja w osiąganiu zamierzonych celów, także podstępem. Na przykład podczas posiedzeń Komisji Przygotowawczej, szykującej schemat o liturgii na obrady II Soboru Watykańskiego, ks. Bugnini wielokrotnie zalecał odłożenie na bok pewnych propozycji, żeby nie wystraszyć biskupów, którzy będą je analizować podczas soboru – z myślą, że te propozycje i tak zostaną wcielone w życie, kiedy tekst zostanie przegłosowany i kiedy trzeba będzie go stosować w praktyce.

Nie byłoby Bugniniego bez Pawła VI. Jak pan tłumaczy postawę papieża w czasie soboru i później? Czy świadomie i celowo dążył on do przeprowadzenia w Kościele bardzo daleko posuniętych zmian, czy może chciał niewielkich zmian, ale był człowiekiem naiwnym i wierzył ludziom takim jak Bugnini?

Paweł VI, zanim został papieżem, był przekonany, że należy wprowadzić dogłębne zmiany w liturgii, aby stała się ona bliższa wiernym. W wotum, które jako arcybiskup Mediolanu skierował do Komisji Przygotowawczej, opowiadał się za jak najszerszym wprowadzeniem języka narodowego do liturgii. Był wielkim admiratorem chorału gregoriańskiego i liturgii, którą obserwował w klasztorach benedyktyńskich od czasów dzieciństwa, ale uważał, że ta godna podziwu liturgia, na którą był tak wrażliwy, nie odpowiada już współczesnym ludziom.

Zostawszy papieżem, wcielił w życie całkowitą reformę liturgii, a przy tym zaufał ks. Bugniniemu, który szybko okazał się niezastąpiony. Ksiądz Bugnini miał bezpośredni i stały dostęp do papieża.

Zaskakujące i wręcz tajemnicze odsunięcie abp. Bugniniego i wysłanie go do Iranu tłumaczy pan akcją niechętnych mu rzymskich hierarchów, m.in. kard. Šepera, która nałożyła się na stopniową utratę zaufania do niego przez Pawła VI. Dlaczego papież pozbył się Bugniniego?

Nagłe i bezwzględne odsunięcie abp. Bugniniego było jak grom z jasnego nieba, przede wszystkim dla niego samego. W ogóle się tego nie spodziewał i nigdy nie był w stanie uzyskać od Pawła VI wytłumaczenia tej decyzji. Niektórzy wysnuwali teorie, że Paweł VI dowiedział się o przynależności abp. Bugniniego do masonerii. To wyjaśnienie, które zostało podane po wyjeździe abp. Bugniniego, nie przekonuje mnie. Arcybiskup Bugnini zawsze zaprzeczał, jakoby był masonem. Jego najbliższy współpracownik, którego mogłem bezpośrednio zapytać, również odrzucił tę hipotezę.

Powody nagłego odesłania abp. Bugniniego są… eklezjalne. Z biegiem lat stał się wszechwładny na polu liturgii. Autoryzował niektóre teksty (zwłaszcza „modlitwy powszechne") bez konsultacji z papieżem. Inne teksty liturgiczne Kongregacja Nauki Wiary, kierowana przez kard. Šepera, uznała za niedostatecznie dopracowane.

W pewnym momencie abp. Bugnini miał więcej przeciwników niż sprzymierzeńców. Miał opinię nierozważnego, a sam papież mógł uznać, że abp. Bugnini nadużywał jego zaufania i przekraczał swe uprawnienia. Stąd brutalna decyzja w środku lata, 14 lipca 1975 r., o usunięciu go ze stanowiska.

Ciekawym szczegółem w pańskiej książce jest opis postawy Bugniniego wobec abp. Marcela Lefebvre'a: bohater pańskiej książki doradzał papieżowi, by ten nie karał założyciela Bractwa Kapłańskiego Świętego Piusa X za sprzeciw wobec zmian posoborowych, lecz poszedł na pewne – jego zdaniem niewielkie – ustępstwa. Jak pan tłumaczy tę postawę Bugniniego?

Paweł VI chciał, aby nowa msza była odprawiana wszędzie i od razu. Jedyne ustępstwo uczynił w 1971 r. wobec Anglii: na prośbę kard. Heenana niektóre „grupy" pod pewnymi warunkami mogły tam nadal korzystać z tradycyjnej liturgii.

Kiedy w 1976 r. wybuchła afera Lefebvre'a, a na francuskiego hierarchę została nałożona suspensa „a divinis", abp. Bugnini – który był już wtedy nuncjuszem w Iranie – napisał do kard. Villota, sekretarza stanu, sugerując, aby zezwolić księżom diecezjalnym na odprawianie mszy świętego Piusa V, pod warunkiem, iż celebrans wyda oświadczenie, że „nowa msza nie jest ani heretycka, ani protestancka" oraz że ci, którzy ją przygotowali i zatwierdzili, nie są ani heretykami, ani protestantami.

Paweł VI odrzucił tę sugestię i poprzez kard. Villota odpowiedział: „Nie wydaje się właściwe udzielenie przyzwolenia na to, co zostało już odrzucone, jak również z tego względu, żeby nie pogłębiać niejasności i zamętu i nie podważać wiarygodności Stolicy Apostolskiej". To bezwzględne stanowisko papież podtrzymywał aż do końca swojego pontyfikatu.

Sądzę, że Paweł VI był bardziej uparty niż abp Bugnini, a w oporze stawianym przez abp. Lefebvre'a widział zniewagę swojej papieskiej godności.

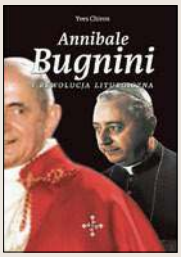

YVES CHIRON „ANNIBALE BUGNINI I REWOLUCJA LITURGICZNA" WYDAWNICTWO KEY4 2019

Jak z perspektywy półwiecza funkcjonowania nowej mszy i nadal się dokonujących zmian w liturgii ocenia pan skutki owej „reformy" liturgicznej? Co działalność Annibale Bugniniego przyniosła Kościołowi?

Arcybiskup Bugnini pozostanie w historii Kościoła jako główny motor posoborowej reformy liturgicznej. Nie był jej inspiratorem, ale wprowadził w życie pewne idee teoretyków ruchu liturgicznego. Działał metodycznie, z pełną determinacją, a pewne pomysły jeszcze radykalizował. Zapomniał, że liturgii się nie „ogłasza" oraz że lex orandi i lex credendi („prawo modlitwy", „prawo wiary") są ze sobą nierozerwalnie złączone. Liturgia jest przede wszystkim wyrazem wiary.

Jan Paweł II indultem z 1984 r. oraz motu proprio („z własnej inicjatywy") z 1988 r., a także Benedykt XVI przez motu proprio z 2007 r. stopniowo przywrócili tradycyjnej liturgii jej miejsce w Kościele, chociaż sami publicznie jej nie celebrowali. Benedykt XVI miał również ambitny plan „zreformowania reformy", tzn. poprawienia tego, w czym posoborowa reforma liturgiczna zaszła za daleko, lub przeciwnie: tego, czego nie dokończono – nie było mu jednak dane wprowadzić tego planu w życie. Z kolei dla jego następcy, papieża Franciszka, liturgia nie należy do priorytetów pontyfikatu…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Yves Chiron – dziennikarz, eseista i historyk francuski, specjalizujący się w najnowszej historii Kościoła, a także historii nacjonalizmu francuskiego i kontrrewolucji. Autor kilkudziesięciu książek, a także prac na temat procesów beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych.

eprasa.pl e955a3d6d7

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Kobieta w Auschwitz

Kolejna książka, która przedstawia tragiczne wydarzenia wojenne z kobiecej perspektywy. Bohaterką „Tajemnicy z Auschwitz" jest pani Stefania Stawowy. Żona żołnierza AK, która – w ramach odpowiedzialności zbiorowej – została zamknięta przez Niemców w Auschwitz. A potem zaznała piekła kolejnych obozów: Ravensbrück i Flossenbürg. Przeszła marsz śmierci, przetrwała – cudem.

To nie tylko historia dramatycznych losów dzielnej Polki w niemieckiej niewoli. To również uniwersalna opowieść o moralnym upadku ludzkości w XX w. O tym, że w określonych okolicznościach zwykli ludzie zamieniają się w dzikie bestie.

„Nic nie jest w stanie zagłuszyć wrzasku esesmanów i grozy, jaką budzą ujadające wielkie czarne psy – czytamy w książce. – Rozdrażnione i wyrywające się, by gryźć, owczarki niemieckie i dobermany wyglądają jak złowrodzy jeźdźcy Apokalipsy.

Niemcy »zachęcają« nas do posłuchu długimi kijami, którymi, w akompaniamencie wykrzykiwanych rozkazów, walą na oślep, nie zważając na to, kogo i gdzie biją. Odnoszę wrażenie, że doskonale się bawią, szczując na nas psy, i tym, że co rusz któryś z nich boleśnie wgryza się w czyjeś ciało.

Czytałam opis Apokalipsy w Biblii i z przykrością muszę przyznać, że autor miał ograniczoną wyobraźnię. To, czego doświadczam teraz, jest bardziej koszmarne od najgorszych wizji, o których słuchałam na rekolekcjach w kościele. To tak, jakby piekło zmaterializowało się na ziemi. Nie rozumiem, jak ludzie mogą robić takie rzeczy innym ludziom.

Przecież każdy z nich ma jakąś matkę, rodzinę, jakichś kuzynów i braci, przyjaciół. Jak mogą dopuszczać się czegoś takiego? Jak mogą nie pomyśleć, że coś podobnego mogłoby spotkać kogoś z ich bliskich, i nie powstrzymać ręki? Jak mogą być katami, czartami w ludzkiej skórze, jak mogą się nie bać boskiej sprawiedliwości? Jak? Jak? Jak?".

To jest pytanie, na które od wielu lat próbują odpowiedzieć tysiące historyków, socjologów, psychologów i psychiatrów. Z lepszym lub gorszym skutkiem. Na szczęście w tunelu jest światełko. Nie każdego człowieka można zdemoralizować i zepsuć. Stefania Stawowy od Niemców zaznała rzeczy strasznych. Jednak to jeden z niemieckich strażników ulitował się nad nią i uratował jej życie. ©℗

★★★★★★

NINA MAJEWSKA-BROWN
„TAJEMNICA Z AUSCHWITZ"
BELLONA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wódka od godz. 13

Władze PRL posiadały niezwykłą umiejętność wprowadzania przepisów prawnych, które niemal natychmiast były łamane przez społeczeństwo. Jednym z takich przypadków było ogłoszone jesienią 1982 r. ograniczenie w sprzedaży alkoholu, mające na celu pohamowanie nadmiernego pijaństwa. Zmniejszono liczbę punktów handlowych oferujących trunki, a napoje o zawartości alkoholu powyżej 4,5 proc. mogły być sprzedawane dopiero od godz. 13.

Nie od dzisiaj jednak wiadomo, że homo sapiens posiada słabość do alkoholu i odurzanie się nim jest cechą charakterystyczną gatunku. Jaruzelskiemu i jego ekipie nic nie mówiły doświadczenia amerykańskiej prohibicji i nie docierała do nich prawda, że jeśli ktoś chce się napić, to zawsze znajdzie metodę. Zresztą generał nienawidził alkoholu, niemal na równi z opozycją, i wydawało mu się, że wszystko można załatwić za pomocą nakazów. W efekcie bimbrownictwo rozwinęło się na skalę porównywalną tylko z okresem okupacji, zacierali też ręce właściciele różnego rodzaju melin, gdzie wódkę można było kupić przez całą dobę. Gorzej mieli wielbiciele piwa, był to napój deficytowy w PRL, a teraz często służył jeszcze jako substytut mocniejszych trunków. To właśnie wtedy rozwinęła się „turystyka piwna", wędrówki po mieście w poszukiwaniu sklepu, gdzie akurat „rzucili" chmielowy napój. Osobiście pamiętam, że gdy pewnego dnia niosłem plecak pełny łupu, co chwila pytano mnie, gdzie udało mi się kupić piwo.

W okolicach Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie wówczas studiowałem, jedynym pewnym miejscem były nadwiślańskie mordownie na tzw. Szlaku Orlich Gniazd. Natomiast na zakazane wino można było zajrzeć do jednego z lokali w pobliżu uczelni. Zaufanym klientom podawano przed godz. 13 „czysty barszczyk" – do wyboru: biały lub czerwony. Konsumpcja wina za pomocą łyżki z głębokiego talerza lub miseczki należała do ciekawszych przeżyć kulinarnych tamtych lat…

Pojęcie godz. 13 weszło do obiegowego języka, a szczególną uciechę wzbudzały informacje z Sejmu podawane w „Dzienniku Telewizyjnym". Z całą powagą informowano widzów, że o 13 posłowie udali się na przerwę, co wzbudzało masę złośliwych komentarzy. Ostatecznie ograniczenia godzinowe w sprzedaży alkoholu zniesiono dopiero 29 listopada 1990 r., nie przyniosły bowiem żadnych efektów poza zarobkami właścicieli melin. Chętnym do wprowadzenia obecnie godzinowej prohibicji daję to pod rozwagę i sugeruję przykład Litwy, gdzie od lat wprowadza się różnego rodzaju obostrzenia, a Litwini i tak przodują w ilości wypijanego alkoholu. ©℗

eprasa.pl e955a3d6d7

PGNiG gwarantem bezpieczeństwa energetycznego Polski

Naszą misją jest zapewnienie Polsce bezpieczeństwa energetycznego. Każdemu naszemu działaniu przyświeca myśl, by działać zgodnie z interesem kraju i społeczeństwa, tak by realizować ambitne cele biznesowe i jednocześnie wspierać ideę patriotyzmu narodowego.

PGNiG

d e955a3d6d7

PARTNER RAPORTU
PGNiG

Pułkownik Kazimierz Klimczak, najstarszy żyjący powstaniec warszawski i jeden z ostatnich żyjących weteranów bitwy nad Bzurą

FOT. PIOTR LITWIC/FUNDACJA ROSA I FUNDACJA SENSORIA

Patriotyzm w praktyce

Piotr Włoczyk

Nie tylko wielkie marsze, podniosłe uroczystości i wznoszenie pomników. Dzisiaj patriotyzm to też setki akcji społecznych, które wspierają kombatantów walk o niepodległość Polski, ale też ratują życie ciężko chorym

Z taką młodzieżą Polska ma przyszłość. Było ich kilku, byli bardzo młodzi i przynieśli piękną paczkę pełną potrzebnych rzeczy. To był dla mnie bardzo miły moment. Musieli na mój temat trochę poczytać, bo od razu zaczęły się pytania o tamte czasy – śmieje się gen. Jan Podhorski. Na pewno było o czym opowiadać. 98-letni gen. Podhorski to żołnierz wyklęty, powstaniec warszawski, więzień stalinowskich katowni. Swoją walkę o niepodległość Polski rozpoczął już w wieku 18 lat, gdy we wrześniu 1939 r. walczył w Wielkopolsce w szeregach Obrony Narodowej, przedwojennym odpowiedniku Wojsk Obrony Terytorialnej. Generał Podhorski to jeden z kombatantów obdarowanych w ramach akcji „Paczka dla Bohatera", której IX edycja wystartowała 11 listopada.

– Zbieramy głównie dla kombatantów II wojny światowej, żołnierzy walczących w powstaniach, członków AK, NSZ i WIN, żołnierzy walczących na Wschodzie i Zachodzie, opozycjonistów z okresu po wojnie i weteranów z misji poza granicami kraju – tłumaczy Tomasz Sawicki, twórca akcji. W paczkach obdarowani znajdują mnóstwo produktów żywnościowych, artykułów

eprasa.pl e955a3d6d7

chemicznych i higienicznych, a także m.in. odzież i pościel.

UŚMIECH POWSTAŃCA

Organizatorzy akcji planują, że w tym roku przygotowanych zostanie 2,1 tys. paczek, z czego 1,7 tys. dostarczonych zostanie w Polsce, a 400 na Kresach. Poza paczkami pomagają też kombatantom, którzy znaleźli się w szczególnie trudnej sytuacji życiowej. Oprócz kupowania im leków oraz opłacania kosztów leczenia i rehabilitacji darczyńcy „Paczki dla Bohatera" pomagają też kombatantom w zakupie opału na zimę, a nawet remontują ich domy.

Do każdej paczki dołączane są życzenia od dzieci, które organizatorzy dostają z polskich szkół, a także z zagranicy. Szczególnie wiele z nich dochodzi z Wielkiej Brytanii.

– Ostatnio dostałem tyle życzeń od dzieci, że aż mi się wszystkie worki z kartkami prawie w domu nie mieściły. Dziękowały mi za poświęcenie, za walkę i życzyły mi zdrowia i wielu lat życia. Tylko czy one wiedzą, ile ja już mam lat? – śmieje się płk Kazimierz Klimczak. Urodzony pół roku przed wybuchem I wojny światowej, w lutym 1914 r., płk Klimczak jest dziś najstarszym żyjącym powstańcem warszawskim i jednym z ostatnich żyjących weteranów bitwy nad Bzurą. – Jaka szkoda, że przez tyle lat po odzyskaniu wolności w 1989 r. nie pielęgnowano u nas patriotyzmu. To było po prostu zaniedbane, kolejne rządy mało co w tej sprawie robiły. Na szczęście ostatnie lata wyglądają pod tym względem dużo lepiej. Chyba ciężko będzie dziś zorganizować takie wychowanie patriotyczne jak przed wojną, ale trzeba się starać. Bez patriotyzmu żaden kraj, żadne społeczeństwo nie ma przyszłości – mówi płk Klimczak.

Jedną z największych akcji tego typu jest „BohaterON – włącz historię!", organizowana przez Fundację Sensoria oraz Fundację Rosa. W ciągu czterech edycji kampanii młodzi Polacy wysłali ponad pół miliona kartek z życzeniami dla powstańców warszawskich. Poza ciepłymi słowami powstańcy otrzymują też w ramach tej akcji konkretne wsparcie materialne – w sumie przekazano w ten sposób ponad pół miliona złotych dla potrzebujących bohaterów walk o stolicę. Wolontariusze skupieni wokół tej inicjatywy pomagają również powstańcom w codziennych obowiązkach. Organizatorzy podkreślają, że bardzo ważnym elementem całej akcji jest wiele działań edukacyjnych prowadzonych w szkołach przy okazji kolejnych edycji „BohaterON".

Do każdej „Paczki dla Bohatera" dołączane są życzenia od dzieci, które organizatorzy dostają z polskich szkół, a także z zagranicy

DRZWI DO WOLNOŚCI

Wśród inicjatyw patriotycznych nie brakuje też ciekawych wydarzeń kulturalnych. Największą inicjatywą tego typu, nie tylko w Polsce, lecz także w Europie, jest odbywający się co roku Festiwal Filmowy „Niepokorni Niezłomni Wyklęci". Jego ostatnia, XI edycja miała miejsce w Gdyni w dniach 26–29 września. Bogaty program filmowo-artystyczny ma na celu integrację środowiska twórców filmów opowiadających o trudnej drodze do wolności z lat 1939–1989, którą musieli przejść Polacy oraz inne narody Europy Środkowo-Wschodniej.

Pokazom filmów dokumentalnych na ten temat towarzyszą ciekawe panele dyskusyjne, w których oprócz wybitnych historyków, publicystów i twórców filmowych biorą udział goście honorowi imprezy – świadkowie historii. Szczególne zainteresowanie ze strony tłumów odwiedzających festiwal wywołują spotkania z żołnierzami wyklętymi. Podczas uroczystej gali organizatorzy Festiwalu „NNW" wręczają wyróżnienia „Sygnet Niepodległości" oraz „Drzwi do Wolności" dla bohaterów walk o wolność.

Festiwal „NNW" z roku na rok się rozrasta. „Każda edycja w Gdyni jest przełomowa, zawsze jest coś nowego, po raz 11. przyjechali ludzie, aby przez sztukę opowiadać o poszukiwaniach historii w swoich domach i przetwarzać ją przez swoją wrażliwość artystyczną. Staliśmy się też ciekawą propozycją dla naszych sąsiadów z zagranicy, więc w tym roku zainaugurowaliśmy nowy konkurs – międzynarodowy" – mówił podczas gali otwarcia Arkadiusz Gołębiewski, dyrektor festiwalu.

KREW DLA RODAKÓW

W kontekście inicjatyw patriotycznych nie sposób nie wspomnieć o coraz prężniejszych akcjach środowisk kibicowskich, które mają na celu renowację miejsc pochówku polskich bohaterów walk o niepodległość. W przypadającą w tym roku 75. rocznicę wybuchu powstania w stolicy członkowie Stowarzyszenia Kibiców Legii Warszawa zorganizowali akcję czyszczenia zaniedbanych powstańczych grobów. Po zakończeniu prac porządkowych legioniści przyozdabiali każdy grób biało-czerwonymi wstążkami.

W renowację grobów tradycyjnie też zaangażowali się kibice Lecha Poznań, którzy już po raz 11. kwestowali w tym roku na Wszystkich Świętych na ponad 150 wielkopolskich cmentarzach. W akcję zaangażowanych było ponad tysiąc wolontariuszy. W tym roku po raz pierwszy kibiców Lecha wsparli w kwestowaniu żołnierze Wojsk Obrony Terytorialnej. W ciągu 11 lat udało się zebrać w ten sposób ponad 1,5 mln zł.

Część środków z tegorocznej zbiórki ma zostać przeznaczona na poszukiwanie i odnowienie grobu Alfonsa Brezy, powstańca wielkopolskiego, który zmarł na emigracji w brazylijskim São Paulo. „Chcemy pokazać, że jeżeli gdziekolwiek na świecie jest grób powstańca wielkopolskiego, który wymaga odnowienia, to my jako kibice dotrzemy tam, znajdziemy ten grób i go wyremontujemy" – powiedział Marcin Mrówka ze Stowarzyszenia Kibiców Lecha Poznań.

Na wyróżnienie zasługuje też wyjątkowa akcja, która doskonale pokazuje, jak może wyglądać patriotyzm w najbardziej praktycznym wymiarze. „Niepodległą mamy we krwi" to kampania zainicjowana przez Stowarzyszenie Honorowych Dawców Krwi „Legion" oraz miesięcznik „Polska Zbrojna".

„Organizacja kampanii społecznej łączy ideę honorowego oddawania krwi oraz upamiętnianie odzyskania przez Polskę niepodległości, aktywizując i zachęcając, szczególnie młode społeczeństwo, do oddawania krwi oraz dodatkowo kształtując poczucie tożsamości narodowej uczestników i identyfikacji Wojska Polskiego z tradycjami narodowymi i oręża polskiego" – czytamy na stronie internetowej tej ogólnopolskiej kampanii prowadzonej w tym roku w dniach 1 sierpnia–18 listopada. W jej trakcie 1843 osoby oddały 830,5 l krwi. Niemal tyle samo krwi, w ramach wielkiej akcji pomocowej, wysłali Polacy jesienią 1956 r. na Węgry, gdzie Sowieci brutalnie zdusili powstanie przeciw komunistycznej władzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e955a3d6d7

Jacek Przybylski

Liderzy Partii Demokratycznej boją się, że w 2020 r. Donald Trump znów wygra wybory. Robią więc, co mogą, aby stworzyć wrażenie, że prezydent popełnił straszne zbrodnie, za które trzeba go wyrzucić z Białego Domu. Tymczasem prezydentowi Trumpowi przybywa zwolenników

Czy Trump zasłużył na „karę śmierci”?

Takich politycznych emocji nie było w Ameryce od dwóch dekad. Publiczne przesłuchania czołowego dyplomaty USA na Ukrainie Williama Taylora juniora, byłej ambasador USA w Kijowie Marie Yovanovitch, Alexandra Vindmana, eksperta ds. Ukrainy w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego czy Gordona Sondlanda, ambasadora USA przy Unii Europejskiej, w ramach przygotowań do impeachmentu Trumpa rodzą skojarzenia z przesłuchaniami, które w latach 70. doprowadziły do rezygnacji republikańskiego prezydenta Richarda Nixona, a także tych z lat 90., gdy to republikanie próbowali wyrzucić z Białego Domu uwikłanego w romans ze stażystką demokratę Billa Clintona.

Próba wykorzenienia z Białego Domu Donalda Trumpa będzie jednak pierwszym impeachmentem ery Internetu i mediów społecznościowych. Demokraci robią, co mogą, aby stworzyć wrażenie, że Trump popełnił straszne przestępstwo. Przestępstwo tak wielkie, że trzeba go skazać na najwyższy wymiar kary: bezwzględną polityczną egzekucję na oczach setek milionów Amerykanów.

NAJWYŻSZY WYMIAR KARY

– Trump jest gorszy od Nixona, bo Nixon na tyle troszczył się o kraj, że uznał, iż proces impeachmentu nie może dalej trwać, i zrezygnował – podkreśliła w jednym z telewizyjnych wywiadów Nancy Pelosi, liderka demokratów w Izbie Reprezentantów.

To ona zdecydowała o wszczęciu procedury impeachmentu tuż po tym, gdy wyszło na jaw, że Trump poprosił nowego prezydenta Ukrainy, Wołodymyra Zełenskiego, aby ten sprawdził, czy Joe Biden jako wiceprezydent za rządów Baracka Obamy pomógł wyłączyć swojego syna ze śledztwa dotyczącego jego pracy dla ukraińskiej firmy gazowej Burisma.

Nie trzeba być wielkim zwolennikiem Partii Republikańskiej, żeby przyznać, że sam fakt, iż młody Hunter Biden dostawał duże pieniądze od zarządu ukraińskiej Burismy, podczas gdy jego ojciec odpowiadał za politykę administracji Baracka Obamy wobec Ukrainy, powinien budzić podejrzenia dotyczące co najmniej konfliktu interesów. Demokraci próbują jednak zręcznie odwrócić kota ogonem i skazać Trumpa za to, że próbował sprawić, iż Bidenowie zostaną ukarani za ewentualne machlojki z czasów rządów Obamy.

Oskarżająca teza Partii Demokratycznej brzmi: prezydent Donald Trump z pomocą zaufanego prawnika (Rudolpha Giulianiego) oraz dwóch innych dyplomatów z ominięciem oficjalnych kanałów dyplomatycznych spiskowali, aby wymusić na nowych władzach w Kijowie skompromitowanie byłego wiceprezydenta USA

eprasa.pl e955a3d6d7

W Kongresie trwają przesłuchania w ramach dochodzenia w sprawie impeachmentu Donalda Trumpa FOT. JACQUELYN MARTIN/AP/EAST NEWS

Joe Bidena, który do niedawna był jednym z głównych faworytów Partii Demokratycznej w wyborach 2020 r. Stawką w tym szantażu miała być amerykańska pomoc dla Ukrainy o wartości 400 mln dol.

Dla demokratów wina prezydenta była oczywista, zanim doszło do pierwszych przesłuchań świadków – o impeachmencie Donalda Trumpa marzyli bowiem od 2016 r., czyli od momentu, gdy niespodziewanie dla wielu pokonał Hillary Clinton i został 45. prezydentem USA, więc mogliby go skazać za cokolwiek.

Czy jednak uda im się przekonać członków Partii Republikańskiej, a także wyborców, że Donald Trump rzeczywiście zasługuje na polityczną karę śmierci? Obecnie wydaje się to mało prawdopodobne. Najważniejszy kłopot liderów Partii Demokratycznej polega bowiem na tym, że brakuje im jednoznacznych dowodów na to, iż Trump rzeczywiście popełnił jakiekolwiek poważne przestępstwo. Oczywiście nie muszą ich mieć, aby formalnie postawić prezydenta w stan oskarżenia. Do tego wystarczą polityczna determinacja i zwykła większość w Izbie Reprezentantów, którą Partia Demokratyczna posiada.

Impeachment to jednak proces dwuetapowy. Po oskarżeniu prezydenta przez Izbę Reprezentantów w Senacie – w którym większość ma Partia Republikańska – rozpoczyna się prawdziwy proces, w którym potrzebne są prawdziwe dowody, a nie tylko retoryczne sztuczki.

Spójrzmy więc chłodno na całą sprawę. Trump jest oskarżany o to, że naciskał na prezydenta Ukrainy w sprawie śledztwa dotyczącego Joe i Huntera Bidenów i uzależniał od jego wszczęcia pomoc wojskową dla Ukrainy. Co na to oskarżony? Trump konsekwentnie podkreśla, że naciskając na ukraińskie władze, aby zajęły się śledztwem wobec Joe Bidena i jego syna Huntera, chciał jedynie walczyć z korupcją, co jest zgodne z wieloletnią polityką Stanów Zjednoczonych.

Co na to potencjalny szantażowany? Ukraiński prezydent kilkakrotnie oficjalnie przekonywał, że wcale nie czuł się w tej sprawie szczególnie naciskany. W ujawnionym przez Biały Dom zapisie rozmowy telefonicznej prezydentów Ukrainy i USA trudno znaleźć coś nagannego z punktu widzenia prawa karnego. Czy Ukraina spełniła żądanie Trumpa i wznowiła śledztwo wobec Bidenów? Nie. Czy USA mimo to odblokowały pieniądze na pomoc wojskową dla Ukrainy? Tak. A na co za przestępstwo, którego de facto nie było, oskarżyciele chcieliby skazać prezydenta? Na polityczną śmierć.

Brzmi kuriozalnie, więc obrońcy i politycy Partii Republikańskiej mogą się starać przedstawić cały proces impeachmentu jako jeden wielki polityczny cyrk. Zgodnie z prawem prezydenta z urzędu powinno się usuwać w wyjątkowych i uzasadnionych przypadkach.

Demokraci wskazują na obciążające Trumpa słowa świadków. Republikanie odpowiadają, że wielu świadków w zeznaniach przytaczało jedynie relacje z drugiej ręki i nie było naocznymi świadkami „karygodnych" zachowań. W zeznaniach dominuje też zarzut, że obecny prezydent regularnie omijał standardowe kanały dyplomatyczne, a politykę zagraniczną prowadził za pośrednictwem swoich zaufanych ludzi.

Nawet jeśli to prawda, to Trump nie złamał w ten sposób konstytucji. Trudno też dziwić się takiemu stylowi rządów, skoro wielu amerykańskich biurokratów od początku prezydentury Trumpa niemal wprost wypowiedziało posłuszeństwo swemu konstytucyjnemu zwierzchnikowi. Ten bunt opisała w niedawno wydanej książce Nikki Haley, była ambasador USA przy ONZ. Wspomina w niej, jak ówczesny szef sztabu Białego Domu John Kelly oraz były szef dyplomacji Rex Tillerson wprost kazali jej sabotować niektóre polecenia prezydenta Trumpa. Swój brak subordynacji wobec przywódcy USA Kelly i Tillerson mieli tłumaczyć „próbą ratowania kraju". W takiej sytuacji trudno się dziwić, że Trump swe priorytetowe sprawy powierzał tylko zaufanym ludziom lub że nadal woli uprawiać dyplomację za pośrednictwem Twittera i WhatsAppa. Demokraci bez trudu mogą udowodnić, że profesjonalni, doświadczeni dyplomaci nie zgadzali się z polityką Trumpa. To jednak nie jest przestępstwo.

Opcja „cyrkowa" to jedna z możliwych strategii radzenia sobie z politycznym „polowaniem na czarownice". Z pewnością konserwatyści w Kongresie będą się również domagać, aby doszło do publicznego przesłuchania przed kamerami Huntera Bidena – młodego prawnika i lobbysty, który gdy jego tatuś był wiceprezydentem, zarabiał dziesiątki tysięcy dol. miesięcznie, pracując dla Ukraińców. A być może również do przesłuchania Joe Bidena, który w 2018 r. publicznie się przechwalał, jak doprowadził do odwołania ukraińskiego prokuratora generalnego Wiktora Szokina – tego samego, który prowadził śledztwo przeciw firmie, w której zatrudniony był Hunter Biden – za pomocą groźby odebrania władzom w Kijowie obiecanej przez Waszyngton pomocy w wysokości 1 mld dol. Niezwykle ciekawe mogą być też przesłuchania samego Donalda Trumpa. Doświadczony showman telewizyjny z pewnością dobrze wykorzysta impeachmentowy prime time.

REKORDOWA POPULARNOŚĆ

Polityczna awantura paradoksalnie może wzmocnić Donalda Trumpa, człowieka spoza partyjnego establishmentu, który pierwszą kadencję wygrał wbrew elitom nie tylko Partii Demokratycznej, lecz także Partii Republikańskiej.

Aby skazać prezydenta i usunąć go z Białego Domu, potrzeba dwóch trzecich głosów senatorów. Biorąc pod uwagę, że w Senacie większość ma Partia Republikańska, a oskarżyciele nie mają mocnych dowodów, Trump najpewniej zostanie uniewinniony. Taki wyrok zapadł wcześniej w sprawie dwóch innych prezydentów,

eprasa.pl e955a3d6d7

wobec których rozpoczął się proces impeachmentu: Andrew Johnson oraz Bill Clinton zostali oczyszczeni z zarzutów.

Jeżeli Trump zostanie uniewinniony tuż przed listopadowymi wyborami, to będzie mógł wprost mówić, że było to polowanie na czarownice, ale i z tego wyszedł zwycięsko. To zaś tylko przysporzy mu głosów. Widać to już teraz. Najnowsze wyniki sondażu Des Moines Register/CNN/Mediacom przeprowadzonego w Iowa – pierwszym stanie, w którym w roku 2020 odbędą się prawybory – pokazują, że obecny gospodarz Białego Domu wśród republikańskich wyborców cieszy się rekordową popularnością.

Odsetek dobrze oceniających prezydenturę Trumpa wzrósł od marca do listopada 2019 r. z 81 do 85 proc., a odsetek tych republikanów, którzy deklarują, że są już pewni, iż zagłosują za jego reelekcją, wzrósł z 67 do 76 proc. Trump jest mocny nie tylko w Iowa i nie tylko wśród zadeklarowanych wyborców republikanów. Ostatnie sondaże pokazują, że obecny prezydent w wielu kluczowych „swing states" ma duże szanse na pokonanie kandydata Partii Demokratycznej. Tę popularność atakowanego przez demokratów prezydenta widać nie tylko w sondażach, lecz także podczas spotkań ze zwykłymi ludźmi. Gdy 9 listopada podczas relacji z meczu futbolu w Alabamie na telebimie pokazano Donalda Trumpa wraz z jego piękną żoną Melanią, z trybun, na których siedziało ponad 100 tys. osób, zaczęły dobiegać gromkie brawa oraz radosne skandowanie: „USA, USA, USA".

Skąd ta popularność? Zdaniem wielu Amerykanów rządy Donalda Trumpa odmieniły oblicze Waszyngtonu. Jest on bowiem pierwszym od dawna prezydentem, który nie tylko nie owija w bawełnę, lecz także mówi to, co myśli, nie czekając najpierw na wyniki sondaży w danej sprawie. Nie boi się bardzo ostro wypowiadać o nielegalnych imigrantach, co doceniają ci wyborcy, którzy mają już serdecznie dość wszechogarniającej poprawności politycznej. Dzięki stanowczym antyimigracyjnym poglądom Trumpa popiera również wielu robotników, górników czy pracowników fizycznych, którzy boją się, że przez Meksykanów stracą pracę, a którzy wcześniej woleli głosować na kandydata Partii Demokratycznej.

Republikanie do walki o reelekcję są też świetnie przygotowani logistycznie. Zwolennicy Trumpa zebrali już ponad 83 mln dol. na jego drugą prezydencką kampanię. I mają więcej pieniędzy na reklamy telewizyjne czy billboardy, niż łącznie trzej czołowi kandydaci demokratów: Sanders, Warren i Buttigieg.

Donald Trump ma wciąż duże szanse na zwycięstwo w przyszłorocznych wyborach FOT. MARK WILSON/GETTY IMAGES

POJEDYNEK MILIARDERÓW?

Potencjalni rywale Donalda Trumpa z Partii Demokratycznej – na razie o nominację walczyć chce 17 kandydatów – są zresztą tak słabi, że budzą litość nawet u zwolenników liberałów. Joe Biden, były wiceprezydent USA, teoretycznie najbardziej znany i kojarzony z nadal kochanym przez demokratów Barackiem Obamą, nie umie tego jednak dobrze wykorzystać, a korupcyjna afera ukraińska uderza bardziej w Bidena niż w Trumpa.

Schorowany Bernie Sanders zebrał co prawda najwięcej indywidualnych datków, ale sam siebie nazywa socjalistą, co w kraju takim jak USA czyni go kandydatem praktycznie niewybieralnym.

Senator Elizabeth Warren – nazywana przez Trumpa Pocahontas – zapowiada tak wielką podwyżkę podatków nie tylko dla najbogatszych, lecz także dla klasy średniej, że zaprotestował przeciw niej nawet były demokratyczny prezydent Bill Clinton. Warren chce też anulowania długów studenckich i wprowadzenia powszechnej opieki zdrowotnej nawet dla nielegalnych imigrantów, co w praktyce też czyni ją socjalistką.

Najbardziej kompetentny wydaje się, 37-letni Pete Buttigieg. Świetnie wykształcony poliglota maltańskiego pochodzenia, który w razie zwycięstwa byłby pierwszym gejem na stanowisku prezydenta USA. Jego szanse rosną, ale szybką karierę może mu nagle złamać doświadczony miliarder… Michael Bloomberg.

Jeśli oficjalnie ogłosi swój start – na razie wciąż tylko „poważnie go rozważa" – to biali, wykształceni, bogaci wyborcy wybiorą właśnie Bloomberga. 77-letni miliarder, ósmy na liście najbogatszych Amerykanów (jego fortuna szacowana jest na ponad 50 mld dol.), ponoć obudził się niedawno i stwierdził: „O mój Boże, Donald Trump zostanie ponownie wybrany. Lepiej wezmę udział w walce o prezydenturę". Jeżeli zdobędzie partyjną nominację, to może mieć szansę w walce z bądź co bądź o wiele biedniejszym Donaldem Trumpem (jego majątek szacowany jest na 3,1 mld dol.).

Pierwotnie demokrata, został republikaninem, aby wygrać walkę o urząd burmistrza Nowego Jorku, ale w ubiegłym roku znów zadeklarował, że czuje się demokratą. Ma bowiem liberalne poglądy zarówno w kwestii zmian klimatu, jak i dostępu do broni czy imigracji. Bloomberg zapewne poczeka jeszcze kilka tygodni i do wyścigu po nominację dołączy oficjalnie dopiero w tzw. superwtorek 3 marca 2020 r. Oficjalnie rywala Trumpa poznamy w lipcu przyszłego roku.

W listopadzie 2020 r. – jeżeli Partii Demokratycznej nie uda się przeprowadzić z sukcesem parlamentarnego zamachu stanu – obecnego prezydenta będzie miał szanse ocenić amerykański naród. A wtedy to miliony Amerykanów, a nie garstka biurokratów, ostatecznie zdecydują, kto powinien przewodzić Ameryce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e955a3d6d7

Lambert WILSON

Kristin SCOTT THOMAS

Jules BENCHETRIT

NA WYCIĄGNIĘCIE RĘKI

reżyseria Ludovic BERNARD

z udziałem Karidji TOURÉ

W KINACH OD 29 LISTOPADA

/hagifilm

TAKSÓWKI ZAMIAST POLICJI

W Norwegii mocno wzrosła liczba przestępstw – w samym Oslo nieletni popełniają ich o połowę więcej niż jeszcze kilka lat temu. Doszło do tego, że dzielnice patroluje tam ochotnicza straż obywatelska. Teraz, przed świętami, postanowiła zabezpieczyć kobiety, które wieczorami wracają do domów. Paniom oferowane będą darmowe, różowe taksówki.

FOT. JENTETAXI

PROGRAM DLA DZIECI Z GEJEM

Na YouTube można obejrzeć rosyjską adaptację formatu telewizyjnego „Real Talk". Dzieci rozmawiają tam z różnymi osobami, które pod jakimś względem różnią się od ogółu. Po jednym z odcinków kanałem zajęli się moskiewscy śledczy. Bo w dziecięcym programie goszczono geja, który opowiadał maluchom m.in. o tym, kiedy odkrył swoją orientację seksualną. Dzieciom w wieku 6–13 lat zwierzał się też z marzenia – w przyszłości chciałby mieć dzieci. Wiceprzewodniczący Dumy Piotr Tołstoj, który zawiadomił prokuraturę, uznał, że emisja tego programu narusza rosyjskie prawo zakazujące propagandy homoseksualnej. Właściciele kanału usunęli już swoje konto z YouTube.

ABORCJA PO BELGIJSKU

W Belgii można dziś przerwać ciążę do 12. tygodnia od poczęcia. Dostaje się obowiązkowy czas na przemyślenie tej decyzji – sześć dni. Ale to już nie wystarcza. Część tamtejszych polityków uważa, że powinno się pozwalać na zabijanie płodów do 18. tygodnia ciąży. Chcą też krótszego czasu do namysłu dla kobiet – zaledwie dwóch dni. Takimi propozycjami zaniepokojony jest belgijski episkopat, ale propozycje już niebawem mają trafić do komisji parlamentarnych. Optujący za szybszą i łatwiejszą aborcją chcieliby, aby zmiany weszły w życie jeszcze przed świętami.

GRETA MA NOBLA

Co prawda pokojowa nagroda ją jednak ominęła, ale Greta Thunberg dostała niejako „nagrodę pocieszenia". Też Nobel, też międzynarodowy, też pokojowy, ale taki dla dzieci. Przyznawany jest przez holenderską organizację KidsRight. I teraz najlepsze – szwedzka aktywistka klimatyczna nagrody nie odebrała, bo właśnie walcząc o przyszłość Ziemi, znów płynie przez ocean. Tym razem luksusowym katamaranem, nieprodukującym śladu węglowego, Greta zmierza z USA do Europy.

STRZELAJĄCY DOWÓD

W sądzie regionalnym w Ixopo w Republice Południowej Afryki toczył się proces w sprawie o napad. Dowodem w postępowaniu była strzelba. Podczas procesu dowód wniesiono na salę, ale strzelba upadła i wypaliła. 51-letnia pani adwokat została postrzelona w biodro. Rana okazała się niestety śmiertelna. ©℗

Łukasz Zboralski

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Razemowcy się rozkręcają

Jedna z razemowych posłanek pytana na Twitterze, czy po pomyśle na maksymalną emeryturę (własny projekt klubu Lewicy w sprawie 30-krotności) przyjdzie czas na maksymalną pensję, odpisała: „Tak". Mnóstwo osób uznało, że Daria Gosek-Popiołek pisze serio. Ona sama twierdzi, że był to tylko sarkazm. Tylko że pomysły razemowców na podatki, płace, prawo pracy i państwo w ogóle są tak kosmiczne, że pani poseł nie powinna się dziwić, że jej ironię uznano za plan całkowicie realny.

Razemowi neomarksiści są w stanie wygłosić absolutnie każdy absurd, głupotę i idiotyzm z pełną powagą

Od razemowców słyszałem już i o limicie podróży lotniczych, i o ograniczeniu możliwości dysponowania własnym autem, i o pensji gwarantowanej (pomysł, który nigdzie na świecie nie wypalił). Czemu zatem miałby mnie zaskakiwać pomysł pensji maksymalnej? Razemowi neomarksiści są w stanie wygłosić absolutnie każdy absurd, głupotę i idiotyzm z pełną powagą.

W swojej słynnej książce „Co widać i czego nie widać" XIX-wieczny francuski klasyk liberalizmu Frédéric Bastiat wspomniał o kategorii ludzi, „którzy uważają, że grabież przestaje być niemoralna, kiedy staje się legalna". Można odnieść wrażenie, że z takich ludzi składa się dziś w większości polski Sejm, ale razemowcy to jeszcze poziom wyżej: oni w takich okolicznościach uznaliby, że kradzież nie tylko nie jest niemoralna, lecz także wręcz jest chwalebna. ©℗

eprasa.pl e955a3d6d7

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Płonąłem żywcem. Szokujący wywiad z ofiarą niemieckiej pacyfikacji

Maciej Rosalak – **Epopeja „Czarnych Diabłów"**
Alojzy Jedamski – **Z Wehrmachtu do Maczka**
Marcin Bartnicki – **Gorzki los polskiego generała**
Michał Mackiewicz – **Czołgi II RP**
Sławomir Koper – **Seks Czesława Miłosza**
Grzegorz Janiszewski – **Brytyjscy komandosi w akcji**
Sławomir Cenckiewicz – **Pochwała niemieckich antykomunistów**
Tomasz Stańczyk – **Kulisy pogromu Żydów we Lwowie**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl e955a3d6d7

KontrrEVOlucja

FOT. HECTOR VIVAS/GETTY IMAGES

Piotr Włoczyk

Evo Morales, socjalistyczny trybun ludowy Boliwii i symbol tzw. różowej fali, marzył o wiecznej prezydenturze. Nic z tego. Prawicowa opozycja zdołała mu po 14 latach odebrać władzę

W ciągu ostatnich 14 lat historia zatoczyła w Boliwii wielkie koło. Zorganizowane w 2005 r. przez Evo Moralesa gigantyczne protesty przeciw polityce energetycznej zmusiły ówczesnego prawicowego prezydenta Carlosa Mesę do rezygnacji z urzędu. Morales, będący wówczas przywódcą rolniczych związków zawodowych oraz liderem partii Ruch na rzecz Socjalizmu (MAS), w niedługim czasie zajął miejsce Mesy. Przez 14 lat realizował swój socjalistyczny projekt, stając się, obok m.in. Hugona Cháveza, jedną ze sztandarowych postaci tzw. różowej fali, która na przełomie wieków wydawała się zalewać Amerykę Łacińską. Państwo pod jego kierownictwem znacjonalizowało zasoby ropy i gazu, a uzyskane z tego ogromne dochody przekierowane zostały w głównej mierze na rozwój regionów wiejskich. Morales stał się dla lewicy na całym świecie postacią legendarną, tym bardziej że był pierwszym prezydentem Boliwii wywodzącym się z ludności autochtonicznej – wszyscy jego poprzednicy byli pochodzenia europejskiego.

Rozwojowi gospodarczemu Boliwii i znaczącej likwidacji biedy towarzyszył jednak narastający (i pieczołowicie pielęgnowany przez Moralesa) kult jednostki wzorowany na uwielbianym przez niego samego reżimie braci Castro, coraz bardziej palący problem z korupcją oraz niepohamowany apetyt na utrzymanie się przy władzy wbrew prawu i wyraźnej woli wyborców.

Wreszcie w wyborach prezydenckich przeprowadzonych 20 października Mesa i Morales znów stanęli naprzeciwko siebie. Jednak tym razem to Evo (jak powszechnie zwany jest w swoim kraju) musiał pod wpływem olbrzymiej presji społecznej porzucić urząd prezydenta. Efektem ostatnich niepokojów w Boliwii są dziesiątki zabitych i tysiące rannych. Kraj stanął nad przepaścią.

WSTRZYMANA MACHINA

Problemy Moralesa zaczęły się jeszcze w 2016 r., kiedy Boliwijczycy jasno wypowiedzieli się w referendum przeciwko jego czwartej kadencji. Prezydent wyrzucił jednak wynik plebiscytu do kosza i za pomocą uległego mu Trybunału Konstytucyjnego otworzył sobie furtkę w prawie, która – wbrew zapisom konstytucji – pozwoliła mu stanięcie po raz czwarty do wyborów. Trybunał uznał po prostu, że wdrożenie w życie wyniku referendum „ograniczałoby prawa wyborcze urzędującego prezydenta". Ruch ten, będący jawnym podeptaniem fundamentalnych zasad demokracji, był praprzyczyną tragedii, która rozgrywa się od miesiąca na ulicach boliwijskich miast.

20 października odbyła się pierwsza tura wyborów prezydenckich, które miały dać Moralesowi upragnioną czwartą kadencję. Niespodziewanie jednak centralna komisja wyborcza zatrzymała tego dnia wieczorem na niemal dobę całą machinę liczenia głosów. Jak się bowiem okazało, prezydentowi grozi stanięcie do drugiej tury wyborów – boliwijski system wyborczy przewiduje, że kandydat może zostać prezydentem już po pierwszej turze, jeśli zdobędzie minimum 40 proc. głosów, a jego przewaga nad najbliższym rywalem wynosi ponad 10 punktów procentowych. Tymczasem po przeliczeniu 85 proc. głosów okazało się, że o ile pierwszy jest spełniony, o tyle przewaga Moralesa nad drugim kandydatem wynosiła tylko 8 punktów procentowych. Decyzja komisji wyborczej

eprasa.pl e955a3d6d7

wywołała furię prawicy i jej głównego kandydata Carlosa Mesy. Po wznowieniu liczenia głosów nagle okazało się, że Morales wygrywa już w pierwszej turze.

Największe miasta Boliwii dosłownie wybuchły. Zwolennicy i przeciwnicy prezydenta rzucili się sobie nawzajem do gardeł. Część prowincji wypowiedziała posłuszeństwo rządowi centralnemu. Kluczowy w całej sprawie okazał się raport przygotowany przez misję Organizacji Państw Amerykańskich (OPA). Stwierdzono w nim, że w trakcie liczenia głosów doszło do „poważnych nadużyć".

„W związku z problemami uwidocznionymi w czasie procesu wyborczego, lepszym rozwiązaniem byłoby zorganizowanie drugiej tury" – napisali w swoim raporcie przedstawiciele OPA.

FRANCISZEK NA POMOC

Nic nie pomogła Moralesowi ogłoszona przez niego następnego dnia decyzja o wymianie całej komisji wyborczej i obietnica powtórzenia wyborów. Cały kraj już wrzał. Posłuszeństwo wypowiadały Moralesowi kolejne prowincje przejmowane przez opozycję, a także ministrowie i siły bezpieczeństwa. Przyszłość Moralesa przesądziło stanowisko głównodowodzącego boliwijskich sił zbrojnych gen. Williamsa Kalimana, który wezwał prezydenta do ustąpienia, a opozycję do uspokojenia protestów.

– Oligarchia doprowadziła do spisku przeciw demokracji. To był zamach stanu – powiedział prezydent, zrzekając się urzędu. Zapewnił swoich sympatyków, że „walka się nie kończy", i zapowiadał, iż „niedługo" wróci do kraju z „większą siłą i energią". Azyl zaproponował mu Meksyk, który ma długą historię przyjmowania do siebie wygnanych lewicowców i komunistów („tradycja" ta sięga jeszcze czasów Lwa Trockiego, a także tysięcy żołnierzy sił republikańskich z Hiszpanii). Morales traktowany jest jak gość honorowy przez lewicowego prezydenta Meksyku Andrésa Manuela Lópeza Obradora, który – nawiasem mówiąc – sam ma olbrzymi problem z zapewnieniem bezpieczeństwa w swoim kraju. Pod jego rządami Meksyk zdaje się bowiem kapitulować przed kartelami narkotykowymi.

Sytuację w będącej beczką prochu Boliwii próbuje opanować tymczasowa prezydent Jeanine Áñez, konserwatywna pierwsza wiceprzewodnicząca senatu, która została głową państwa po tym, gdy do dymisji podali się wraz z Moralesem marszałkowie obu izb parlamentu. „Evo Morales wyjechał z własnej woli do Meksyku, ale jeśli chce wrócić do Boliwii, musi wiedzieć, że będzie odpowiadał przed sądem. W kraju czekają na niego oskarżenia o przestępstwo wyborcze i o korupcję" – powiedziała Áñez podczas pierwszej konferencji prasowej z zagranicznymi mediami. Podkreślała, że opozycja boliwijska protestuje, ponieważ nie chce, by kraj powtórzył tragiczną historię Wenezueli, Kuby czy Nikaragui, gdzie panują „totalitarne rządy".

Wojsko i policja dostały od niej niemal wolną rękę w pacyfikowaniu oporu zwolenników Moralesa, co tylko nakręca spiralę przemocy. Boliwijczycy czekają teraz na nowe wybory prezydenckie, które mają unormować sytuację w państwie. Nastrojów w kraju nie pomaga tonować sam Morales, który apeluje wprawdzie do papieża Franciszka o mediacje, ale sam w ostrych słowach zagrzewa swoich zwolenników do boju o socjalizm. I daje wyraźnie do zrozumienia, że zamierza wrócić do Boliwii i odzyskać upragnioną władzę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl e955a3d6d7

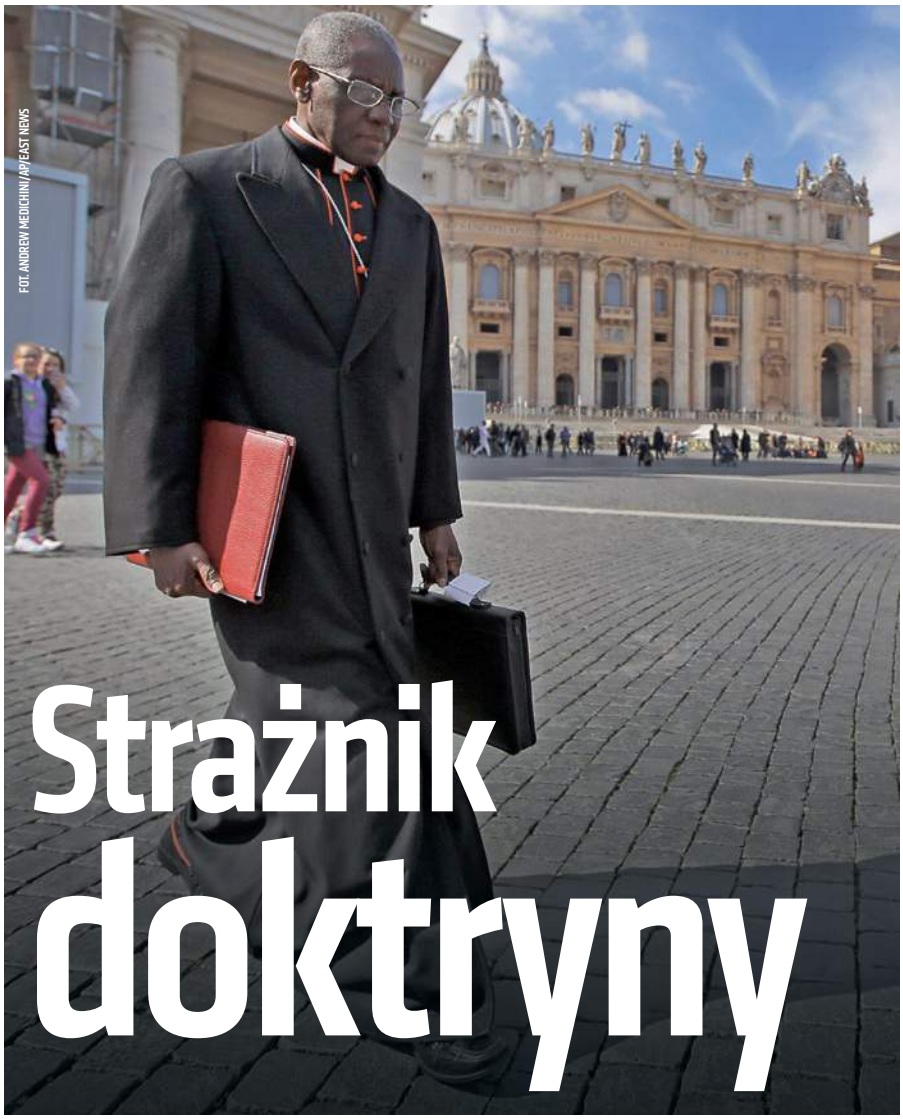

FOT. ANDREW MEDICHINI/AP/EAST NEWS

Strażnik doktryny

Tomasz Rowiński

Kardynał Robert Sarah jest jednym z ostatnich na szczytach władzy Kościoła otwartym przedstawicielem szkoły Benedykta XVI. Jego wypowiedzi, także te, które padły niedawno w Polsce, nie są na rękę bezkrytycznym entuzjastom pontyfikatu Franciszka

Wizyta w Polsce kard. Roberta Saraha nie odbiła się zbyt szerokim echem w naszych mediach, i to nie tylko świeckich. Na przykład o przyjeździe jednego z najwyższych urzędników Kościoła katolickiego nie poinformował choćby wspierający linię rewolucji w Kościele duży jezuicki portal, którym jest Deon.pl. Nie dziwi to zbyt mocno. Kardynał Sarah, choć niezwykle lojalny wobec papieża Franciszka, uchodzi za jednego z głównych przeciwników sposobu funkcjonowania Kościoła za obecnego pontyfikatu, a także zmian, których próbuje się w katolicyzmie dokonywać od kilku lat.

Robert Sarah pojawił się w Polsce na zaproszenie Rady Szkół Katolickich i w związku z ukazaniem się w naszym języku jego nowej książki zatytułowanej „Wieczór się zbliża i dzień już się chyli”. To już kolejna pozycja kardynała w ostatnich latach (inne to „Bóg albo nic”, „Moc milczenia” czy „W drodze do Niniwy”), co potwierdza w pewien sposób informacje, które docierają czasem z Watykanu, że Sarah, choć zachowuje ważne stanowisko prefekta Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, jednocześnie jest izolowany przez ekipę papieża i nie ma zbyt wiele do robienia w ramach swoich urzędowych obowiązków. Widać to szerzej w specyfice aktywności kard. Saraha w ostatnich latach – podróżuje, głosi, wzywa do nawrócenia, częściej jest chyba poza Rzymem niż w nim. Zresztą papież Franciszek, zapowiadając reformę kurii rzymskiej oraz powołując specjalną radę kardynałów ds. tej reformy, utrzymuje Kościół w stanie permanentnego stanu wyjątkowego, ręcznego sterowania i swoistej tyranii. W takiej sytuacji cała kuria jest ciałem na wpół martwym i niezbyt potrzebnym.

„ŻYJEMY W CZASACH JUDASZA”

Kolejne wypowiedzi kard. Saraha nie są na rękę bezkrytycznym entuzjastom pontyfikatu papieża Franciszka i trudno, żeby były. W kwietniu br. w wywiadzie dla francuskiej agencji I.Media całkowicie bezpardonowo przypomniał słowa kard. Josepha Ratzingera wypowiedziane niedługo przed jego wyborem na Stolicę Piotrową, kiedy to przyszły papież Benedykt XVI twierdził, że Kościół przeżywa najpoważniejszy kryzys w swej historii. Sarah do tego przypomnienia dodaje jednak coś jeszcze od siebie – dziś sytuacja jest jeszcze gorsza. Równie jednoznacznie w najbliższych współpracowników papieża wymierzone było inne zdanie: „Kościół nie jest własnością pseudoreformatorów. Nie mogą więc zmieniać Kościoła, bo on do nich nie należy”.

Artykułowanie tych uwag kardynał kontynuował w Polsce. „Kryzys w Kościele jest tak ogromny, jakbyśmy już nie wiedzieli, czego nauczać. Jakbyśmy nie mieli doktryny, objawienia i depozytu wiary. Jeden episkopat mówi jedno, drugi – drugie. Jeden biskup mówi jedno, drugi mówi coś innego, a wierni są zdezorientowani. To prawdziwy kryzys kapłaństwa”. Nietrudno domyśleć się, że była to aluzja do tak oczywistego braku jedności w Kościele jak w przypadku interpretacji adhortacji „Amoris laetitia”. Za jej pomocą niektóre episkopaty, z przyzwoleniem papieża, zaczęły dopuszczać do komunii świętej osoby, które nie żyją w swoich sakramentalnych małżeństwach, ale w nowych świeckich związkach, nie zachowując jednocześnie wymogu wstrzemięźliwości seksualnej koniecznej dla

eprasa.pl e955a3d6d7

udziału w sakramencie przyjęcia Ciała Pana. Winą za tę sytuację Kościoła kard. Sarah widzi w tym, że ludzie, którzy mają dziś decydujący głos we wspólnocie wiary... nie wierzą już w Eucharystię, w realną obecność Jezusa Chrystusa w sakramencie Ciała i Krwi. „Dziś znajdujemy się w sytuacji apostołów w Wielki Piątek. Żyjemy w czasach Judasza. Zdradzamy Jezusa jak Judasz, ale znajdujemy się na drodze do Emaus. Jesteśmy zrozpaczeni, ale w naszej rozpaczy i zamęcie przychodzi do nas Chrystus” – mówił kilka dni temu kardynał.

Gdy kard. Robert Sarah wspomniał też o problemie niszczenia liturgii jako o jednym ze źródeł kryzysu wiary, to słowa te nie były przypadkowe. Nie tylko dlatego, że jest prefektem Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, ale dlatego, że jest jednym z ostatnich na szczytach władzy Kościoła otwartym przedstawicielem szkoły kard. Ratzingera/Benedykta XVI. Jednym z głównych jej celów było nowe zintegrowanie Kościoła w całej jego tradycji i zasypanie zerwania, które się dokonało w okresie posoborowym zarówno w różnych obszarach nauczania, uprawiania teologii, jak i pomiędzy różnymi kościelnymi środowiskami. W najbardziej widoczny sposób dokonało się to zerwanie w tzw. reformie liturgicznej, którą otwarcie kard. Ratzinger krytykował, będąc już papieżem. Jednym z ważnych znaków minionego pontyfikatu, jednających Kościół wewnętrznie, było przywrócenie praw liturgii znanej jako liturgia trydencka. Obecnie Papież Franciszek podąża w stronę całkowicie odmienną, za pomocą ruchu synodalnego, który nie ma wiele wspólnego – wbrew temu, co się głosi – z głosem zwykłych wiernych, próbuje przeprowadzić błyskawiczne zmiany nawet w wielowiekowych praktykach Kościoła. Byle tylko upodobnić go do świata. I tych właśnie, którzy sterują zmianą, kard. Sarah nazywa fałszywymi reformatorami.

PROBLEM RELATYWIZMU

Kardynał Sarah, podobnie jak kard. Ratzinger, utrzymuje bliskie stosunki z przywiązanymi do starszej formy rytu rzymskiego wspólnotami benedyktynów francuskich w rodziny opactwa w Fontgombault. Jako prefekt zajmujący się Kultem Bożym usiłował już za pontyfikatu papieża Franciszka proponować i wprowadzać elementy tzw. reformy reformy, czyli wzbogacać i nasycać nową – powszechnie odprawianą w kościołach – liturgię elementami dawnego rytuału. I w tych próbach najmocniej zderzył się z papieżem Franciszkiem. Latem 2016 r., podczas konferencji „Liturgia sacra”, kard. Sarah – powołując się na przychylność papieża – zachęcił biskupów całego świata, by od Adwentu zaczęli odprawiać msze święte ad orientem – versus Deum, czyli w stylu dawnego rytu, przodem do ołtarza i tabernakulum, ale z użyciem nowych ksiąg liturgicznych, które nie określają konieczności odprawiania „przodem do ludu”, ale tyłem do Boga. Watykan zareagował jednak błyskawicznie, ks. Lombardi, rzecznik papieża, poinformował, że nie ma w planach żadnych nowych rozstrzygnięć prawnych w sprawie liturgii, a słowa kardynała – którego należy docenić za troskę o liturgię, jak kurtuazyjnie powiedział Lombardi – zostały „źle zinterpretowane”. Rzecz jasna, nie chodziło o żadną złą interpretację, wszystko było jasne.

Nieprzypadkowe jest także przywołanie przez kardynała dzisiejszej sytuacji, w której to, co jest grzechem w jednym Kościele lokalnym, nie jest nim w innym („Jeden episkopat mówi jedno, drugi – drugie”). W jednym ze swoich programowych wystąpień kard. Ratzinger nazwał relatywizm największym problemem współczesnej teologii katolickiej. Papież Benedykt stawiał bez wątpienia nacisk na konieczność odnowienia w Kościele rozumności wiary, czyli jej intelektualnego podbudowania, a także intelektualnej jedności, która powinna wynikać z jedności przynależności Kościoła do Chrystusa. I nie chodziło wcale o jakiegoś rodzaju ujednolicenie wszystkiego w Kościele, ale o jedność w sprawach zasadniczych. To, że obok jedności zasad wiary i dyscypliny papież cenił różnorodność tradycji i ich bogactwo, widzieliśmy w przełamującym schematy przyjęciu do jedności z Rzymem wspólnot anglikańskich, które przyjęły katolickie wyznanie wiary. Mogły one (jak mówi motu proprio „Anglicanorum coetibus”) zachować swoje formy liturgiczne i obyczaje pobożnościowe, które zresztą są bardzo starej daty, często poprzedzającej schizmę Henryka VIII.

WAGA DOKTRYNY

Warto zauważyć, że biograficznie kard. Robert Sarah jest przeciwieństwem zmęczonych swoim chrześcijaństwem duchownych świata zachodniego – urodził się w Ourouso w Gwinei, jego rodzice byli jeszcze poganami. W Watykanie był przewodniczącym Papieskiej Rady Cor Unum, koordynującej działania charytatywne Kościoła. Z całą pewnością należy do tego nurtu afrykańskiego Kościoła, tak bardzo samoświadomego swojego chrześcijaństwa i sprzeciwiającego się nowym pomysłom na zarządzanie wspólnotą wiary i nasączanie życia Kościoła współczesnymi ideologiami. Wzbudziło to swego czasu dalece nieelegancki gniew niemieckiego kardynała Waltera Kaspera i sprowokowało go do wypowiedzenia głośnych oraz bulwersujących słów, że „Afryka nie może nam mówić, co mamy robić”. Po tej wypowiedzi pojawiły się opinie, że kard. Kasper okazał się rasistą. Gniew był zrozumiały, jak wiadomo – to Kościół w Niemczech, choć dryfujący na granicy apostazji, uważa się za forpocztę całego katolicyzmu, czemu w praktyce przyklaskuje papież Franciszek, zgadzając się na kolejne pomysły laicyzujące główny nurt życia kościelnego.

W swojej nowej książce, która wymagałaby osobnego omówienia, kard. Sarah formułuje wniosek mający szansę na to, by stać się jednym ze słów kluczy katolików przywiązanych do tradycji. Chodzi o wyrażenie mówiące o „płynnym ateizmie”, który to ateizm, nie zaprzeczając wprost wierze, nie odrzucając wprost chrześcijaństwa, jednocześnie zrównuje chrześcijańską regułę życia z pogańskimi sposobami funkcjonowania. Konsekwencją tego zrównania jest zamieszanie, w którym wielu chrześcijan przestaje rozumieć, dlaczego miałoby kontynuować życie według nauczania Kościoła i dlaczego miałoby to mieć wpływ na ich zbawienie. Robert Sarah na pewno należy do tych, którzy uparcie o tym przypominają.

Gwinejski kardynał podczas konferencji, która miała miejsce 14 listopada w Sekretariacie Konferencji Episkopatu Polski, zostawił też przesłanie bezpośrednio skierowane do Polaków: „Trzeba trzymać się mocno doktryny, wielowiekowego nauczania Kościoła, które jest niezmienne. Nie ma zbawienia, ocalenia, jeśli człowiek nie trzyma się mocno Objawienia i doktryny. Kościół nie ma przyszłości, jeśli nie będzie się modlił. Żaden człowiek nie ma przyszłości, jeśli się nie modli. Chciałbym wam powtórzyć to samo: trzymajcie się mocno nauczania Kościoła i módlcie się”. Zatem: trzymajmy się.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e955a3d6d7

Tomasz Cukiernik

Koncern PayPal blokuje konta prawicowych klientów z Polski. Czy powód jest ideologiczny?

Pierwszą ofiarą – na początku października – stali się prawicowa Fundacja Magna Polonia oraz jej prezes Przemysław Holocher, znany działacz patriotyczny. Dwa tygodnie później amerykański koncern PayPal zerwał bez ostrzeżenia współpracę z wolnorynkowym wydawnictwem i księgarnią internetową CapitalBook. Trwałe ograniczenia nałożono też na konto PayPal połączone z kanałem na YouTube znanego publicysty Stanisława Michalkiewicza i zablokowano leżące tam pieniądze. Kto będzie następny?

„Z POWODU NARUSZENIA ZASAD"

Scenariusz w każdym przypadku jest taki sam. – Na naszą skrzynkę pocztową zaczęły przychodzić jedne po drugim takie same e-maile o zablokowaniu kont PayPal. Mieliśmy ich kilka. Informacja mówi, że PayPal trwale blokuje nasze konto bez możliwości odblokowania i że środki nam zwrócą po 180 dniach bądź później. Zacząłem się logować na te konta i faktycznie były poblokowane bez możliwości jakiegoś działania – opowiada Adam Gucwa z CapitalBook. Jedynymi opcjami kontaktu z PayPalem w Polsce są albo infolinia, albo pisanie e-maili. Holocher otrzymał e-mailową odpowiedź, że „z powodu naruszenia Zasad dopuszczalnego użytkowania systemu PayPal na Twoje konto zostały nałożone trwałe ograniczenia. Umowa z Użytkownikiem systemu PayPal stanowi, że PayPal może według własnego uznania nałożyć na konto ograniczenia z tytułu każdego naruszenia Umowy z Użytkownikiem, w tym Zasad dopuszczalnego użytkowania". Wskazano na złamanie regulaminu, nie podając jednak żadnych przykładów naruszenia punktów umowy. Za to zablokowano środki na koncie oraz zażądano usunięcia z witryny internetowej wszystkich odniesień do systemu PayPal.

Gucwa zadzwonił na infolinię. – Tam powiedziano mi, że jest specjalna komórka, która się tym zajmuje, i oni nie wiedzą, z jakiego powodu konta zostały zablokowane, nie są w stanie podać mi żadnego punktu regulaminu, który złamałem, i że decyzja jest właściwie nieodwołalna, konta już są pousuwane, a jedyne, co mogę zrobić, to napisać e-mail, ale to właściwie nie będzie miało żadnego skutku. Czyli jesteśmy trwale i do końca życia usunięci z PayPala – mówi Gucwa. – Nie podano powodu blokady, nie ma możliwości odwołania się. To jest kompletne zdziczenie, kompletny brak poszanowania – komentuje Holocher, który po blokadzie założył kolejne konto na PayPal, ale już jako osoba fizyczna. Nie wykonywał na nim żadnych operacji, po czym – dnia następnego – konto to także zostało trwale zablokowane, do czego pretekstem miało być naruszenie – za pomocą właśnie rzekomych operacji, których… nigdy nie było. Stało się jasne, że to nie działania osoby, ale sama osoba ulec miała zablokowaniu.

Żaden z pokrzywdzonych nie uzyskał odpowiedzi na pytanie, jaka była przyczyna zablokowania ich kont na PayPal. Firma nie odpowiedziała merytorycznie także na zapytanie prasowe, informując jedynie, że „ze względu na naszą politykę prywatności i ze względów bezpieczeństwa nie udzielamy informacji dotyczących kont PayPal należących do osób trzecich". Pozostają domniemania.

Praktyka pokazuje, że to problem globalny, bo w USA, Kanadzie, Izraelu czy w Wielkiej Brytanii od lat blokowane są konta. I nie są to odosobnione przypadki. Dan Schulman, prezes amerykańskiego PayPala, w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów", dodatku do „Gazety Wyborczej", opublikowanym 8 czerwca br., oświadczył: „Wiemy, że będziemy musieli zmierzyć się w sądzie z następstwem naszych decyzji o zablokowaniu kont prawicowym aktywistom. Ale nie ma naszej zgody na sianie nienawiści".

Cenzorzy biznesu

eprasa.pl e955a3d6d7

– PayPal robi to samo, co robią inne globalne koncerny. Stosuje cenzurę ideologiczną, forsuje swoje interesy polityczno-ideologiczne z brutalnym pominięciem państw narodowych. Tak jak za czasów komunizmu narzędziem komunistów była partia i zbrojne oddziały Armii Czerwonej, tak dzisiaj zbrojnym ramieniem marksizmu kulturowego są globalne koncerny, międzynarodowe korporacje i firmy – komentuje poseł Robert Winnicki, który w tej sprawie złożył interpelację do prezesa

FOT. ADOBE STOCK

Rady Ministrów, pytając o kroki, które zamierza podjąć w celu skutecznego zwalczania dyskryminujących działań firmy PayPal. „Rzecz jasna, to Pan Schulman i jemu podobni decydują, co jest mową nienawiści, a z racji tego, że wspomniane blokady nie mają nawet wytłumaczenia, należy logicznie przyjąć, iż posiadają walor ideologicznej cenzury, zmierzającej jedynie do finansowego zdławienia osób i podmiotów, które związane są z działalnością patriotyczną oraz podtrzymywaniem tradycji i tożsamości narodowej, tak obcej międzynarodowemu kapitałowi" – czytamy w interpelacji.

Kwestia poglądów to jedno. Poważną sprawą jest zaś to, że działająca na rynku międzynarodowym amerykańska korporacja świadcząca usługi na terenie Polski tysiącom ludzi nie spełnia podstawowych wymogów polskiego prawa: nie ma adresu do doręczeń, nie ma siedziby, nie ma żadnego przedstawicielstwa, nie ma właściwie możliwości kontaktu, przekazuje decyzje wyłącznie za pomocą poczty elektronicznej.

Jak bardzo PayPal zaszkodził interesom poblokowanych wydawnictw? Przez lata wiele podmiotów opierało i wciąż opiera swe istnienie na usługach tej firmy. Odcięcie Polaków i polskich podmiotów od finansowego wsparcia swych sympatyków, w szczególności Polonii, może doprowadzić do zachwiania ich kondycji finansowej.

Fundacja Magna Polonia poinformowała, że czeka ją „zapewne długa batalia z firmą, która działa na naszą szkodę i na szkodę polskiej gospodarki. Jako fundacja zatrudniamy bowiem ludzi, opłacamy drukarnie, współpracujemy z wieloma kontrahentami, a przez działanie totalitarystów z PayPal nasza sytuacja finansowa ulegnie pogorszeniu". W przypadku CapitalBook PayPal miał ok. 20–30 proc. udziału w całości sprzedaży. Jednak obsługiwał aż 99 proc. Polaków z zagranicy. – Polonia z USA, Kanady czy Australii zamawiała u nas towar i płaciła niemal wyłącznie PayPalem. Teraz ciężko będzie znaleźć jakieś alternatywne narzędzie, które by jej pozwoliło na kupowanie polskich książek. Bo jednak jeśli chodzi o płatności z zagranicy, to PayPal wygrywa zdecydowanie z tradycyjnymi przelewami – mówi Gucwa.

POGRZEBALI WIARYGODNOŚĆ?

– Będziemy wyczerpywać wszelkie możliwe drogi, natomiast mamy świadomość tego, że to nic nie da. Jednak uważam, że organy państwa powinny się tym zająć. Bo problem dotyczy wielu korporacji międzynarodowych, które działają na terenie Polski, czerpią z tego korzyści, a tak naprawdę nie podlegają przepisom polskiego prawa i nie płacą w Polsce podatków – mówi Gucwa, dodając, że państwo powinno stać na straży bezpieczeństwa obrotu, a firmy PayPal, choć w Polsce funkcjonuje, de facto tu nie ma.

Biuro Rzecznika Finansowego podpowiada poszkodowanym, że właściwy będzie „Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumenta, który może uznać taką sytuację np. za działanie przedsiębiorcy sprzeczne z prawem lub dobrymi obyczajami, które zagrażają lub naruszają interes innych przedsiębiorców, co stanowiłoby czyn nieuczciwej konkurencji".

Poseł Winnicki uważa, że z procederem cały czas postępującej lewicowo-liberalnej cenzury ideologicznej powinno walczyć państwo narodowe. – Państwo realnie suwerenne musi w każdym takim przypadku reagować bardzo zdecydowanie. To znaczy albo dana firma stosuje się do reguł panujących na rynku i nie dyskryminuje tych, którzy nie łamią polskiego prawa, albo żegna się z polskim rynkiem. Zasady muszą być bardzo twarde i jednoznacznie egzekwowane – mówi poseł Winnicki. – Dzisiaj w USA trwa poważna debata nad tym, czy nie należy podzielić antymonopolistycznie Facebooka, Google, wykupionego przez Google YouTube. Dotyczy to również PayPala. Państwo musi stosować takie zabiegi, musi bronić konkurencji na rynku, w tym przestrzegania prawa, jeśli ma nie dojść do skandalicznego dyktatu globalnych korporacji – dodaje.

Tymczasem Komisja Nadzoru Finansowego przyznaje, że PayPal „to instytucja kredytowa z Luksemburga działająca transgranicznie, a więc bez fizycznej obecności w Polsce. Podmiot ten jest więc poza jurysdykcją polską i poza władztwem KNF. W przypadku ewentualnego stwierdzenia naruszeń interesów polskich użytkowników KNF może co najwyżej wystąpić do nadzorcy luksemburskiego (CSSF) z prośbą o zbadanie sprawy i podjęcie stosownych działań".

Ministerstwo Finansów wyjaśnia, że działalność PayPala „jest podejmowana w ramach wspólnotowej swobody świadczenia usług, przy wykorzystaniu zasady jednego paszportu europejskiego, polegającej na tym, że instytucja kredytowa, która otrzymała zezwolenie (licencję) na prowadzenie działalności bankowej w jednym z państw członkowskich, nie musi uzyskiwać dodatkowych zezwoleń na prowadzenie takiej działalności w innych państwach członkowskich".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e955a3d6d7

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polska goni „czołówkę"

Coraz więcej wskazuje na to, że rząd Polski nie pogodził się z przecież i tak nie niskim, bo trzecim miejscem Polski wśród państw Unii Europejskiej, które w 2018 r. najbardziej zwiększyły swoim obywatelom obciążenia fiskalne.

Tytułem wstępu: Europie, od dekad cierpiącej na skłonność do mnożenia transferów socjalnych, a więc i windowania podatków, z których się je finansuje, ostatnio również w tej mierze znacznie się pogorszyło – na co zwrócił uwagę Krzysztof Kolany, analityk Bankier.pl. Według danych Eurostatu rok 2018 był trzeci z rzędu, gdy w krajach UE rósł poziom fiskalizmu, liczony jako udział podatków i składek na ubezpieczenie społeczne w PKB. W 2018 r. było to średnio w UE 40,3 proc. PKB, wobec 40,2 proc. w 2017 r. i 39,9 proc. w 2016 r. (w 2008 r. średnia ta dla całej Unii wynosiła „zaledwie" 39,2 proc. PKB; dla porównania – w nienależącej do UE Szwajcarii wynosi dziś 28,1 proc.). Wszelako, jak to ze średnimi bywa, i ta nie mówi całej prawdy. A ta jest taka, że największy fiskalizm w UE panuje dziś we Francji, gdzie obciążenia fiskalne wynoszą 48,8 proc. PKB, i w Belgii (47,2 proc.), a najmniejszy w Bułgarii (29,9 proc.) i na Litwie (30,5 proc.).

Polska ze swym fiskalizmem na poziomie 36,1 proc. PKB plasuje się, niestety, coraz bliżej środka stawki, choć jeszcze po tej jej lepszej, czyli mniej obciążającej obywateli, stronie. To się jednak może wkrótce zmienić, bo rząd od lat goni „czołówkę", i to w tempie, które – jak wspomniałem – zapewniło Polsce trzecie miejsce pośród wszystkich państw UE (wzrost fiskalizmu w 2018 r. w porównaniu z 2017 o 1,1 pkt proc.), tuż za „zwycięskimi" Luksemburgiem i Rumunią. A wszystko to „dzięki" wzrostowi wysokości istniejących podatków lub wprowadzeniu nowych: bankowego, recyklingowego, wodnego, paliwowego, od centrów handlowych i biurowców, od wynajmu mieszkań i daniny solidarnościowej.

A teraz może być „jeszcze szybciej i więcej", bo energia, z jaką nowy rząd przystąpił do ofensywy w tej sprawie, naprawdę robi wrażenie. Najpierw, jeszcze zanim zdążył się ukonstytuować, w Sejmie znalazł się projekt ustawy znoszącej limit zarobków w wysokości 30-krotności średniej pensji, po przekroczeniu którego nie płaci się składek do ZUS (5 mld zł rocznie od podatników) – na szczęście szybko, z braku poparcia, został wycofany. Dzień później do Sejmu trafił projekt ustawy o podniesieniu od 2020 r. o 10 proc. akcyzy na wyroby alkoholowe i tytoniowe (1,7 mld zł rocznie od podatników). W tym samym czasie pojawiła się informacja, że od przyszłego roku mogą też zostać „ozusowione" wszystkie umowy-zlecenia (3 mld zł rocznie od podatników).

A tymczasem na Węgrzech... A tymczasem na Węgrzech w 2018 r. – w stosunku do 2017 r. – obniżono poziom fiskalizmu o 0,8 pkt proc. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Przyszłość polityki

Ten felieton ma wymowę satyryczną i jakiekolwiek podobieństwo jego bohaterów do ludzi z krwi, kości oraz silikonu jest przypadkowe oraz całkowicie niezamierzone.

Gdy w 2019 r. pojawiły się informacje, że celebryci – ludzie znani z tego, że są znani – za jedną fotkę na Instagramie otrzymują od 100 do 500 tys. zł, niewielu zdawało sobie sprawę, że to zapowiedź radykalnych zmian politycznych. Bo przecież jest poważna różnica między Powiatowym lub Rodzynką a premierem rządu. Tak było, ale się zmieniło.

Dzisiaj, w 2035 r., nikogo nie dziwi, gdy przed wyborami do Sejmu, na WeChatGramie, największej globalnej sieci społecznościowej, pojawiają się zdjęcia pośladków kandydatów na premiera rządu. Badania pokazały, że korelacja między popularnością zdjęć pośladków a wynikami wyborów wynosi 0,76. Plotka głosi, że kandydat partii Lewica Przyszłości przeszedł operację ass-liftingu i jego wydepilowane fotki budzą powszechny podziw. Dzięki temu jest faworytem w nadchodzących wyborach.

Casting na ministry (dawniej mówiliśmy ministrów) jest jeszcze bardziej skomplikowany. Kluczowe kompetencje to odniesienie sukcesu w programach „Szefowa", „Top burdel" i „Tany-tany". W poprzednich wyborach sukces odniosła Gryzelda Pająk, która obskoczyła wszystkie trzy programy: jej wegański omlet przypadł do gustu Grubej Brombie, zrobiła szpagat bez majtek i wykonała ekologiczny piard (ang. fart). To wystarczyło, żeby głosowało na nią ponad 50 proc. wyborców. Obecnie majątek zbijają właściciele szkół, które przygotowują do kariery w polityce. Do mediów wyciekł program najbardziej prestiżowej szkoły: (1) pośladki i cycki w kreowaniu popularnego wizerunku na WeChatGramie; (2) zmieniające się granice w budowaniu popularności i wiarygodności (np. publiczne oblanie się wiadrem zimnej wody, zjedzenie kociej kupy itp.); (3) skuteczny dobór stroju i makijażu do docelowej funkcji politycznej etc.

Spójrzmy na statystyki ustępującego rządu kadencji 2031–2035. Premierem był youtuber, który zdobył oszałamiającą liczbę followersów na WeChatGramie – ponad 7 mln. Największą popularność miały fotki z posiedzeń rządu, które prowadził w fioletowych stringach, bujając się w hamaku. Wśród ministrów było pięciu innych youtuberów, siedmioro aktorów i aktorek, dwie pogodynki, trzech mistrzów olimpijskich w sportach indywidualnych i zespołowych, znany piłkarz i lider zespołu disco polo.

Ludzie gapią się w ekran smartfona, bezmyślnie przesuwając zdjęcia, a celem życia stało się zdobycie promocji „dwa w cenie jednego" i uzyskanie jak największej liczby lajków i followersów. Każdy chce zostać youtuberem. Taki mamy klimat. I taką będziemy mieli demokrację. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl e955a3d6d7

PRENUMERATA 2020 w cenie 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ
W APLIKACJI

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
T. KOWALIK
i P. SŁOWIŃSKI
"DRAGI I WOJNA"

~~633~~ZŁ **242,00**ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ – 391ZŁ

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ
W APLIKACJI

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
JAN I MAŁGORZATA ŻARYN
"ROK 1939. OD BEZTROSKI DO TRAGEDII"

~~356~~ZŁ **138,00**ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ – 218ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl e955a3d6d7

TEST „DO RZECZY": PANASONIC LUMIX S1

Niesamowita jakość zdjęć, możliwość nagrywania świetnych filmów w rozdzielczości 4K oraz skuteczna stabilizacja obrazu – to największe zalety pełnoklatkowego bezlusterkowca japońskiej firmy Panasonic.

Testowany model na pierwszy rzut oka robi wrażenie solidnego sprzętu. Masywny, porządnie wykonany korpus, zbudowany ze stopów magnezu, oraz spora waga (1021 g) sprawiają, że model S1 można pomylić z tradycyjnie większymi lustrzankami.

Japończycy podkreślają, że korpus został przystosowany do pracy w trudnych warunkach – jest odporny na zachlapania, a zdjęcia można nim robić nawet, gdy na zewnątrz temperatura oscyluje w okolicach –10 st. C. Z myślą o profesjonalistach Japończycy zamontowali także dwa sloty na szybkie karty pamięci (SD + XQD), a także dużą liczbę przycisków, które pozwalają na łatwą obsługę aparatu bez konieczności odrywania wzroku od wizjera i zaglądania do menu.

Komfort pracy zwiększa świetny, duży wizjer z ekranem OLED o rozdzielczości wynoszącej aż 5,76 mln punktów z odświeżaniem 120 kl./s. Do kadrowania można też użyć dotykowego ekranu o przekątnej 3 cale i rozdzielczości 2,1 mln punktów. Jest on stosunkowo jasny. Szkoda jednak, że maksymalny kąt obrotu wynosi zaledwie 60

stopni. Do dyspozycji są też szybki port USB typu C oraz wyjście HDMI.

Sercem testowanego aparatu jest 24,2-megapikselowa matryca wielkości 35,6 mm x 23,8 mm, bez filtra dolnoprzepustowego, oraz procesor Venus Engine. Aparat został też wyposażony w znakomitą pięcioosiową podwójną stabilizację obrazu. Taki zestaw cech – w połączeniu z np. użytym w testach profesjonalnym obiektywem 50 mm f/1.4 – pozwala na robienie zdjęć bardzo wysokiej jakości. Kolory są naturalne, szumy bardzo niewielkie, a zdjęcia pełne detali (w JPEG i RAW), nawet jeśli fotografujemy w słabych warunkach oświetleniowych.

Wykorzystujący detekcję kontrastu autofokus jest bardzo często precyzyjny oraz szybki (Japończycy chwalą się, że S1 ustawia ostrość w zaledwie 0,08 s). Niekiedy bywa jednak zawodny, przez co niektóre ujęcia przy obróbce okazują się nieostre i muszą trafić do kosza. Myli się zwłaszcza system śledzenia ludzkiej twarzy, oczu i zwierząt (np. kotów i psów) – podczas krótkiego testu w trybie śledzenia kilkukrotnie autofokus zgubił śledzony obiekt i zamiast na nim skupił się na tle.

Gdy uporamy się z autofokusem, Lumix S1 potrafi nagrać świetnej jakości obraz 4K z szybkością 30 kl./s z wykorzystaniem całej matrycy lub 60 kl./s przy przycięciu obrazu. Aby sprzęt lepiej spełniał potrzeby filmowców, w korpusie umieszczono także port mikrofonu oraz wyjście słuchawek 3,5 mm.

Bateria, mimo że dość pojemna, nie starcza na zbyt długo. Warto więc od razu dokupić zapasowy akumulator (choć plusem jest możliwość ładowania przez USB, czyli także za pomocą powerbanku).

Stosunek ceny do jakości tak solidnie wykonanego aparatu jest bardzo dobry. Nie zmienia to tego, że Lumix S1 jest wciąż koszmarnie drogi. Za sam korpus (bez obiektywów) trzeba obecnie zapłacić 10 249 zł. ©℗

Jacek Przybylski

KIESZONKOWA KAMERA 4K

Rynek miniaturowych kamer 4K obfituje w kolejne nowe urządzenia, których producenci starają się zdystansować rywali dodatkiem kilku drobnych tak naprawdę technologii i – to akurat plus – obniżając cenę. Do tego rodzaju gadżetów należy Capture Pocket, czyli ręczny, stabilizowany aparat fotograficzny 4K, sterowany głosem i dość przystępny cenowo.

Urządzenie jest rzeczywiście niewielkich rozmiarów, zmieści się w kieszeni obok smartfona, a dołączony do niego zewnętrzny mikrofon pozwoli nie tylko na nagrywanie komentarzy do filmików, lecz także sterowanie głosowe. À propos samej kamery, współczynniki nie są złe: 4K i 60 fps, ekran oczywiście dotykowy. Ma też pełny 3-osiowy stabilizator elektroniczny, dużą wbudowaną baterię i niezłej klasy komponenty, np. czujnik Sony IMX378. Obsługuje Wi-Fi i zewnętrzne mikrofony, można też zamontować ją na statywie. Kilka programów nagrywania, obok zwykłych zdjęć i filmów także filmy w zwolnionym tempie i tzw. wideo poklatkowe.

Można zamawiać na portalu Kickstarter w cenie ok. 450 zł, dostawa w lutym.

KLOCKI DLA MAŁOLATÓW

Idą święta, więc czas pomyśleć o maluchach, zwłaszcza tych, które jeszcze wierzą w Gwiazdora czy Świętego Mikołaja. Przy tej okazji warto wspomnieć o PleIQ, czyli edukacyjnych multiklockach dla dzieciaczków w wieku od trzech do ośmiu lat.

Generalnie cała zabawa polega na zsynchronizowaniu klocków z tabletem. Na specjalnej aplikacji dzieciaki oglądają bajki i filmy z animowanymi bohaterami – bajki oczywiście edukacyjne, które wymagają też od malucha interakcji, czyli układania klocków w odpowiedni sposób. To, jak to robią, mogą także obejrzeć w animacji, a sposób wykonania zadania wpływa na to, co oglądamy i co spotyka bohaterów. Pomysłów, akcji i filmów jest sporo, zabawa gwarantowana na jakiś czas – przynajmniej do momentu, w którym maluch nie uzna, że jednak woli łupać w „Diablo" czy inny „World of Warcraft".

Świąteczna cena klocków to ok. 140 zł, dostawa w grudniu, a zamawiać można na Kickstarterze. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl e955a3d6d7

RAPORT

CUKRZYCA 2019:

profilaktyka, monitorowanie, leczenie

- 3 mln osób w Polsce choruje na cukrzycę, w 2030 r. może to być 5 mln
- Zawały serca i udary mózgu mają trzy–cztery razy częściej osoby z cukrzycą
- Jedna trzecia osób z cukrzycą ma retinopatię cukrzycową
- Przewlekła choroba nerek występuje 10 razy częściej u osób z cukrzycą

Boehringer Ingelheim

SED

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl e955a3d6d7

FOT. ADOBE STOCK

9 faktów, których nie można lekceważyć

Katarzyna Pinkosz

To jedna z chorób, którą często „fundujemy" sobie stylem życia. Nie wiedząc, że konsekwencjami „zniewolenia przez zleniwienie" mogą być zawał serca, udar mózgu, retinopatia cukrzycowa, amputacja stopy i życie krótsze nawet o 12 lat

Na początek sprostowanie: nie zawsze cukrzyca jest konsekwencją stylu życia. Typ 1 to choroba autoimmunologiczna, na którą może zachorować osoba szczupła, zdrowo się odżywiająca i uprawiająca sport (jak choćby mistrz olimpijski Michał Jeliński). Zdarza się również (choć rzadko), że na cukrzycę typu 2 chorują osoby szczupłe. Z kolei typ MODY cukrzycy jest uwarunkowany genetycznie. Jednak cukrzyca typu 2 – o której dziś mówi się już nie tylko jako o epidemii, lecz wręcz pandemii – w zdecydowanej większości przypadków jest spowodowana stylem życia: brakiem aktywności fizycznej, otyłością i niezdrowym odżywianiem.

1. Choruje więcej osób, niż przewidywano

Najnowsze raporty (pierwszy został opracowywany przez NFZ, drugi przez Polską Akademię Nauk przy współpracy m.in. Ministerstwa Cyfryzacji i NFZ) wykazały, że w Polsce jest już 3 mln chorych na cukrzycę. Co piąta osoba nie wie, że choruje. – Zachorowalność rośnie o 3,7 proc. rocznie, z czego 1,2 proc. to wynik starzenia się społeczeństwa, a 2,5 proc. to głównie efekt wzrostu liczby osób z nadwagą i otyłością. Cukrzyca to jeden z „najszybciej pędzących pociągów" – mówi prof. Tomasz Zdrojewski, jeden z autorów raportu Polskiej Akademii Nauk (PAN). Jeśli nic się nie zmieni, w 2030 r. cukrzycę może mieć nawet 5 mln Polaków.

– Jak najprościej skomentować te liczby? Człowiek zapomniał, do czego służą mu… nogi. Zwykły ruch to najlepsza, najzdrowsza metabolicznie aktywność fizyczna, którą powinniśmy podejmować. A sami się jej pozbawiamy: mamy coraz bardziej automatyczne samochody,

eprasa.pl e955a3d6d7

schody ruchome, zmywarka nam zmywa, pralka pierze, nawet poruszamy się już elektrycznymi hulajnogami i rowerami. Zapętliliśmy się w e-działaniach, które powodują, że coraz częściej dosięga nas „zniewolenie przez zleniwienie fizyczne".

Konieczne jest co najmniej 30 minut aktywności fizycznej dziennie, takiej jak np. szybki spacer, jazda na rowerze – mówi prof. Dorota Zozulińska-Ziółkiewicz, prezes Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego.

2. Najważniejszy cel: zapobieganie

Najważniejsze jest zapobieganie otyłości i zwiększenie aktywności fizycznej. – Bez zmniejszenia liczby zachorowań „6 proc. PKB na zdrowie" nie wystarczy na poradzenie sobie z leczeniem cukrzycy. Musimy poprawić profilaktykę – podkreśla Adam Niedzielski, prezes NFZ. Na stronach diety.nfz.gov.pl można już dziś znaleźć propozycje jadłospisów opartych na polecanej przez kardiologów i diabetologów diecie DASH. NFZ prowadzi też akcję „NieCukrz", która m.in. uświadamia, jak wiele ukrytego cukru znajduje się w produktach żywnościowych. – Namawiamy też rząd, by cukier stał się kwestią poważnej interwencji podatkowej – dodaje prezes Niedzielski. Chodzi o wprowadzenie tzw. podatku cukrowego, który spowoduje, że np. słodzone napoje będą droższe, co ma zniechęcać do ich kupowania. Jest też pomysł presji na producentów, by lepiej oznaczali na swoich produktach zawartość cukru, soli i tłuszczów, a przede wszystkim ją obniżyli.

3. Skraca życie o 6–12 lat

Wysoki poziom cukru „nie boli", dlatego wiele osób nie wie, że choruje. Podstawą jest sprawdzanie poziomu glukozy we krwi od 45. roku życia (co trzy lata, a osoby z grup ryzyka: co rok). Czynniki ryzyka to m.in. nadwaga i otyłość. Mimo że cukrzyca nie daje objawów, systematycznie uszkadza naczynia krwionośne, prowadząc do powikłań. Najpoważniejsze to: miażdżyca, zawał serca, udar mózgu, niewydolność serca, uszkodzenie wzroku, nerek, nerwów czuciowych, prowadzące m.in. do zespołu stopy cukrzycowej.

Wiele osób, nawet już mając zdiagnozowaną chorobę, lekceważy ją. – Źle leczona cukrzyca prowadzi do katastrofalnych powikłań, czyni z ludzi zdrowych osoby niemogące samodzielnie funkcjonować, wymagające opieki – mówi Anna Śliwińska, prezes Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków. Powikłania sercowo-naczyniowe oraz nerkowe skracają życie chorego średnio o sześć lat. Jeśli miał zawał czy udar mózgu, to nawet o 12 lat.

4. Nie jest jedną chorobą

Cukrzyca typu 1 to choroba autoimmunologiczna, mogą ją mieć także osoby szczupłe. Organizm atakuje komórki beta trzustki produkujące insulinę, dlatego trzeba podawać insulinę. Przyczyny zachorowania nie są do końca znane: to splot czynników genetycznych i środowiskowych.

Jednak również cukrzyca typu 2 nie jest jedną chorobą. Każdy choruje nieco inaczej, w zależności od wieku, stanu zdrowia, a także pewnych uwarunkowań genetycznych. U niektórych osób choroba postępuje wolniej, u innych szybciej, jedni rozwijają powikłania kardiologiczne, inni nerkowe, a jeszcze inni np. oczne. – Optymalne leczenie wyglądałoby tak: wykonujemy pacjentowi badania, sprawdzamy jego profil genetyczny; jeśli np. okazuje się, że jest bardzo zagrożony uszkodzeniem nerek, to w leczeniu na tym się koncentrujemy. Badania genetyczne w wielu przypadkach mogą odpowiedzieć na pytanie, jak cukrzyca będzie się rozwijała, jakie mogą być powikłania i jakie leczenie trzeba zastosować – mówi prof. Leszek Czupryniak, kierujący Kliniką Diabetologii i Chorób Wewnętrznych WUM.

5. Aktywność i zdrowa dieta to podstawa

Najlepsze leki nie pomogą, jeśli chory nadal będzie jadł za dużo i się nie ruszał. – Ruch jest podstawą leczenia. Pomaga normalizować glikemię, zapobiega otyłości, pozwala zmniejszyć dawkę leków. Można uprawiać sport, mając cukrzycę. Już w kwietniu zapraszamy na trzecie mistrzostwa Polski MTB kolarzy z cukrzycą, w których będą uczestniczyć lekarze, edukatorzy, pacjenci – dodaje prof. Zozulińska-Ziółkiewicz.

6. Monitorowanie i leczenie cukrzycy bardzo się zmienia

Nowe systemy monitorowania cukrzycy, takie jak CGM (systemy do ciągłego monitorowania poziomu glukozy, sprzężone z pompą insulinową) oraz FGM (systemy skanujące), powoli wypierają glukometry w cukrzycy typu 1 (więcej na ten temat na **str. 88**).

Jednak również glukometry są coraz dokładniejsze. – Coraz rzadziej oglądam dzienniczki samokontroli, dostaję dane z glukometrów pacjentów, analizujemy je wspólnie z pacjentem. Patrzymy, jaka była średnia glikemia, najwyższa, najniższa, ile było pomiarów. Dzięki temu możemy lepiej dostosować leczenie – mówi prof. Zozulińska-Ziółkiewicz.

Leczenie cukrzycy typu 1 bardzo zmieniła też możliwość stosowania pomp insulinowych (korzysta z nich coraz więcej pacjentów) i nowych rodzajów insulin. Nowe leki zmieniają też rokowanie chorych na cukrzycę typu 2 (więcej na ten temat na str. **86–87**).

7. W Polsce rośnie liczba amputacji spowodowanych cukrzycą

Za miernik poziomu opieki diabetologicznej często uznaje się liczbę amputacji z powodu zespołu stopy cukrzycowej. Raport NFZ nie napawa optymizmem: od 2014 do 2018 r. liczba amputacji z powodu cukrzycy w Polsce wzrosła o ponad 20 proc. O stanie opieki świadczy to, że w roku poprzedzającym 37 proc. osób, które miały amputację, w ogóle nie było u lekarza z powodu cukrzycy, a aż 77 proc. nie było w poradni diabetologicznej.

8. Rośnie liczba zachorowań także na cukrzycę typu 1

Polska jest jednym z liderów w Europie wzrostu zachorowań. Rośnie liczba zarówno chorych dzieci, jak i młodych dorosłych.

9. Leczenie jest bardzo drogie: i dla pacjenta, i dla NFZ

Autorzy raportów po raz pierwszy obliczyli całościowe koszty diagnostyki i leczenia cukrzycy, a także jej powikłań. – Roczne koszty diagnostyki i leczenia to 3 mld zł, a koszty leczenia powikłań w postaci zawału serca czy udaru mózgu u osób z cukrzycą to kolejne 3 mld zł. Dodatkowo pacjenci dopłacają 2,5 mld zł – średnio każdy ok. 1,3 tys. zł rocznie – dodaje prof. Zdrojewski.

Eksperci podkreślają, że nasz system ochrony zdrowia nie udźwignie zwiększających się kosztów leczenia. Jedynym wyjściem jest zmniejszenie liczby zachorowań oraz lepsze leczenie, by zapobiec powikłaniom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e955a3d6d7

Katarzyna Pinkosz

Jest przełom

Od listopada na listach refundacyjnych pojawiły się flozyny: leki przeciwcukrzycowe o nowatorskim działaniu. Na razie tylko dla części pacjentów, jednak jest to ważny przełom w leczeniu cukrzycy typu 2

Na tę zmianę w leczeniu cukrzycy typu 2 diabetolodzy i chorzy na cukrzycę czekali bardzo długo. – Polska pozostawała na szarym końcu w Europie pod względem refundacji leków w cukrzycy typu 2, od wielu lat nic się nie działo. Na wejście flozyn do refundacji czekaliśmy aż siedem lat. To pierwsze nowoczesne leki, które weszły na listę refundacyjną, co jest ogromnym przełomem, za który jesteśmy bardzo wdzięczni – mówi Anna Śliwińska, prezes Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków.

Pojawienie się flozyn w refundacji cieszy środowisko diabetologiczne. – W ostatnich latach w Polsce bardzo wiele dobrego działo się dla chorych na cukrzycę typu 1. Pacjenci z cukrzycą typu 2 czuli wręcz pewną niesprawiedliwość, że dla nich nie są refundowane żadne nowoczesne leki, które w ich przypadku zmieniają rokowanie. Chodzi o dwie grupy leków: flozyny oraz analogi GLP-1. Byliśmy w ogonie Europy, już nawet Albania te leki refundowała – potwierdza prof. Dorota Zozulińska-Ziółkiewicz, prezes Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego, kierownik Katedry i Kliniki Chorób Wewnętrznych i Diabetologii Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu oraz Oddziału Diabetologii i Chorób Wewnętrznych Szpitala Miejskiego im. Franciszka Raszei w Poznaniu.

Możliwość stosowania nowych leków w cukrzycy typu 2 jest bardzo istotna. Badania kliniczne niektórych z nich wykazały, że nie tylko powodują one obniżenie poziomu cukru we krwi, lecz także przede wszystkim chronią przed powikłaniami cukrzycy, zwłaszcza tymi, które ewidentnie skracają życie, czyli sercowo-naczyniowymi (zawał serca, udar mózgu, niewydolność serca) oraz nerkowymi (niewydolność nerek). Badania kliniczne niektórych leków wykazały również wydłużenie życia pacjentów, którzy je stosują.

NOWY CEL LECZENIA

Cukrzycy typu 2 na razie nie można wyleczyć. Dzięki nowym lekom, uznawanym wręcz za przełomowe, można ją jednak leczyć skuteczniej. Ma to ogromne znaczenie, ponieważ źle leczona cukrzyca skraca życie o 6–12 lat. Już od kilku lat diabetolodzy mówią o zmianie celu leczenia cukrzycy. Nie jest nim już tylko obniżenie poziomu cukru we krwi. – Oczywiście ważne jest, żeby u chorego wyrównać glikemię, a także ciśnienie tętnicze, poziom lipidów oraz obniżyć masę ciała. Jednak nie są to cele same w sobie: one mają prowadzić do zmniejszenia liczby powikłań, przede wszystkim sercowo-naczyniowych, gdyż to one w największym stopniu skracają życie – mówi prof. Edward Franek, kierownik Kliniki Chorób Wewnętrznych, Endokrynologii i Diabetologii Centralnego Szpital MSWiA w Warszawie.

Nowe leki przeciwcukrzycowe z dwóch grup – flozyn oraz analogów GLP-1 – zmniejszają częstość powikłań sercowo-naczyniowych i obniżają ryzyko przedwczesnego zgonu. – Wyrównują poziom glukozy we krwi, a także mają

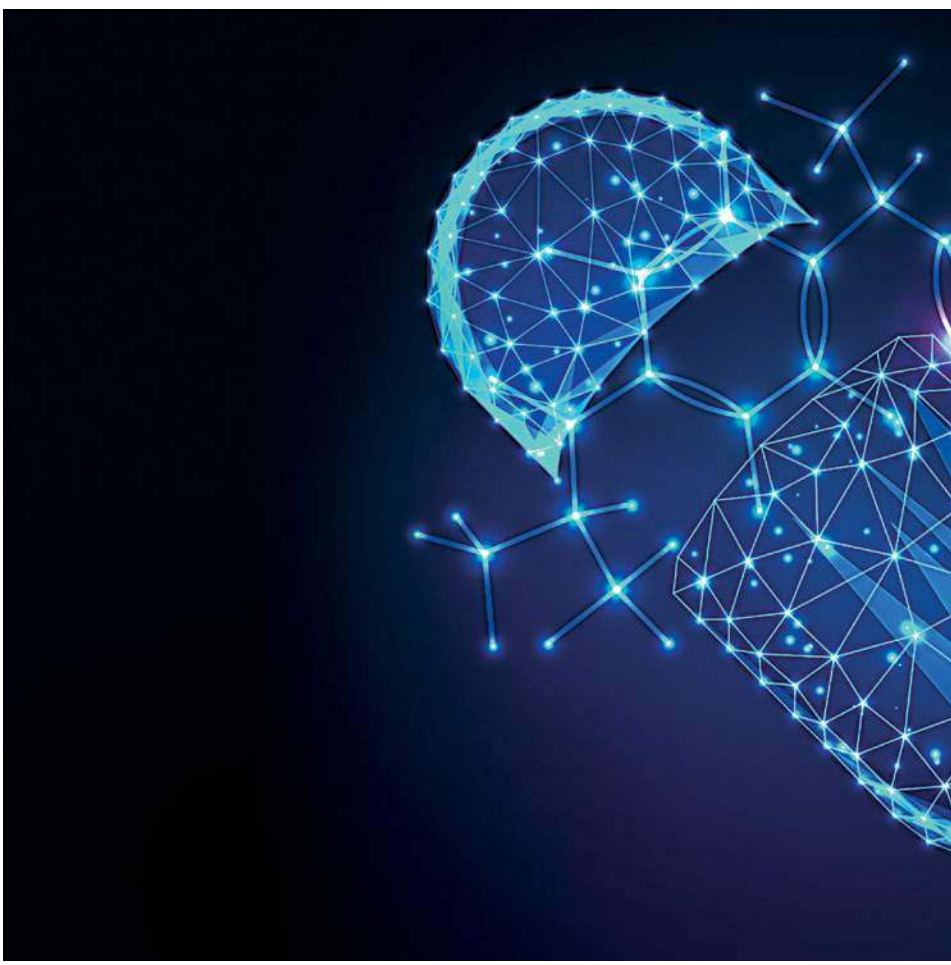

eprasa.pl e955a3d6d7

dodatkowe działanie, np. obniżają ciśnienie tętnicze i poziom lipidów. Nie to jednak jest najważniejsze, lecz fakt, że nowe terapie powodują zmniejszenie częstości powikłań sercowo-naczyniowych i nerkowych, co zostało udowodnione w badaniach klinicznych – potwierdza prof. Franek.

CUKIER UCIEKA Z MOCZEM

Mechanizm działania flozyn jest unikalny: powodują one przechodzenie cukru do moczu. Wraz z nim pacjent pozbywa się więc nadmiaru glukozy. Dzięki temu jej poziom we krwi spada, a dodatkowo chory traci też kalorie, a więc chudnie.

FOT. ADOBE STOCK

Flozyny nie powodują ryzyka pojawienia się hipoglikemii, czyli niedocukrzenia, co zdarza się przy stosowaniu pochodnych sulfonylomocznika czy insuliny. W przeciwieństwie do leczenia insuliną flozyny nie prowadzą do przyrostu masy ciała, a wręcz przeciwnie – zaczyna ona spadać.

– Są dowody naukowe, że przyjmowanie flozyn przez chorych na cukrzycę typu 2, szczególnie tych, którzy mają choroby układu sercowo-naczyniowego albo bardzo duże ryzyko rozwinięcia się tych chorób lub przewlekłą chorobą nerek, przyczynia się do zmniejszenia ryzyka incydentów sercowo-naczyniowych: zawału serca, udaru mózgu. Dla niektórych z nich są nawet dowody, że wydłużają życie – mówi prof. Zozulińska.

W Polsce od listopada leki te są refundowane dla tych pacjentów z bardzo wysokim ryzykiem sercowo-naczyniowym, u których przyjmowanie dwóch doustnych leków przeciwcukrzycowych (metforminy i pochodnych sulfonylomocznika) przez co najmniej pół roku okazało się nieskuteczne. To znaczy: poziom hemoglobiny glikowanej (HbA1c), który jest wskaźnikiem długofalowego wyrównania cukrzycy, wynosi powyżej 8 proc. Taki poziom świadczy o złym wyrównaniu cukrzycy i dużym ryzyku powikłań. – Wzbogaciliśmy kolejną linię leczenia dla chorych z cukrzycą typu 2 o kolejne leki doustne, które mogą opóźnić przejście na insulinę. Teraz schemat leczenia będzie dużo lepszy. Oczekujemy na duże efekty kliniczne: mniej powikłań cukrzycy, zwłaszcza sercowo-naczyniowych, a w związku z tym wydłużenie czasu życia – mówi wiceminister Maciej Miłkowski, odpowiedzialny za refundację leków.

OTWARTE DRZWI

Diabetolodzy mają nadzieję na poszerzenie w przyszłości grupy chorych w Polsce leczonych flozynami. – Zalecenia towarzystw diabetologicznych, amerykańskiego i europejskiego, a w ślad za nim Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego, są takie, że zaczynamy leczenie chorych na cukrzycę typu 2 od metforminy. Jeśli pacjent jest zagrożony chorobą sercowo-naczyniową (lub już ją ma) albo chorobą nerek, to gdy metformina już nie wystarcza, powinno się dodać do niej albo lek z grupy flozyn albo analog GLP-1 – mówi prof. Zozulińska-Ziółkiewicz.

Zalecenia Europejskiego Towarzystwa Kardiologicznego, o których mówiono podczas kongresu w sierpniu tego roku w Paryżu, idą jeszcze dalej. Według nich nowe leki przeciwcukrzycowe powinno się stosować już od samego początku leczenia, czyli jako leki pierwszego rzutu (zamiast metforminy) u pacjentów z towarzyszącą cukrzycy chorobą sercowo-naczyniową i wysokim lub bardzo wysokim ryzykiem jej pojawienia się.

– Cieszymy się, że flozyny weszły do refundacji, i mamy nadzieję, że ta decyzja to „uchylenie drzwi", które za chwilę będą otwarte szerzej. Widzimy, że ze strony ministerstwa jest duże zrozumienie tego tematu – mówi prof. Zozulińska-Ziółkiewicz. Potwierdza to wiceminister Maciej Miłkowski, zapewniając, że analizuje wskazania refundacyjne i rozmawia z producentami na temat różnych rozwiązań. – Rozmawiamy z Polskim Towarzystwem Diabetologicznym, z konsultantem krajowym, oczekujemy na bieżące analizy i dane, ile osób rozpoczęło leczenie flozynami. Czekamy też na widoczne efekty: zmniejszenie liczby powikłań sercowo-naczyniowych, a więc też mniejsze koszty ich leczenia – mówi wiceminister Miłkowski.

Stosowanie flozyn jest obecnie zalecane również pacjentom już przyjmującym insulinę. – Zwłaszcza jeśli mają wysokie ryzyko sercowo-naczyniowe, są po zawale serca, udarze mózgu. Flozyny szczególnie korzystnie działają w przypadku niewydolności serca. Już dziś wielu pacjentów je stosuje, choć muszą je kupować z własnych środków. Pozwala to zredukować dawkę insuliny, a czasami nawet ją odstawić. Takie leczenie dla chorych oznacza nie tylko obniżenie poziomu cukru, lecz także dalekosiężne zmniejszenie ryzyka sercowo-naczyniowego i poprawę wydolności serca. Korzyści: lżejszy oddech na co dzień, zmniejszenie ryzyka zaostrzenia choroby i pobytu w szpitalu – mówi prof. Zozulińska-Ziółkiewicz.

Również środowisko pacjentów ma nadzieję, że coraz więcej chorych będzie mogło korzystać z nowych leków. – Refundację listopadową traktujemy jako pierwszy krok, mamy nadzieję, że w najbliższym czasie będzie ona rozszerzana, najchętniej na wszystkie osoby, które mają wskazania medyczne do stosowania tych terapii – mówi Anna Śliwińska. Wiceminister Miłkowski zapewnia, że takie analizy będą prowadzone. – Zależy nam, żeby w sposób przemyślany, mądry i rozważny rozszerzać grupę leczonych, by pacjenci z cukrzycą w Polsce mieli dostęp do nowych technologii, które mają twarde dowody co do ich skuteczności. Dotyczy to flozyn i analogów GLP-1 – potwierdza.

– W 2019 r. w Polsce wiele dobrego się stało, jeśli chodzi o monitorowanie i leczenie cukrzycy. Środowisko diabetologiczne to docenia. Cukrzycę trzeba leczyć tak, by zapobiegać powikłaniom – podsumowuje prof. Zozulińska-Ziółkiewicz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e955a3d6d7

Z prof. Maciejem Małeckim, kierownikiem Katedry i Kliniki Chorób Metabolicznych UJCM w Krakowie
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Chronią serce, pomogą schudnąć

KATARZYNA PINKOSZ: Po wielu latach starań środowiska diabetologicznego pojawiły się w refundacji pierwsze nowoczesne leki przeciwcukrzycowe dla chorych z cukrzycą typu 2. To przełom?

PROF. MACIEJ MAŁECKI: To na pewno bardzo dobra wiadomość. Zapewne złożyło się na to jednocześnie kilka czynników. Po pierwsze, ranga dowodów naukowych stała się absolutnie niepodważalna, jeśli chodzi o zapobieganie powikłaniom sercowo-naczyniowym i wydłużenie życia. Po drugie, była wola wprowadzenia nowych leków i związane z nią środki finansowe. Na razie dostęp jest obwarowany dość trudnymi do spełnienia kryteriami klinicznymi, cały czas poza systemem refundacji pozostają dziesiątki tysięcy pacjentów, którzy już stosują flozyny. Niemniej jednak należy mieć nadzieję, szczególnie biorąc pod uwagę deklaracje przedstawicieli Ministerstwa Zdrowia, że ta sytuacja będzie ewoluować, a dostęp do terapii będzie poszerzany.

Zalecenia towarzystw diabetologicznych: amerykańskiego, europejskiego i polskiego, mówią o dwóch klasach nowoczesnych leków przeciwcukrzycowych w cukrzycy typu 2. Dla których pacjentów są wskazane leki z tej drugiej grupy, czyli inkretyny?

To leki szczególnie skuteczne u osób chorych na cukrzycę, mających znaczną otyłość. Niektóre leki z tej klasy, tzw. agoniści receptora GLP-1 (leki iniekcyjne), mają te same właściwości co flozyny, tzn. zmniejszają ryzyko sercowo-naczyniowe, wydłużają przeżycie pacjentów. Podobnie jak flozyny nie powodują także ryzyka hipoglikemii, czyli niedocukrzenia. Refundacja również leków z tej grupy byłaby uzupełnieniem tego pierwszego kroku, który już został wykonany, jeśli chodzi o refundację nowoczesnego leczenia. Mam nadzieję, że taka zmiana się dokona.

O lekach inkretynowych mówi się w kontekście nadwagi i otyłości, jednak w powszechnym przekonaniu wydaje się, że osoba otyła może po prostu mniej jeść, a wtedy schudnie. Pozbycie się zbędnych kilogramów jest trudne dla chorego na cukrzycę?

Jest trudne, większość pacjentów nie daje sobie z tym rady. Na kształtowanie się naszego apetytu oraz na to, ile jemy, mają wpływ czynniki genetyczne oraz kształtowane przez lata czynniki środowiskowe. Na czynniki genetyczne w ogóle nie mamy wpływu, natomiast czynniki środowiskowe można zmienić, jednak nie jest to proste. Doświadczenia

eprasa.pl e955a3d6d7

FOT. ADOBE STOCK

na całym świecie pokazują, że znacząca redukcja masy ciała nie jest łatwa do osiągnięcia tylko za pomocą podejścia behawioralnego, czyli modyfikacji diety i wykonywania ćwiczeń fizycznych.

Czy to prawda, że pacjent chory na cukrzycę, który przyjmuje lek inkretynowy, czuje się tak, jakby był po posiłku?

To chyba trochę zbyt mocne stwierdzenie, ja powiedziałbym nieco ostrożniej: u pacjentów przyjmujących te leki uczucie sytości po posiłku występuje szybciej niż u osób, które tych preparatów nie otrzymują.

Działanie flozyn łatwo wyjaśnić: usuwają cukier z moczem. A na czym polega mechanizm działania leków inkretynowych?

Agoniści receptora GLP-1 naśladują naturalne działanie hormonów inkretynowych. O insulinie wie prawie każdy, nie wszyscy jednak mają świadomość istnienia i działania hormonów inkretynowych, które są wydzielane w jelitach. Uwalniają się one po spożyciu posiłku.

Tak samo działają leki z grupy agonistów receptora GLP-1 – powodują zwiększenie wydzielania insuliny, jednak działają w sposób inteligentny, a więc tylko wtedy, gdy poziom glukozy jest podwyższony. W innym przypadku nie działają, czyli nie dochodzi do podniesienia poziomu insuliny. Dzięki temu nie powodują niedocukrzeń. Ważne jest też to, że hormony inkretynowe mają jeszcze wiele innych „punktów uchwytu", gdzie działają, np. w mózgu (powodując zmniejszenie apetytu), żołądku (spowalniając jego opróżnianie), wątrobie (zmniejszając produkcję cukru). To powoduje, że następuje obniżenie poziomu cukru we krwi.

Jak w tej chwili wyglądają zalecenia amerykańskiego, europejskiego i Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego dotyczące stosowania leków inkretynowych i flozyn?

Powinniśmy rozpatrywać podawanie tych leków już w drugim kroku leczenia cukrzycy typu 2, gdy samo stosowanie metforminy nie jest już wystarczające; obowiązkowo u tych wszystkich pacjentów, którzy przeszli incydent sercowo-naczyniowy (zawał serca, udar mózgu) lub są nim zagrożeni. Jeśli chodzi o wybór leków, to ich pozycja w zaleceniach terapeutycznych jest bardzo zbliżona. Przy niewydolności serca i cukrzycowej chorobie nerek preferowane są flozyny, z kolei przy znacznej otyłości – raczej analogi GLP-1. Jak już wspomniałem, u znaczącej większości pacjentów z już przebytymi incydentami sercowo-naczyniowymi lub z licznymi innymi czynnikami ryzyka są to leki równie ważne i równie skuteczne.

Czy jest jakaś grupa pacjentów, która mogłaby odnieść największą korzyść z zastosowania leków inkretynowych i powinna w pierwszej kolejności otrzymać taką terapię?

To przede wszystkim pacjenci po przebytych incydentach sercowo-naczyniowych oraz bardzo nimi zagrożeni, a oprócz tego mający otyłość. W pierwszej kolejności zapewne będą to pacjenci ze znaczną otyłością, z BMI powyżej 35, czyli z drugim stopniem otyłości. Wyniki pochodzące z randomizowanych badań klinicznych pokazują, że ci pacjenci najbardziej skorzystają z takiej terapii.

Mimo korzystnych zmian na listach refundacyjnych dziś wciąż jeszcze tylko niewielka część pacjentów z cukrzycą typu 2 ma szansę być leczona zgodnie z zaleceniami towarzystw naukowych?

Niestety, tak. Cieszymy się z otwarcia na refundację flozyn, jednak w praktyce, po kilku tygodniach wejścia tych leków na listy refundacyjne, widać, że nie ma wielu pacjentów spełniających wszystkie kryteria refundacyjne. Drugą kwestią jest brak w ogóle refundacji leków inkretynowych.

Niedawno wydane zalecenia Europejskiego Towarzystwa Kardiologicznego poszły dalej niż zalecenia diabetologów: uznano, że flozyny powinny być stosowane już nawet w pierwszej linii leczenia, czyli zaraz po rozpoznaniu cukrzycy, gdy konieczne jest leczenie. Czy to samo dotyczy leków inkretynowych?

Europejskie Towarzystwo Kardiologiczne wyraziło takie stanowisko, jednak nie zostało ono przyjęte ani przez Europejskie Towarzystwo Diabetologiczne, ani przez Polskie Towarzystwo Diabetologiczne. Środowisko diabetologiczne jest entuzjastycznie nastawione do flozyn i agonistów receptora GLP-1, jednak naszym zdaniem rekomendacje Europejskiego Towarzystwa Kardiologicznego poszły nieco za daleko. Uważamy, że lekiem, który powinno się podać jako pierwszy w cukrzycy typu 2, jest metformina. Dopiero gdy przestaje ona działać, a pacjent ma ryzyko sercowo-naczyniowe lub już jest po incydencie sercowo-naczyniowym, powinien dostać jeden z dwóch klas leków: albo flozynę, albo analog GLP-1.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. dr hab. Maciej Małecki – kierownik Katedry i Kliniki Chorób Metabolicznych UJCM w Krakowie, dziekan Wydziału Lekarskiego Collegium Medicum UJ.

eprasa.pl e955a3d6d7

Katarzyna Pinkosz

Glukometry do lamusa?

Od kilku do kilkunastu razy dziennie chory na cukrzycę leczony insuliną musi sprawdzać poziom glukozy we krwi. Systemy do ciągłego monitorowania glikemii eliminują konieczność kłucia i pozwalają lepiej kontrolować chorobę

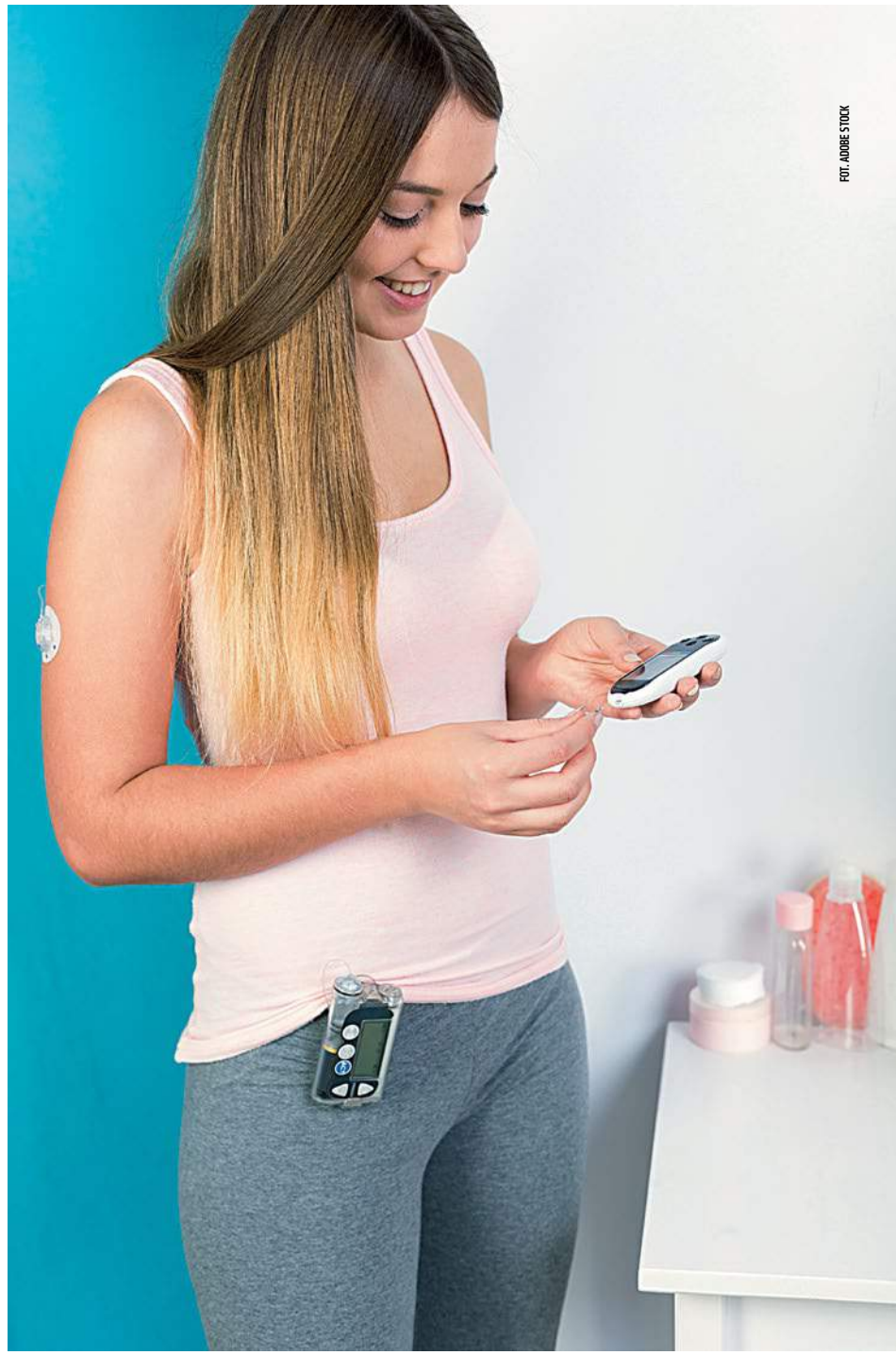

FOT. ADOBE STOCK

Celem leczenia cukrzycy nie jest obniżenie poziomu glukozy we krwi, tylko leczenie choroby tak, by nie pojawiły się powikłania. To, czy chory jest dobrze leczony, zwykle ocenia się na podstawie wyniku hemoglobiny glikowanej (HbA1c). Generalnie powinien być on niższy bądź równy 7 proc. (wyższy niż 8 proc. oznacza bardzo duże ryzyko powikłań), jednak dla każdej osoby cel terapeutyczny jest ustalany indywidualnie, m.in. w zależności od wieku chorego, czasu trwania choroby. HbA1C pokazuje jednak tylko średni poziom glukozy z ostatnich trzech miesięcy. Średnia może być dobra, mimo że chory wiele razy miał epizody hiperglikemii, czyli zbyt wysokiego poziomu glukozy, i hipoglikemii, czyli niedocukrzenia. Ważne jest, by jak najwięcej czasu chory spędzał w normoglikemii, tzw. zakresie docelowym, który określa lekarz dla każdego pacjenta indywidualnie.

– Systemy do monitorowania glikemii znacznie lepiej pokażą, czy cukrzyca jest dobrze kontrolowana – mówi prof. Małgorzata Myśliwiec, kierownik Katedry i Kliniki Pediatrii, Diabetologii i Endokrynologii Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. – Nie można skutecznie leczyć cukrzycy bez nowoczesnego i stałego monitoringu poziomu glikemii. Jest ona kluczem do skutecznego i bezpiecznego leczenia cukrzycy – potwierdza prof. Maciej Małecki z Katedry i Kliniki Chorób Metabolicznych Collegium Medicum UJ.

SKANOWANIE I POMIAR W CZASIE RZECZYWISTYM

Obecnie dostępne są dwa rodzaje systemów monitorujących glikemię. Pierwszy to CGM – system do ciągłego monitorowania glikemii przeznaczony dla osób leczonych za pomocą osobistej pompy insulinowej. Elektrody wszcze-

eprasa.pl e955a3d6d7

piane w skórę mierzą zmiany poziomu glukozy w płynie tkankowym i przekazują dane do pompy insulinowej, z którą współpracują. – Są już pompy insulinowe zintegrowane z systemem do ciągłego monitorowania glikemii, które zatrzymują podawanie insuliny, gdy pacjent ma bardzo niski poziom glikemii, a z kolei gdy jej poziom rośnie, zaczynają podawać insulinę – dodaje prof. Myśliwiec.

Drugi rodzaj systemów to FGM, Flash Glucose Monitoring (FreeStyle Libre), czyli tzw. monitorowanie glikemii oparte na metodzie skanowania. Mogą je również stosować osoby niemające pompy insulinowej. System składa się z dwóch elementów: sensora umieszczonego na ramieniu, mierzącego poziom glikemii w płynie śródtkankowym, oraz czytnika, który trzeba do niego zbliżyć na odległość do 4 cm. Może to być czytnik FreeStyle Libre lub telefon komórkowy ze specjalną aplikacją.

Oba systemy pokazują nie tylko poziom glukozy we krwi w danej chwili, lecz także ciągły poziom glikemii oraz tendencję: czy on rośnie, czy spada. Dzięki temu wiadomo, czy należy np. podać dodatkową porcję insuliny, by uchronić się przed hiperglikemią, czy zjeść dodatkowy posiłek, by uchronić się przed hipoglikemią. – Gdy widzimy, że glukoza spada, można zapobiec hipoglikemii, a nie reagować dopiero, gdy ona już wystąpi – mówi Anna Śliwińska, prezes Zarządu Głównego Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków.

Epizody hipoglikemii szczególnie trudno wcześnie rozpoznać u małych dzieci z cukrzycą typu 1. – Każda gwałtowna zmiana nastroju, zachowania nieadekwatne do sytuacji, lęk, płacz, apatia, drażliwość, mogą sugerować hipoglikemię. U 30–40 proc. dzieci z cukrzycą typu 1 występują nocne hipoglikemie. Dziecko rano budzi się z bólem głowy, ma złe samopoczucie, problemy z koncentracją – dodaje prof. Myśliwiec. W przypadku nocnej hipoglikemii system CGM sprzężony z pompą insulinową zaalarmuje o niskim poziomie glukozy lub pompa sama poda dodatkową dawkę insuliny. – Dzięki FreeStyl Libre rodzic może sprawdzić poziom glukozy, nie nakłuwając opuszki palca dziecka i nie wybudzając go ze snu – mówi Beata Stepanow, prezes Stowarzyszenia Edukacji Diabetologicznej. – FreeStyle Libre pozwala na dużą dyskrecję pomiaru, nie trzeba wyjmować glukometru, nakłuwać palca. Wystarczy chwila na skanowanie – dodaje Anna Śliwińska. System bardzo dobrze sprawdza poziom glukozy, sytuacje, gdy trzeba użyć glukometru, są sporadyczne.

REFUNDACJA DLA MŁODYCH

Od ubiegłego roku systemy CGM są refundowane dla dzieci i młodzieży do 26. roku życia chorych na cukrzycę typu 1, które używają pomp insulinowych i nie mają świadomości hipoglikemii. Dobrą wiadomością jest to, że od listopada tego roku w refundacji jest też system do monitorowania glikemii za pomocą skanowania Flash FreeStyle-Libre: dla wszystkich dzieci z cukrzycą typu 1, od 4. do 18. roku życia. – To bardzo ważne dla komfortu psychicznego rodziców. Nowe technologie dają rodzicom poczucie bezpieczeństwa, dziecko w przedszkolu czy szkole może samo kontrolować cukrzycę, nie musi ciągle nakłuwać opuszki palca. To ważne, szczególnie dla małych dzieci, które mają małe paluszki; wykonywanie dziennie tak wielu pomiarów to ogromne wyzwanie, szczególnie w nocy – dodaje Beata Stepanow.

Eksperci podkreślają, że cukrzyca typu 1 jest w Polsce leczona na poziomie światowym: pacjenci mają dostęp do większości nowoczesnych insulin, możliwość stosowania pomp insulinowych, a ostatnio także właśnie nowoczesnych systemów monitorowania glikemii. Jedyną bolączką jest to, że refundacje nowoczesnych urządzeń nie są dla wszystkich. Z pomp insulinowych i systemów CGM mogą korzystać tylko dzieci i młodzież do 26. roku życia, z systemu FGM: do 18. roku życia. Zarówno eksperci, jak pacjenci, liczą, że to już w najbliższym czasie się zmieni. – Cukrzyca nie kończy się w wieku 18 czy 26 lat. 18-latek ma maturę, przed nim wybór studiów, drogi zawodowej, pojawiają się myśli o założeniu rodziny. Każdy komunikat: „refundowane do lat 18, 26" budzi lęk: „A co potem?". Zbiega się to z przejściem młodego człowieka z opieki pediatrycznej do leczenia dorosłych, czuje on się zagubiony, a układając sobie życie, nie ma czasu na przywiązywanie wagi do choroby. Mogą pojawić się powikłania, które już się nie cofną. Dlatego tak ważne jest to, żeby także osoby powyżej 18. czy 26. roku życia mogły korzystać z możliwości refundacji. To inwestycja w młodych ludzi w ważnym okresie życia – dodaje Beata Stepanow.

– Bardzo pożądane by było, by refundacja była rozszerzana na wszystkie osoby z cukrzycą typu 1, wiele z nich jest aktywnych zawodowo, system FGM pozwala na dyskretne sprawdzenie, jaki jest poziom glukozy. Również bardzo zyskaliby na możliwości dostępu do tych systemów chorzy na cukrzycę typu 2, którzy są leczeni insuliną – dodaje Anna Śliwińska.

To, że nowoczesne systemy monitorowana są ważne także dla dorosłych, podkreślają też eksperci. – Nowe technologie zawsze zaczynamy wdrażać u części pacjentów, zwłaszcza u dzieci, by chronić je przed powikłaniami. Będziemy starać się rozszerzać refundację również na dorosłych. Chcemy współpracować z ekspertami, być może uda nam się wspólnie ustalić, u których grup pacjentów systemy monitorowania glikemii przyniosłyby największy efekt kliniczny – zapewnia wiceminister Maciej Miłkowski.

CORAZ BLIŻEJ DO TELEMEDYCYNY

Dzięki nowym technologiom leczenie cukrzycy może bardzo się zmienić. Nowoczesne systemy na razie są drogie, jednak w miarę upływu czasu ich cena będzie spadać. Powoli glukometry będą przechodzić do lamusa. Już zmienia się cały system monitorowania choroby i opieki nad chorym z cukrzycą typu 1. – Jeszcze czasem przychodzą do poradni pacjenci z dzienniczkami samokontroli. Jednak coraz częściej dzięki aplikacjom na telefon komórkowy możemy zobaczyć na ekranie telefonu czy monitorze komputera, jak wyglądał profil glikemii przez dłuższy czas. Dzięki temu możemy lepiej dobrać pacjentowi rodzaj i dawkę insuliny oraz zindywidualizować leczenie, chroniąc przed powikłaniami. Wynik mogą zobaczyć pacjent, osoby bliskie, pielęgniarka diabetologiczna, lekarz. Jesteśmy już blisko e-wizyt: pacjent niekoniecznie będzie musiał przyjeżdżać do gabinetu, będziemy mogli zdalnie kontrolować chorobę i zmieniać dawki insuliny – dodaje prof. Myśliwiec.

Telemedycyna powoli wkracza do diabetologii. – Wprowadzając nowoczesne technologie w medycynie, nie można jednak zapomnieć o tym, jak ważna jest komunikacja interpersonalna – podkreśla Beata Stepanow.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e955a3d6d7

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Wygnaniec zrywa sejm

Wpowszechnej świadomości posłem, który jako pierwszy zerwał sejm 11 marca 1652 r., wykorzystując liberum veto, był Władysław Siciński, poseł i podsędek upicki, jednak o wiele groźniejszym precedensem dla parlamentaryzmu Korony i Litwy stało się zerwanie sejmu koronacyjnego 5 listopada 1669 r. przez Jana Aleksandra Olizara herbu Chorągwie Kmitów (inaczej Radwan Sowity), podsędka kijowskiego. Siciński sejm zerwał, nie pozwalając na jego prolongatę, czyli przedłużenie obrad po przekroczeniu ustawowego terminu, podczas gdy Olizar zerwał go w trakcie prac, po prostu wychodząc z izby poselskiej. Pierwszy raz sejm zerwano, jak podaje Izabela Lewandowska-Malec, przed konkluzją, czyli bez możliwości uchwalenia jakiejkolwiek konstytucji.

Kim był człowiek, który odegrał tak złowieszczą rolę w dziejach polskiego parlamentaryzmu? Magnackim sługą, jurgieltnikiem Prus, Francji albo Habsburgów? A może zwykłym zaściankowym warchołem? Nic z tego; jego życie było o wiele bardziej skomplikowane.

Urodził się prawdopodobnie ok. 1630 r. jako syn Ludwika, rotmistrza królewskiego, i Katarzyny Franciszki z Dembińskich, wywodził się zaś z województwa kijowskiego, z którego posłował na elekcję Jana Kazimierza. Brał udział w walce z buntem Chmielnickiego i posłował na sejm w 1661 r. Jak podaje Andrzej Rachuba, od trzeciego kwartału 1663 r. był rotmistrzem chorągwi kozackiej i brał udział w wyprawie Jana Kazimierza na Moskwę, potem bił się pod dowództwem Sebastiana Machowskiego.

Życiorys chwalebny, bo choć jego oddział przyłączył się do rokoszan Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, to jednak Olizar nie brał udziału w walkach. Z ramienia województwa posłował na elekcję

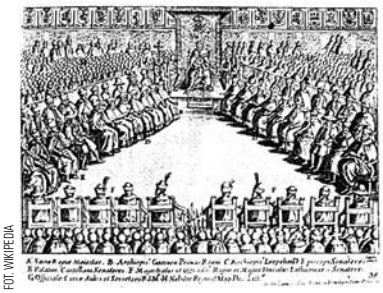

FOT. WIKIPEDIA

króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego i na sejm koronacyjny w końcu 1669 r.

Dlaczego zerwał sejm? Otóż Olizar był przedstawicielem stronnictwa tzw. egzulantów (wygnanieców), szlachciców mających posiadłości na ziemiach Rzeczypospolitej, które od niej odpadły w wyniku wojen z kozakami i Moskwą, przerwanych w 1667 r. rozejmem w Andruszowie.

Rzeczpospolita straciła wówczas Ukrainę zadnieprzańską, ziemię siewierską i czernihowską, a także Smoleńszczyznę. Pochodzący z tych terenów szlachcice stali się uchodźcami, jednak spotykali się na sejmikach, wybierali posłów i za wszelką cenę usiłowali dochodzić swoich praw do odszkodowań za utracone majątki. Na sejmie z 1669 r. domagali się też przyznania im wakansów, tzn. nieobsadzonych urzędów koronnych i litewskich. Niezadowolony z ich rozdzielenia poseł kijowski Jan Olizar, poparty przez Aleksandra Woronicza, złożył protestację i wyszedł z izby, doprowadzając do upadku sejmu.

Andrzej Rachuba dodaje, że działał za namową stronnictwa francuskiego, które odgrywało wówczas rolę opozycji totalnej, patologicznie wręcz nienawidzącej króla Michała Wiśniowieckiego. Jego przywódcą zaś, był Jan Sobieski, przyszły król Polski. Stosujący podobne zagrywki hetman później sam, już jako władca, miał stać się ofiarą takich samych działań opozycji Sapiehów.

Dzisiaj już nie można ustalić, czy Olizar związany był z jakąś magnacką koterią. Cieszył się jednak później względami Jana III Sobieskiego, którego elekcję podpisał w 1674 r. Za zasługi w wojnach z kozakami i Turkami król nadał mu klucz Łomazy w województwie brzeskim, poza tym był także właścicielem Korosteszowa i Wołczkowa na Kijowszczyźnie oraz Ostrowca i Humiennik na Wołyniu.

Olizar posłował na kolejne sejmy, a w 1691 r. mianowano go komisarzem i sędzią komisji ds. przyznania i rozdzielenia odszkodowań dla egzulantów. Zmarł w 1700 r. i został pochowany w kościele Dominikanów w Łucku.

Precedens Olizara stał się zachętą dla opozycji. Kilkanaście lat później Sapiehowie zrywali kolejne zgromadzenia, aby tylko pokrzyżować plany znienawidzonego Sobieskiego. W 1688 r. zerwano sejm jeszcze przed wyborem marszałka. Później było tylko gorzej. Za Augusta II Sasa zerwano dziewięć sejmów, a za jego syna Augusta III – praktycznie wszystkie.

Zerwanie lub rozerwanie sejmu nie miałoby tak tragicznych skutków, gdyby nie to, iż miał on największą władzę, a jego rozejście skutkowało paraliżem państwa. Sytuację ową porównać można do współczesnego samorozwiązania sejmu i rozpisania nowych wyborów. Dzisiaj jednak nie powoduje to zapaści Polski, gdyż ciągle rządzi rząd, spływają podatki i działają struktury państwowe.

W XVII w. zerwanie sejmu oznaczało, że brakowało środków na zapłacenie wojsku, nie zatwierdzano traktatów, nie ustalano polityki zagranicznej, nie można było nawet przygotować kraju do obrony! Dawny sejm bowiem miał zbyt ogromną władzę w stosunku do możliwości skutecznego działania. ©℗

eprasa.pl e955a3d6d7

HISZPAŃSKIE ODKRYCIE JAROSŁAWA JAKIMOWICZA

Po nagraniu „Młodych wilków" moje życie zmieniło się diametralnie. Zdobycie popularności pozwoliło mi zwiedzić kawał świata, poznać wielu niesamowitych ludzi i różne kultury. Jedną z najciekawszych przygód była trwająca 50 dni podróż do Indonezji, gdzie docierałem do takich miejsc, w których dla części miejscowych byłem pierwszym białym człowiekiem, jakiego w życiu widzieli. Przez kilkanaście lat życia mieszkałem poza Polską, m.in. w Niemczech, Szwecji, RPA, Holandii i Hiszpanii. Wszystkie te odwiedzone miejsca to również przeróżne smaki. Niemcy i Szwecja niczym szczególnym mnie nie zaskoczyły, nie trzeba nigdzie wyjeżdżać, by spróbować Kartoffelsalat, a Köttbullar można zjeść w popularnej sieci sklepów meblowych. Nie sądziłem, że kulinarnie zaskoczy mnie Hiszpania, tym bardziej że nie jem owoców morza ani niczego innego, co zostało z morza wyłowione. Pewnego dnia jednak odkryłem potrawę, którą pokochałem. Robiąc zakupy, trafiłem na gazpacho w kartonie. Jak się później okazało, było to najlepsze gotowe gazpacho, jakie można kupić w Hiszpanii. Podróżując później po Costa Brava, zamawiałem gazpacho w każdej restauracji, w której się zatrzymywałem. Wprowadziłem je też do karty dań w restauracji, którą kiedyś prowadziłem w Warszawie.

W przepisie podaję „standardowe" proporcje składników, ale jeśli ktoś, jak ja, lubi wyraziste smaki, polecam zwiększyć ilość czosnku i chili.

Składniki:

- 1 kg pomidorów
- 1 ogórek
- pół czerwonej papryki
- 2–3 ząbki czosnku
- 4 łyżki oliwy
- 1 łyżka soku z cytryny
- 1 mała cebula
- kawałek papryczki chili
- bochenek chleba
- pieprz, sól

Przygotowanie:

Pomidory sparzamy i obieramy, kroimy w kostkę. Ogórek obieramy i również kroimy w kostkę. Podobnie robimy z papryką (odkładamy garść pokrojonych warzyw do przybrania zupy). Czosnek drobno siekamy. Środek chleba namaczamy i blendujemy razem z warzywami, oliwą, sokiem z cytryny, chili, pieprzem i solą. Odkładamy na kilka godzin do lodówki. Zupę podajemy z pokrojonymi w kostkę pomidorami, papryką i cebulą. ©℗

oprac. raw
Jarosław Jakimowicz jest aktorem i przedsiębiorcą.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Superfood nie dla wszystkich

Awokado, jeszcze nie tak dawno owoc w Polsce nieznany, od jakichś 15 lat jest w jadłospisie każdego dbającego o zdrowie obywatela oraz do nabycia w każdej Biedronce. Nic dziwnego – ma cudowne właściwości. Zajmuje wierzchołek top listy najzdrowszych pokarmów świata i jest podstawą piramidy żywienia. Obniża poziom cholesterolu, ciśnienie krwi, zawiera cenne białka, przeciwutleniacze, chroni przed rakiem prostaty i piersi.

To wszystko sprawiło, że pierwszy świat rzucił się na awokado prawie tak samo, jak oszalał na punkcie jarmużu, quinoi, nasion chia i Bóg wie, czego jeszcze.

Sama z awokado zetknęłam się pierwszy raz, kiedy mieszkałam w Meksyku w latach 80. Awokado w Meksyku jest tym, czym dla nas buraki, składnikiem ludowej, codziennej kuchni. Żaden luksus. Uprawia się go od 8 tys. lat, znali go Majowie i Aztekowie. Hiszpanie wywozili go do Europy już w XVIII w.

Od kiedy jednak nowoczesna dietetyka odkryła zalety awokado, na Meksyk rzucili się importerzy. W roku 2017 wyeksportowano tych owoców za 2,4 mld dol. Ocenia się, że zbiór w sezonie 2017/2018 wyniósł 2 mln ton. Największym konsumentem są oczywiście najżarłoczniejsi, czyli Amerykanie, którzy sami zjadają tego superfoodu za prawie 2 mld dol.

W grze są olbrzymie pieniądze, nic dziwnego, że meksykańscy farmerzy obsadzają drzewami awokado, ile tylko się da. Najwięcej jest ich w stanie Michoacán. Jednak okazuje się, że zamiast obiecanych złotych gór w tym spokojnym pięknym stanie awokado przyniosło problemy. Gangi, które przerzuciły się z narkotyków na awokado, organizują zbrojne napady na farmerów, porywają ich i ich rodziny, pod groźbami śmierci wymuszają haracze i sprzedaż ziemi. Gangsterzy walczą o terytorium, chcą kontrolować produkcję. Policja jest bezsilna, więc farmerzy organizują samoobronę i zbroją się przeciwko bandytom.

Zachęceni zyskami Chilijczycy także zaczęli drzewami awokado obsadzać stoki gór o dobrym nasłonecznieniu. Owoce drzewo daje po pięciu latach. Tutaj z kolei uprawy pozbawiły miejscową ludność wody. Przedsiębiorcy chcąc dostarczać na zbocza gór wodę, zmeliorowali teren i miejscowa ludność została pozbawiona wody. Wyschły rzeki i strumienie, wodę do picia trzeba dowozić cysternami. Podobna sytuacja jest w Kalifornii, gdzie do niedawna nie uprawiano awokado, ale wobec boomu na te owoce, tu także zaczęto je sadzić. I sytuacja zrobiła się taka sama jak w Chile – brak wody. A jak wiadomo, od kilku lat Kalifornia zmaga się z suszą.

O tym wszystkim opowiada dokument „Rotten" na Netfliksie. Polecam obejrzeć – niech pierwszy świat, do którego – zdaje się – należymy, czasem sobie przypomni, że inne także istnieją na świecie. ©℗

eprasa.pl e955a3d6d7

ELEKTRYCZNE SUPERAUTO

Model Aspark Owl to najmocniejszy w pełni elektryczny samochód świata. Pokazany niedawno w Dubaju samochód napędzany jest przez cztery silniki elektryczne i dysponuje łączną mocą wynoszącą aż 2039 KM. Maksymalny moment obrotowy wynosi zaś równo 2000 Nm.

Te niezwykłe parametry sprawiają, że Aspark Owl od zera do 100 km/godz. rozpędza się w 1,69 s, do 300 km/godz. – w 10,6 s. Prędkość maksymalna wynosi 400 km/godz. A co z zasięgiem? Według japońskiego producenta powinien on wynosić 450 km. Uzupełnianie energii w akumulatorach specjalną mocną ładowarką zajmuje zaś według Japończyków ok. 80 minut.

Aspark planuje sprzedać 50 sztuk tego cuda. Na razie kupców znalazło 15 egzemplarzy. Każdy kosztował 2,9 mln euro, czyli równowartość 12,45 mln zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DOLCE VITA WEDŁUG FERRARI

Roma. Tak nazywa się nowy model w ofercie włoskiego producenta. Auto typu 2+ – z dwoma miejscami i niewielką przestrzenią na bagaż zamiast minikanapy znanej z aut sportowych – napędza silnik V8 o pojemności 3,9 l, który generuje aż 620 KM mocy i 760 Nm maksymalnego momentu obrotowego. Ważące tylko 1472 kg od zera do pierwszej setki rozpędza się zaledwie w 3,4 s, a do drugiej setki – w 9,3 s. Prędkość maksymalna wynosi 320 km/godz. Przy wyższych prędkościach z tyłu automatycznie wysuwa się sportowy spojler. Przedstawiciele Ferrari podkreślają jednak, że podczas projektowania tego modelu nacisk położono nie tyle na jego umiejętności wyścigowe, ile na komfort jazdy. Roma ma być najwygodniejszym i najbardziej luksusowym autem z włoskiej stajni, ucieleśnieniem dolce vita. Model ma być też najtańszym i najpopularniejszym w ofercie Ferrari.

NAJSZYBSZY ROLNICZY CIĄGNIK ŚWIATA

Każdy kierowca zna ten ból, gdy utknie na trasie za toczącym się traktorem. Guy Martin, słynny brytyjski motocyklista i kierowca wyścigowy, pokazał jednak, że ciągnik nie zawsze musi się tak ciągnąć. 38-letni Martin rozpędził pięciotonowy traktor JCB Fastrac 4000 do zawrotnej prędkości 217,57 km/godz. Tym samym poprawił rekord należący dotąd do legendarnego Stiga z programu „Top Gear", wynoszący 140 km/godz. Oczywiście sam ciągnik został w tym celu odpowiednio zmodyfikowany. 38-letni Guy Martin ma na koncie kilka innych rekordów. Brytyjczyk jest najszybszy na świecie m.in. w jeździe na sankach (134 km/godz.), w mydelniczce (1377 km/godz.) oraz w tzw. beczce śmierci (25,77 km/godz.). ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl e955a3d6d7

Więcej mocy dla przedsiębiorców

Ekonomia Raport od poniedziałku do czwartku o godzinie 22:25

OGLĄDAJ DEBATĘ NA ŻYWO 28 listopada, godz. 12:15

na antenie Telewizji Republika

PARTNERZY STRATEGICZNI

JBB Baldyga

NASK

PKP

PARTNERZY GŁÓWNI

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

Poczta Polska

PARTNERZY

chmura krajowa

PKPCARGO

PKP INTERCITY

PFR TFI

WĘGLOKOKS

eprasa.pl e955a3d6d7

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Lenił się, bradziażył...”

Na pewno jeszcze nie tak, jak na to zasłużył, trzeba jednak przyznać, że zrobiono sporo, aby przybliżyć wyklętego tak długo Józefa Mackiewicza czytelniczej świadomości. Wyszły wszystkie jego książki. „Droga donikąd” trafiła nawet na listę licealnych lektur. Doczekał się przyznawanej co roku 11 listopada nagrody literackiej jego imienia, którą miałam zaszczyt otrzymać w roku 2017, nadal jednak wiemy o nim zbyt mało jako o człowieku, o jego prywatności, codzienności, ludzkich słabościach, a to właśnie zbliża nas do pisarza.

Wyjątkiem są takie relacje jak Tadeusza Nowakowskiego, emigracyjnego pisarza, który mówił o nim tak: „Bracia Mackiewiczowie byli bardzo różni. W żyłach jowialnego Stanisława płynęła żubrówka, w żyłach Józefa – ocet. Był ponurym mrukiem, który nigdy się nie uśmiechał, miał krzywy nos. Nazywaliśmy go więc Józefem Ponurym. Jako członek jury Nagrody londyńskich »Wiadomości« brał udział w urządzanych z tej okazji biesiadach, gdy piliśmy wódkę – ojczyznę w płynie, jak ją nazywaliśmy, której picie chroniło nas przed wynarodowianiem, Józef pił z nami, ale zasępiał się wtedy jeszcze bardziej. Nie był jednak wcale ponurakiem z natury, ale dlatego, że za dużo widział. Urodzony w 1902 w Petersburgu widział piekło bolszewickiej rewolucji, wojnę z bolszewikami roku 1920, w której wziął udział jako niespełna 18-letni ochotnik, podobnie jednak jak Rembek, widział nie tylko „ułanów, chłopców malowanych”, ale też ich strach, dezercję, bo jego pułk dostał niezłe baty. Widział niemiecką i sowiecką okupację ukochanej Wileńszczyzny, eksterminację wileńskich Żydów w Ponarach, otwarte katyńskie groby. Za prawdę o Sowietach, ich sprawcach, płacił przez całe swoje życie.

Mimo to – kontynuował Nowakowski – pozostał czuły na urodę świata, zwłaszcza przyrody, której pełno w jego powieściach, zwierząt, głównie ptaków, które ciągle karmił i na których znał się jak nikt”.

Kochał dzieci, zwłaszcza swoje dwie córki Halinę oraz Idalkę. Mimo że opuścił ich matki. Utrzymywał z nimi kontakt, choć nie taki, jak by chciał, aby ich nie narażać, zwłaszcza Idalii, która mieszkała w Wilnie i mogłaby być ze względu na ojca inwigilowana.

Przede wszystkim był czuły na urodę kobiet, ożywiał się w ich towarzystwie, ale wyłącznie tych ładniejszych. Miał trzy żony, choć formalnie związał się tylko z pierwszą z nich – w 1924 jako 22-latek ożenił się z nauczycielką Antoniną Kopańską, z którą miał córkę Halinę. Małżeńska stabilizacja zupełnie mu jednak nie odpowiadała, jego małżeństwo rozpadło się, ale nigdy nie wziął rozwodu. Także ze swoją kolejną ukochaną, Wandą Żółowską, żył na kocią łapę, czego owocem była właśnie Idalia. Poznał śliczną Wandę w redakcji wileńskiego „Słowa”, gdzie była korektorką, on natomiast reporterem, redaktorem naczelnym jego brat Stanisław. Wtedy właśnie nie stronił też od alkoholu, głównie samogonki, zwłaszcza w terenie, gdy wyjeżdżał na reportaże, usprawiedliwiając się, że to niezbędne dla nawiązywania kontaktów. Nigdy jednak nie pił za swoje, ale na krzywy ryj albo na koszt zamożnego brata Stanisława, który musiał regulować jego rachunki.

„Góry blinów i jeziora wódki stawiał też Józio kolegom i koleżankom ze »Słowa« zawsze na koszt brata. Pił bez opamiętania, lenił się, bradziażył. Był na drodze do zmarnowania się, gdyby nie poznał wtedy kobiety swego życia, Barbary Toporskiej, która go przerobiła i uratowała” – pisał Karol Zbyszewski, emigracyjny literat.

Został z nią do końca życia, choć nigdy nie wzięli ślubu. Błyskotliwa i piękna Barbara była również dziennikarką „Słowa”, a wcześniej kochanką jego brata Stanisława. Romans Barbary z jego bratem stał się główną przyczyną niechęci Józefa wobec Stanisława. Do ich ostatecznego zerwania doszło w 1956 r., gdy Stanisław „Cat” Mackiewicz, były premier londyńskiego rządu emigracji, za cenę współpracy z komunistyczną bezpieką otrzymał zgodę na powrót do Polski. Emigracja nazywała go szubrawcem, zdrajcą, Judaszem. „Krzyżyk na drogę, niech Ci odwilż lekka będzie” – pisano.

Józef nie komentował publicznie postępku Stanisława. „Nie mam już brata”, mówił tylko. Ceną za jego bezkompromisowość była nie tyle bieda, ile nędza, w której żył razem z Barbarą, utrzymywali się bowiem jedynie ze swoich nieregularnych dziennikarskich honorariów. Barbara, która była również utalentowaną pisarką, zarobkowała więc... „szybkim i tanim podnoszeniem oczek w pończochach”, jak ogłaszała się w prasie. Gdy chorowała, bo latami walczyła z rakiem, zastępował ją Józef, który się tego nauczył i „trzaskał” specjalnym aparacikiem o wiele szybciej niż ona. ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl e955a3d6d7

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Ostrożnie z tą prawdą!

Z dobrego serca państwa przestrzegam: „Mówienie prawdy może być źródłem poważnych kłopotów!". Przyznać muszę, że jest to cytat ze mnie czy nawet (jak to modne m.in. za sprawą Mariana Banasia) „z mojej osoby", ale ponieważ ma ów cytat potencjał i jako klasyka ma już parę minut, pozwoliłem sobie wziąć w cudzysłów.

Mogą państwo cytować ten cytat, oczywiście podając autora, gdyż syci to moją próżność! Naturalnie takie słowa powinny być opatrzone odpowiednią ilustracją. Na podobieństwo np. opakowań papierosów, na których różne cytaty oznaczone są odpowiednimi zdjęciami, choć ich zadaniem nie jest wzbudzanie zachwytu estetycznego bynajmniej.

Powyższe moje słowa o prawdzie i jej uwierających konsekwencjach na użytek tegoż artykuliku można zilustrować zdjęciem Piątka, Krzysztofa Piątka, piłkarza AC Milanu. Krzysiek był tak zajęty tymi treningami i meczami, i robieniem cieszynki „pif, paf, paf", że nie przeczytał mojego słynnego już cytatu, który ma kilka minut, i popełnił błąd, przed którym przestrzega.

Otóż tenże Krzysiek wziął i powiedział prawdę. Nieśledzącym karier naszych sportowców na boiskach zagranicznych nadmienię, że Krzysiek, gdy przeszedł do tych Włochów w AC Milan, był przez tamtejszych kibiców wprost uwielbiany. Dlaczego? Pewnie państwo nie uwierzą, ale dlatego, że strzelał dla tej drużyny bramki. I to tym kibicom wystarczyło. Serio! Jacy oni byli zadowoleni ci Włosi – czasem myślę, że ludziom tak mało potrzeba. No, wypada dodać z obowiązku kronikarskiego, że on robił po strzeleniu bramki charakterystyczną tzw. cieszynkę, i od tego kibice już w ogóle wpadali sobie w ekstazę – czasem myślę, że ludziom tak mało potrzeba.

Krzysiek Piątek udzielił wywiadu, w którym niestety powiedział dziennikarzom prawdę. Mój Trygławie! Cóż za nieostrożność! Czy on nie przechodzi szkoleń PR? (Taka delikatna aluzja do wykonywanego przeze mnie aktualnie zajęcia, ciekawe, czy redakcja zauważy, a jak zauważy, to czy wytnie, teraz umieszczę znak graficzny „uśmieszek", żeby pokazać lekką autoironię;). Więc ten Piątek powiedział dziennikarzom: „Chodzi o to w piłce, aby cały czas stawiać nowe cele. Kosztowałem teraz 38 mln i chcę zrobić wszystko, aby przy następnym transferze było 60–70 mln". No i prawda. Ale po co on to mówił? Przecież kibice dostali antyekstazy, bo zrozumieli, że on chce od nich zwiewać, więc Krzysiek dowiedział się, że łaska kibiców na pstrym AC Milan jeździ.

Najdelikatniejsze chyba określenie Piątka, który został potraktowany jak zdrajca, brzmiało „klaun" i żeby s... przedany został. W sumie nie ma się czemu dziwić. I na koniec pragnę państwa poinformować, iż z moich obserwacji wynika, że polscy politycy coraz rzadziej popełniają błąd Krzysztofa Piątka. Dziękuję za uwagę. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Pierwsi do walki

Proszę to sobie wyobrazić: centrum Waszyngtonu, siedziba National Press Club, setka uczestników i trzy dni konferencji o... historii Polski podczas II wojny światowej oraz sposobach walki z jej fałszowaniem. I to akurat w momencie, gdy przez Amerykę przetacza się dyskusja na temat współczesnych map naszego kraju wrzuconych „błędnie" do dokumentu Netflixa o „kacie Treblinki". Czy może być lepszy timing? Czyżbyśmy się czegoś jako państwo od czasu kryzysu wokół nowelizacji ustawy o IPN nauczyli? Zrozumieli, że podobne konferencje organizuje się nie w Warszawie, ale tam, gdzie rzeczy dla nas oczywiste trzeba tłumaczyć nie tyle na nowo, co często po raz pierwszy? Jako uczestnik wspomnianego wydarzenia pod arcypolskim tytułem „Poland First to Fight", po głębokim namyśle, czasie spędzonym na wnikliwej refleksji i licznych dyskusjach z panelistami, z całą stanowczością mogę odpowiedzieć... to zależy.

Zależy, bo jeśli spojrzeć obiektywnie na konferencję, godne podziwu jest zaangażowanie w jej organizację działaczy polonijnych, często wykonujących inne zawody, którzy po godzinach spinali wszystko w całość. Zapraszali gości, zajmowali się marketingiem, kontaktem z mediami i organizacją wydarzeń towarzyszących – od wieczoru w ambasadzie Indii i projekcji filmu o Polakach, którzy znaleźli w Azji bezpieczne schronienie podczas II wojny światowej, do bankietu w ambasadzie RP. Nikt tym ludziom nie dał więcej, niż sami sobie wychodzili, finansując całość od A do Z z prywatnych pieniędzy. To obiektywny plus, pewien przełom w działaniach części Polonii, która postanowiła porzucić fatalizm reaktywności – po raz pierwszy w takiej skali przechodząc do narracyjnej ofensywy.

W beczce konferencyjnego miodu musi być też jednak łyżka dziegciu. Mimo najszczerszych prób, wysyłania zaproszeń e-mailowych do tysięcy amerykańskich dziennikarzy i szukania punktu przebicia się do amerykańskiej opinii publicznej przez trzy dni rozmawialiśmy głównie w formacie „o nas, dla nas". Nawet jeśli w dyskusji uczestniczyli badacze z Niemiec, USA, Hiszpanii czy Wielkiej Brytanii. Osobiście mam nadzieję, że udało mi się pokazać, iż trzeba wychodzić z przesłaniem o polskiej historii szerzej. Właśnie o tym mówiłem w wykładzie na temat Polski (a częściej jej braku) w grach komputerowych o II wojnie światowej. To jest dzisiaj klucz do wygrania walki o pamięć – warta miliardy branża, stanowiąca dla młodych ludzi współczesne podręczniki historii. Branża, w której musimy zacząć odgrywać rolę podmiotu, a nie bladego tła. Sądzę, oceniając po ciepłym przyjęciu, że są powody do optymizmu. I właśnie w oparciu o popkulturę i historię być może konferencja wróci za rok. Oby ze zwrotnym zainteresowaniem Amerykanów. Przecież do nich de facto mówiliśmy. ©℗

eprasa.pl e955a3d6d7

OKIEM BLOGERKI

Jak góral żony nie bił

KATARYNA

***JÓZEF FOGIEL:* Ustawa rozszerza definicję rodziny o osoby wspólnie zamieszkujące. My uważamy, że rodzina to jest mąż, żona i dzieci. W tych przepisach za przemoc uważa się m.in. zwracanie uwagi, krytykowanie, stawianie zadań i ograniczanie kontaktów. Uważam, że rodzice mają prawo ograniczać niechciane kontakty swoim dzieciom. Inaczej będzie to ingerencja w więzi rodzinne i prawa rodzicielskie.**

Józef Fogiel jest prawicowym radnym Zakopanego, a cytowana wypowiedź to jego komentarz do kolejnego już odrzucenia przez zdominowaną przez prawicę radę miasta uchwały w sprawie przyjęcia programu przeciwdziałania przemocy w rodzinie opartego na kontrowersyjnej – zdaniem radnych – ustawie. Jak zatytułował artykuł na ten temat Tomasz Molga, dziennikarz Wirtualnej Polski? „Górale idą na wojnę w sprawie bicia żon”. Ani w wypowiedzi cytowanego w artykule Molgi radnego, ani w reszcie tekstu nie ma absolutnie nic, co by wskazywało, że powodem odrzucania uchwały jest przyzwolenie górali na bicie żon, a sam radny tłumaczy opór przed przyjęciem uchwały kontrowersyjną jego zdaniem definicją przemocy zawartej w ustawie. Można się oczywiście z nim w tej ocenie nie zgadzać, ale zatytułowanie artykułu, w którym swoje racje wykłada – „Górale idą na wojnę w sprawie bicia żon” – to już nie jest dziennikarski lapsus, ale grubymi nićmi szyta manipulacja. Szybko podchwycona przez internautów, dokładnie tak jak sobie to autor zaplanował, wymyślając dla klikalności kłamliwy tytuł. „Górale idą na wojnę w sprawie bicia żon. Radny z Zakopanego odpowiada Rzecznikowi Praw Obywatelskich, że zwyczaj bicia żon należy uszanować i nie przeszkadzać góralom w stosowaniu tej dyscypliny wobec żon” – tak artykuł Molgi zapowiedział na Twitterze człowiek podpisujący się imieniem i nazwiskiem oraz przedstawiający się jako prawnik, a pod jego wpisem ruszyła licytacja na wyzwiska wobec radnego (który nic podobnego nie powiedział), wobec górali i wobec zawsze winnego wszystkiemu PiS. „Taliban”, „PiSlam”, pojawiły się nawet wezwania do „spuszczenia łomotu” radnemu oraz kilkadziesiąt wpisów internautów oburzonych na coś, co z brudnego dziennikarskiego palucha wyssał Tomasz Molga, a podchwycił jakiś udający poważnego twitterowicz.

Wszystkie trolle z opisanej farmy razem wzięte nie miały takiego zasięgu ani nie są tak szkodliwe jak jeden kłamliwy artykuł

Kilka tygodni temu media przeżywały wzmożenie opisaną przez „Newsweeka” „farmą trolli”, która przy użyciu fejkowych kont manipulowała opinią publiczną na Twitterze. Oj, aj, jakieś anonimowe konta obserwowane przez 200 osób manipulowały opinią publiczną! Tymczasem wszystkie trolle z opisanej farmy razem wzięte nie miały takiego zasięgu ani nie są tak szkodliwe jak jeden kłamliwy artykuł Molgi, powielony potem przez tysiące nierozgarniętych lub świadomie uczestniczących w tej manipulacji internautów. Tego już jednak nikt nie zauważa, łatwiej się oburzać na farmę anonimowych trolli niż kolegę po fachu i hejterów, którymi bardzo skutecznie zawiaduje. ©℗

PODSŁUCHANE

Sam sobie wystartuj

Radek, weź wystartuj. Co ci zależy?
Grzesiek, znajdź sobie kogoś innego. Nie będę z siebie robił idioty.

Oj tam, jeden raz więcej, wielka mi różnica.
Że jak?!

Nic takiego... Dla dobra partii. Przecież nie może być sama Gośka kandydatką. Jak to będzie wyglądało?
To weź sam sobie wystartuj.

Ale ja jestem przewodniczącym. No przecież nie mogę. Jeszcze bym z nią przegrał... A jakbym wygrał, to potem i tak bym przegrał, w wyborach.
A co mnie to?

Słuchaj, ja ci załatwię... No, coś ci tam załatwię w zamian.
Co ty mi możesz załatwić? Kochany, ja jestem w europarlamencie, ja już wszystko mam. Cygarka, winko tanie w restauracji dla mepów... Pogadaj, bo ja wiem, z Borysem na przykład?

Próbowałem. Zbył mnie, że do fryzjera się spieszy. Czekaj, ktoś mi SMS-a przysłał... No, uff, już nie ma problemu, mamy frajera.
Kto taki?

Jaśkowiak.
A jak wygra?

Żartujesz? Przecież mamy dawno ustalone, ile ma głosów dostać ta druga osoba. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„W Polsce kobiety stanowią ponad 50 proc. ludności. W rządzie Morawieckiego będzie to 17 proc. Taki skład rządu to demonstracja. Ignorancji”.

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl e955a3d6d7

Litwa

fot. Jerzy Gumowski

Prawie nie zauważono, że tego roku minęło ćwierćwiecze od podpisania ***„Traktatu o przyjaznych stosunkach i dobrosąsiedzkiej współpracy między Polską a Litwą”***. Przez te 25 lat — na skutek jawnej wrogości Litwy wobec Polski — nie zanotowaliśmy ani *„dobrosąsiedzkiej współpracy”*, ani *„przyjaznych stosunków”*, tylko hańbiące polską rację stanu prolitewskie umizgi naszych władz. Właśnie zakończona wizyta prezydenta Dudy na Litwie to — mimo insurekcyjnych ceremonii funeralnych — kontynuacja tych umizgów.

Zjednoczona z Polską od czasów Jagiełły (1385) Litwa została po trzecim rozbiorze Rzeczypospolitej (1795) siłą wcielona do kacapskiego imperium, a elity litewskie przeszły w XIX wieku takie kontrpolskie *„pranie mózgów”*, że każdego mieszkańca Litwy niemówiącego po litewsku zaczęły uważać za renegata, co pamiętnikarz Hipolit Korwin Milewski, działacz społeczny walczący o polskość Litwy (przełom XIX i XX stulecia), nazwał nie bez goryczy *„rozwodem Jadwigi z Jagiełłą”*. Stanisław Cat–Mackiewicz słusznie skomentował to w **„Herezjach i prawdach”** (1962): *„Szlachtę litewską zawiódł wówczas zmysł polityczny. Nie powinna była na bazie językowego renesansu współdziałać z rosyjskim i niemieckim czynieniem przeciwieństwa między Litwinami a Polakami”*.

To *„czynienie przeciwieństwa”* wyewoluowało podczas *„międzywojnia”* (gdy Litwa i Polska stały się suwerennymi państwami) w tak wściekłą wrogość Litwinów wobec Polaków, że za czasów II Wojny Światowej przybrała ona formę zbrodniczą: litewskie ludobójcze *„służby”* mordowały planowo dziesiątki tysięcy Polaków (Ponary i okolice), a władze litewskie motywowały i sponsorowały finansowo (notabene już od roku 1936) ukraińskie OUN i UPA dokonujące masakr polskiej ludności. Później ucisk sowiecki mocno zglajszachtował te animozje, lecz skutkująca przywróceniem suwerennych państw klęska Związku Sowieckiego reaktywowała demonstracyjne litewskie resentymenty wobec Polaków. Roku 1994 Litwini zawarli traktat z III RP robiąc nam łaskę i wymuszając wiele paragrafów niekorzystnych dla Polski. Nie zamierzali zresztą wypełniać jakichkolwiek sygnowanych wtedy zobowiązań, które tyczyły mniejszości polskiej na Litwie, i systematycznie gnębią ją do dzisiaj, łamiąc nie tylko ów pakt bilateralny, ale i wszelkie międzynarodowe zasady/ustalenia/prawa, od ***„Europejskiej Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności”*** czy ***„Ramowej Konwencji Rady Europy o Ochronie Mniejszości Narodowych”***, po ***„Powszechną Deklarację Praw Człowieka”*** tudzież liczne regulacje OBWE.

Marek A. Koprowski: *„Już podczas negocjowania traktatu wielu działaczy Związku Polaków na Litwie ostrzegało stronę polską, że strategicznym celem władz litewskich jest zniszczenie mniejszości polskiej poprzez stopniowe jej wynarodowianie dla zlituanizowania”* (2019). I Litwa czyni to konsekwentnie od 25 lat. Polaków dyskryminuje się tam we wszelkich urzędach, np. językowo, mimo że paragrafy 14 i 15 traktatu gwarantują im *„prawo do swobodnego posługiwania się językiem mniejszości narodowej w życiu prywatnym oraz publicznym”* (chodzi tu głównie o pisownię imion, nazwisk i adresowych nazw). Szkolnictwo mniejszości polskiej jest terroryzowane przymusową lituanizacją języka lekcyjnego i wykładowego. Analogicznie się dzieje z praktykowaniem religii — już pierwszy po zdekomunizowaniu Litwy ordynariusz diecezji wileńskiej, Julijonas Steponavičius, okazał się *„nacjonalistą–Polakożercą”*, zabraniając odprawiać gdziekolwiek mszę w języku polskim, a teraz litewscy księża wzbraniają nawet modlić się po polsku. Problemy gruntów (własności ziemskiej) są zazwyczaj rozstrzygane skrajnie niesprawiedliwie, aby w maksymalny sposób zmniejszyć liczbę *„polskich Wilniuków”* (zwłaszcza mieszkańców okolic Wilna deklarujących polską narodowość). Symbolem kłód gospodarczych rzucanych pod nogi III RP stało się złośliwe zdemontowanie przez Litwinów (2008) torów kolejowych prowadzących ku rafinerii Możejki należącej do Orlenu (akt ten bezczelnie łamał prawo Unii Europejskiej).

∞

Litwo, trucizno moja...

∞

W rzeczonym traktacie sprzed ćwierć wieku obie strony zobowiązały się wystrzegać *„przymusowej asymilacji mniejszości narodowej na swoim terytorium”* i unikać *„jakiejkolwiek dyskryminacji tejże mniejszości”*. Polska wobec litewskiej mniejszości narodowej respektuje to bezwzględnie, zaś Litwa gwiżdże na parafowane ustalenia, brutalnie dyskryminując i asymilując. Zważywszy to oraz wszystko co wytknąłem powyżej — jak mógł prezydent Duda podczas spotkania z nowym prezydentem Litwy, Gitanasem Nausėdą (lipiec 2019), publicznie ogłaszać, że między Polską a Litwą *„nie ma tematów, w których byłyby jakieś rozbieżności”*?!! Teraz wygłosił podobne słowa. A to ewidentna nieprawda, rzeczywistość przeczy temu.

Czy mogliśmy w roku 1994 ugrać traktatowo silniejsze (realne) gwarancje, które zabezpieczyłyby polską mniejszość na Litwie przed ciągłym sekowaniem? Tak, gdyby III RP miała dyplomację z prawdziwego zdarzenia, umiejącą grać międzynarodowo, tymczasem nasza *„dała ciała”* już na samym początku, kiedy padł ZSRR, wyrywając się przed szereg z uznaniem litewskiej suwerenności. Wojciech Tomaszewski: *„Polska uznała niepodległość i granice Litwy pospiesznie i bezwarunkowo, nie żądając niczego w zamian, co było ciężkim błędem. W polityce czy w biznesie nic nie oddaje się za darmo. W rezultacie mała Litwa bez litości Polskę lekceważy”* (2018). Często wręcz ostentacyjnie, a nawet prowokacyjnie. Tutaj symbolem może być casus prezydenta Bronisława Komorowskiego. Za *„włażenie Litwie w tyłek bez wazeliny”* (tak pisali jego adwersarze) władze litewskie przyznały mu ceremonialnie tytuł *„Honorowego Obywatela Ziemi Rakiskiej na Litwie”* (2015), a gdy po fecie ruszył z powrotem do swego kraju, litewscy nacjonaliści bezzwłocznie zdewastowali na cmentarzu w Podbirżach groby jego przodków. *„Żeby sobie nie myślał, Polaczek!”*.

Za wszystkie (dość regularne) afronty wobec Polski nasi *„mężowie stanu”* rewanżują się Litwie równie regularnym czołganiem się przed nią i oferowaniem jej rozmaitych faworów — nie tylko dawaniem orderów (prezydent Duda zawiesił Order Orła Białego byłej litewskiej prezydent Dalii Grybauskaitė, która przez całe lata forsowała zajadle kampanię Polakożerczą), również promowaniem portów. Na łamach **„Do Rzeczy”** (31/2017) Tomasz Kwaśnicki pytał: *„Dlaczego Via Carpatia ma się kończyć w litewskiej Kłajpedzie, obcym porcie przeładunkowym, konkurującym z naszymi bałtyckimi portami? Czym Litwa, państwo nam nieżyczliwe, zasłużyła sobie na taki prezent ze strony RP?”*.

Żenująca słabość Warszawy wobec Wilna (któremu polskie kompleksy Litwinów każą grać nam na nosie) surowo komentuje ksiądz Tadeusz Isakowicz–Zaleski: *„ — Litwini widzą, że jesteśmy skłonni do ustępstw w imię poprawności politycznej, dlatego, czując naszą słabość, naciskają. Wystarczy, że ambasador Litwy tupnie nogą, i już się na wszystko zgadzamy”* (2017). Tak było od zarania III RP — Jarosław Giziński: *„Kolejne rządy polskie gotowe były poświęcić polskość Wileńszczyzny w imię mitycznego sojuszu strategicznego z Litwą, nie broniąc praw tamtejszych Polaków, gnębionych we własnej ojczyźnie”* (2014). Do diabła z takimi *„sojusznikami”*! ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl e955a3d6d7

Lotto

MILIONY KRĘCĄ KAŻDEGO

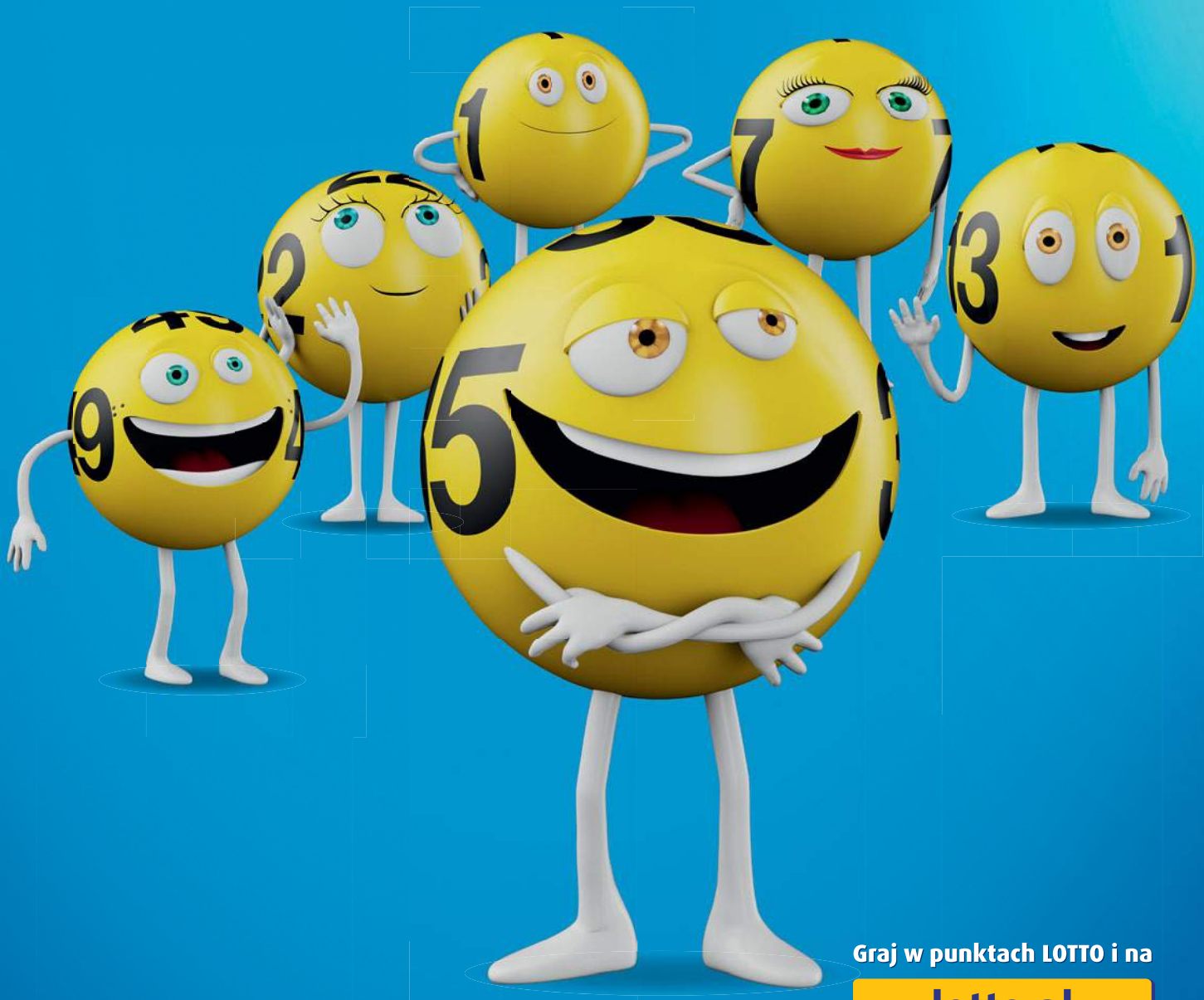

Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl

eprasa.pl e955a3d6d7